C

ŻYCIE POLSKIE W DAWNYCH WIEKACH

ŻYCIE POLSKIE

W DAWNYCH WIEKACH

(WIEK XVI—XVIII)

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

WE LWOWIE
NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
W WARSZAWIE — KSIĘGARNIA E. WENDE I SKA
1908.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Rzecz niniejsza wychodzi na świat nie na tem miejscu i nie w takich warunkach, wśród jakich pojawić się miała. Niedostatki jej mają tedy nietylko wewnętrzną ale i zewnętrzną przyczynę.

Pierwsza, jako idąca wyłącznie na karb autora, t. j. na karb niedostatku jego sił i wiedzy, usuwa się z pod jego uwag; drugą, zewnętrzną, już śmielej podnieść może, bo przyczyni się do jego usprawiedliwienia.

Oto miała ta praca wejść w skład wielkiego zbiorowego wydawnictwa i miała z góry podyktowane nietylko rozmiary ale i cały sposób ujęcia i wykładu. Takie podwójne ograniczenie tłumaczy przynajmniej te braki, które przy pozostawieniu autorowi zupełnej swobody wypełnić by się były dały.

Wydawnictwo, jakkolwiek wcale nie zaniechane, doznało zwłoki, a z biegiem czasu, jakiego wymagać będzie jego ostateczna organizacya, zmienić się mogą nietylko jego potrzeby i warunki, ale i naukowe wymagania samegoż tematu — autor znalazł się tedy wobec wyboru: albo skazać swoją przedwcześnie gotową pracę na pogrzebanie w tece, albo ogłosić ją dru-

kiem, dopóki odpowiada jeszcze współczesnemu zasobowi historyczno-obyczajowych źródeł.

Za wyborem tej drugiej alternatywy przemawiało przypuszczenie (oby tylko nie mylne), że przy braku nowszych prac na tem zaniedbanem u nas polu, nawet i tak przelotny rzut oka na obyczajową przeszłość polską oddać może ciekawym tej przeszłości czytelnikom pewne usługi.

Zaopatrzenie tekstu w noty i cytaty było programem wspomnianego wydawnictwa chociaż nie całkowicie wykluczone, to przecież wyjątkowo tylko i w najkonieczniejszej mierze dozwolone. Ztąd poszło, że i w obecnem wydaniu tej pracy aparatu not i cytatów nie ma — krzywdził by przecież autora oparty na tem wniosek, jakoby nie starał się był poznać i uwzględnić wszystkich źródeł, nietylko ogłoszonych ale i rękopiśmiennych, o jakich wiedział i jakie mu były dostępne. Starał się zresztą autor, jak to czytelnik z łatwością zauważy, zaznaczyć liczne źródła już w samym tekście. Zestawienie wszystkich w osobnym spisie, nie wiążąc się bezpośrednio z właściwemi ustępami tekstu, nie byłoby ani kontrolą autora ani pomocą czytelnikowi, a już i dlatego nie zdało się rzeczą właściwą, że rozmiar takiego dokładnego zestawienia byłby dysproporcyą wobec zwięzłości samej pracy, zbyt często bowiem już sam pełny tytuł jakiegoś źródła wymagał by był więcej miejsca, niż go zabiera w książce szczegół zeń zaczerpany.

We Lwowie, 1907 r.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZAMKI I PAŁACE

I.

Przysłowiową tradycyę, że Kazimierz W. zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną, odnieść można tylko do obwarowania kilkudziesięciu grodów i do zmurowania kilkudziesięciu zamków królewskich. W rzeczywistości Polska była zawsze drewniana i pozostała nią aż do najpóźniejszych czasów. Przed wiekiem XVI murował tylko grodotwórczy osadnik niemiecki, pierwszy organizator, fortyfikator i rzemieślnik miast głównych na polskiej ziemi. Nietylko w XV ale jeszcze i w XVI i XVII wieku budują się z drzewa nawet wielkopańskie rezydencye, nawet obronne zamki. Mikołaj Górka wznosi w r. 1426 w Kurniku zamek okazały i bardzo ozdobny — *modo pulchri* — którego twórcą jest cieśla; zamek w Ostrzu, siedziba możnego rodu Gasztołdów, bardzo obronny, piętrzący się pięciu potężnemi basztami, zbudowany już w r. 1538, cały był z sosnowego i dębowego drzewa; tak samo drewniana była świetna i bogata siedziba Krzysztofa Szydłowieckiego w Łukowie; tak samo pałac Zygmunta III w Ujazdowie i tegoż króla zamek w Nieporencie, podziwiany przez Laboureura dla wspaniałej ciesielskiej budowy: *magnifique charpenterie.* Jaworów, rezydencya króla Jana III, strojna wewnątrz we wszystko, co stanowiło ówczesny komfort mie-

Polska cała drewniana.

szkalny, był również dworem drewnianym. Kosztowności i ozdobności takich drewnianych pałaców, które najczęściej niedługo po zbudowaniu padały pastwą płomieni, dziwowali się bardzo cudzoziemcy, zwłaszcza Włosi: nuncyusz Malaspina, przywykły do ciosów i marmurów swej ojczyzny, będąc gościną w takiej wspaniałej a drewnianej rezydencyi, wyraził się o niej dowcipnie, że nigdy w życiu nie widział tak pięknie ułożonego stosu paliwa. »A dlatego też rzadko się trafi w Polsce taki dom — powiada Frycz Modrzewski — któryby przez trzydzieści lat w całości trwał; mało nie wszystkie wygorywają a zaś znowu je budują«.

Tę przewagę, albo raczej tę wyłączność architektury drewnianej w Polsce oddaje dobrze słownik starych aktów i zapisków, w którym *architectus* oznacza zawsze tylko cieślę; architekt zaś w dzisiejszem znaczeniu tego słowa nosi nazwę *murator* albo *lapicida,* jakby wyraźna wskazówka, że budowniczym polskim *par excellence* był cieśla. Polska zaczęła się gęściej murować dopiero w XVI w., którego ostatnie dziesięciolecie wraz z pierwszą połową XVII w. jest porą najbardziej ożywionego budowniczego ruchu. Nawet główne miasta ozdabiają się dopiero w tym okresie czasu wspaniałszemi dziełami kościelnej i świeckiej architektury, a wszystkie niemal głośne i mniej głośne zamki, dochowane dotąd w całości lub ruinie, siedziby możnowładczych rodów, powstały w XVI lub XVII w.

Ruch budowniczy w XVI i XVII w.

Z tej to pory datują się zamki jak Brzeżany, Grzymałów i Mikulińce Sieniawskich, Baranów i Gołuchów Leszczyńskich, Brody i Podhorce Koniecpolskich, Buczacz i Paniowce Potockich, Chmielów i Szydłowiec Szydłowieckich, Dobromil i Międzybóż

Herburtów, Dubno Ostrogskich, Działoszyn Męcińskich, Danków Warszyckich, Jazłowiec Jazłowieckich, Janowiec i Lubartów Firlejów, Kruszyna Denhofów, Krupe Zborowskich, Krzyżtopor i Ossolin Ossolińskich, Krzepice Wolskich, Krasiczyn i Dubiecko Krasickich, Laszki Mniszchów, Łańcut i Wiśnicz Lubomirskich, Mir, Biała, Ołyka, Birże i Nieśwież Radziwiłłów, Olesko Daniłowiczów, Pomorzany Sienieńskich, Przecław Ligęzów, Pieskowa Skała Szafrańców, Pińczów, Xiąż i Mirów Myszkowskich, Rożnów Tarnowskich, Różanka Paców, Szamotuły Górków, Staresioło i Zasław Zasławskich, Sidorów Kalinowskich, Smoleń i Ogrodzieniec Bonerów, Świerz Cetnerów, Tęczyn Tęczyńskich, Zamość Zamoyskich, Zbaraż Zbarazkich, Założce Wiśniowieckich, Żółkiew Żółkiewskich i wiele innych; w tej samej również porze powstały najznaczniejsze pałace miejskie, jak np. w Krakowie pałacowe domy, zamieszkiwane przez Lubomirskich, Myszkowskich, Kmitów, Tarnowskich, Zamoyskich, Maciejowskich, Kazanowskich, Radziwiłłów, Ostrogskich; w Warszawie pyszne pałace Adama Kazanowskiego, hetm. Stan. Koniecpolskiego, kanclerza Jerzego Ossolińskiego, okazałe dwory Sobieskich, Denhofów, Działyńskich, Sapiehów i t. d.

Dwa typy zamków.

Wszystkie zamki budowane w ciągu XVI-go i w pierwszej połowie XVII w. były obronne, a podzielić się dadzą na dwa typy, t. j. na zamki ściśle zawarte, w których obronność była głównym celem a pomieszkanie jako takie miało znaczenie drugorzędne, i na zamki, które łączyły równorzędnie oba te cele i były nietylko silnemi warowniami, ale zarazem stanowiły wielkopańskie rezydencye, pełne komnat i sal reprezentacyjnych. Jako wzór pierwszego typu służyć nam może zamek Herburtów pod

Dobromilem, który przeznaczony był prawie wyłącznie na pomieszczenie załogi w czasie niebezpieczeństwa, podczas gdy sam jego właściciel miał osobną rezydencyę w znacznej odległości; jako wzór drugiego typu uważać można Krasiczyn Krasickich, Baranów Leszczyńskich lub Laszki Mniszchów. Zamki i zameczki pierwszego typu zazwyczaj ubogie bywały pod względem architektonicznym. Zbudowane z skromnego materyału, z cegły i dzikiego kamienia, nie miały najczęściej ani zewnątrz ani wewnątrz nic, coby wymagało talentu architekta i dłoni artysty; zamki drugiego typu były wspaniałemi dziełami nietylko fortyfikacyjnej ale i architektonicznej sztuki. Obwarowane według najlepszych wzorów ówczesnych mistrzów fortecznej inżynieryi, były zarazem świetnemi pałacami, bogatemi w cios, marmur, alabaster, dekoracyjne rzeźby, a niekiedy w polichromiczne lub sgraffitowe ozdoby malarskie, których ślady zachowały się w niektórych aż do naszych czasów, jak np. w Krasiczynie i Krzyżtoporze.

Takie zamki postawały prawie wyłącznie według planów architektów włoskich, a cechą ich konieczną byly duże dziedzińce, t. zw. *places d'armes* lub *cours d'honneur,* otoczone za włoskim wzorem dokoła arkadami, jak n. p. w Baranowie, Brodach, Dubnie, Brzeżanach, gdzie Ulryk Werdum (1670) zachwycał się galeryą ażurową z misternemi kolumnami z kamienia, obiegającą na okół cały dziedziniec zamkowy; gdzie zaś arkadowań nie było, tam wewnętrzne fasady czworoboku strojne bywały w rzeźbę i bogatą plastykę form architektonicznych.

Arkady.

Dziedzińce.

Dziedzińce zamkowe musiały być obszerne, od ich też przestrzeni ujętej dokoła w mury, zależały rozmiary i kosztowność zamków. W niektórych zam-

kach zajmował dziedziniec obszar bardzo znaczny; z ruin dotąd zachowanych zamku w Ogrodzieńcu domyślaćby się można kilkumorgowej przestrzeni wewnętrznego, głównego dziedzińca. Służył taki dziedziniec za majdan czyli punkt zborny załogi, a przy uroczystych sposobnościach za widownię obchodów, festynów, t. zw. tryumfów, zjazdów i igrzysk rycerskich, którym z osobnej *loggii* przypatrywały się damy. Taka łoggia, bogato ozdobna w rzeźby figuralne i ornamentacyjne, zachowała się dotąd w zamku krasiczyńskim, a wiemy z opowieści Daleyrac'a, że także w zamku brodzkim Stanisława Koniecpolskiego ku bardzo obszernemu dziedzińcowi znajdował się wspaniały balkon na kolumnach kamiennych, z którego można się było przypatrywać temu, co się działo na dole — była to więc loggia tego samego co w Krasiczynie rodzaju. Zbytek posuwał się niekiedy tak daleko, że pokrywano baszty zamkowe miedzią w ogniu złoconą; wiemy np. z opisu Francuza (anonima de P.) z roku 1688, że wszystkie cztery baszty zamku żółkiewskiego miały hełmy złociste, a tak samo w zamku krasiczyńskim baszta t. zw. królewska miała kopułę z złoconej miedzi.

Ganki i loggie.

Rozmiary i kosztowność.

W budowie takich zamków zamiar szedł niemal zawsze ponad siły — zdaje się, jak gdyby każdy z tych możnowładców, co chciał stworzyć dumny monument dostojności swego rodu i swego społecznego stanowiska, szedł za wskazówkami Sebastyana Petrycego, który w swojej *Ekonomice* pisze, że potężnym tego świata »przystoi zamki stawiać mocne dla obrony i z podziwieniem ludzkiem w wielkości, w wysokości, z drogiej materyi, jako z ciosanego kamienia, marmuru, alabastru, aby swoją wielmożność wszystkim pokazać, którąby wzbu-

działa przeciwko nim cześć i bojaźń. Dla wielmożności mają z kosztownej materyi budować, wielkie słupy stawiać, ganki szerokie sklepiać«. Wysilano się też istotnie na ogromne przestrzenie objętego murami terenu, na którym mieściły się niekiedy osobne amfiteatra dla widowisk i areny gonitw do pierścienia, jak np. w zamku laszeckim Mniszchów, przesadzano się w gigantycznych grubością murach — magistralne mury zamku w Mirze miały sześć łokci grubości — w olbrzymiej wielkości sal, których w Nieświeżu było 12, a które w Laszkach miały po 40 kroków szerokości a po 60 kroków długości; w bezmiernej liczbie pokojów i komnat pomniejszych, których janowiecki liczył 105. O zamku Ossolińskich, Krzyżtoporze, mówią podania, że budował się 30 lat, kosztował 5 milionów, miał jadalną salę z sufitem szklanym, na którym była sadzawka z rybami, a liczył tyle okien, ile dni w roku, tyle pokojów, ile tygodni, tyle sal, ile miesięcy i tyle baszt, ile kwartałów — szczegóły legendarne, których najnowsze badania zachowanych dotąd ruin wprawdzie nie stwierdziły, ale które uważać trzeba przecież za odległe wiekami echo podziwu, jaki budziła swego czasu wspaniałość tej magnackiej rezydencyi. Zamki i pałace polskie, budowane prawie wyłącznie przez Włochów, górowały architekturą nad niemieckiemi — Jerzy Ossoliński w dyaryuszu podróży swojej do Ratysbony (1636) pogardliwie mówi o pałacach panów rakuskich, »że wszystkie te fabryki barziej na austerye albo na staroświeckie klasztory wyglądają, aniżeli na pałace«. To też do zbudowania każdego takiego zamku polskiego potrzeba było ogromnego kapitału, do jego konserwacyi ogromnej fortuny — wzniesiony raz nadmier-

Amfiteatra i areny.

Wspaniałość gmachów.

nym wysiłkiem, pożerał stale wielkie sumy, najczęściej też niósł za sobą ruinę i sam ulegał ruinie. Nietyle jednak upadek fortun i nietyle burze wojenne poniszczyły wielkopańskie nasze zamki, co niedbalstwo i zaniechanie najtańszych choćby i najskromniejszych środków konserwacyi. Ileż to zamków polskich obrócił w ruinę nie Tatar, nie Szwed, nie Kozak, ale deszcz, wpadający do środka przez dach dziurawy — patrzył na to już hetman Żółkiewski, który polecając w swoim testamencie »opatrować zamek, żeby się nie psował«, dodaje: »Wszak nie trzeba nic dalej, j e n o ż e b y n i e c i e k ł o, a jeśli się gdzie dachówka zepsuje, o inszą nie trudno«.

Zastój.

Klęski publiczne i katastrofy wojenne, które od połowy XVII wieku przez długi okres lat nieprzerwanym szeregiem nawiedzały Polskę, robiąc z niej niejako jedno wielkie pobojowisko, wstrzymały ruch budowniczy; nastały czasy, o których pisze ich świadek a sam budowniczy, że tak rzadkie stały się już mury w Polsce, iż »komin z gruntu murowany tak wielkiej jest wagi, jak *kolossus* w Rzymie albo *pyramis* egipska« (r. 1659). Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat XVII wieku zaczyna się Polska murować dalej, ale teraz już w nadziei spokojniejszych czasów zamiast warownych zamków powstają pałace i wspaniałe otwarte rezydencye. Prym co do czasu i co do świetności bierze pałac zbudowany przez króla Jana III w Wilanowie. Niedługo później powstają liczne rezydencye wielkopańskie tego nowego w Polsce typu, gdzie dotąd nie wyobrażano sobie siedziby magnackiej bez baszt, strzelnic, fos i wałów, najeżonych działami. Są to pałace na wzór will włoskich i *cha-*

Rezydencye otwarte.

teaux francuskich, najczęściej dzieła wyższej architektury, wyposażone hojnie w wszystkie kosztowne warunki komfortu, elegancyi i zbytku. Ponura groza warownych murów ustępuje miejsca lekkości i wdziękowi architektonicznej linii, powaga mas kokieteryi form dekoracyjnych. W porze od ostatnich lat XVII wieku aż do ostatnich XVIII powstają te świetne sielskie rezydencye, które wyglądają na polskiej ziemi, pod jej szarem niebem i wśród mizernego otoczenia dworków szlacheckich krytych słomą i lepianek chłopskich, jak gdyby je magiczna różdżka przeniosła powietrzem już gotowe wprost z ojczyzny duków włoskich i markizów francuskich — powstają rozkoszne wille i pałace, jak Arkadya i Nieborów Radziwiłłów, Białystok Branickich, Jabłonna i Korsuń Poniatowskich, Klemensów Zamoyskich, Królikarnia Tomatisa, Lachowce Jabłonowskich, Łabuń Stempkowskich, Poryck Czackich, Puławy i Wołczyn Czartoryskich, Rydzyna Sułkowskich, Słonim Ogińskich, Tynna Gozdzkich, Tulczyn i Zofiówka Potockich, Werki Massalskich, Wiśniowiec Wiśniowieckich i t. d. Równocześnie mnożą się także pałace królewskie i magnackie w stolicach; w Warszawie powstają pałace Krasińskich, Zamoyskich, pałac Saski i Błękitny, Łazienkowski, Brühlowski, Bielińskich, Branickich i t. d.; w Wilnie Paców, Słuszków, Sapiehów. Nie wszystkie one równe sobie rozmiarami i stopniem wykwintności, ale wszystkie są charakterystycznym wyrazem swego czasu, wymowną cechą współczesnych usposobień, figurą nowych potrzeb, nowych dróg kultury i nowego smaku. Jak wszystkie wspanialsze zamki obronne tak i te pałace i wille stworzyła dłoń cudzoziemca: Locci, Belotti, Solari, Chia-

Wille.

Pałace miejskie.

veri, Fontana, Folino, Quarengi, Merlini, Schlütter, Pöppelmann — oto imiona głównych architektów ostatniej pory, z Polaków zasłynął nieco tylko jeden Gucewicz, autor pałacu w Werkach.

Urządzenie wewnętrzne.

Zamki polskie XVI i XVII wieku miały urządzenie wewnętrzne równie bogate i pyszne, jak wyniosłe i dumne były ich fasady, baszty i wieże. Zbytek wszakże, jaki się roztaczał w ich salach i komnatach, był jeszcze niedawny w Polsce, zrodził się dopiero na schyłku XVI a wybujał do niezwykłych rozmiarów w XVII i XVIII. Bardzo było skromne i poważne przedtem urządzenie domów szlacheckich, senatorskich, a nawet czasowych pozastołecznych siedzib królewskich. Jakżeż od tego przepychu magnackich zamków, o którym poniżej będzie mowa, odbija ulubiony przez króla Zygmunta Augusta dworzec knyszyński, w którym według inwentarza z roku 1564 nie masz ani marmuru ani jedwabiu, wszystkie kominy prostej murarskiej roboty, wszystkie okna z pospolitych błon szklanych, zwykłe drzwi zamiast podwojów i to na kowalskich wieszach żelaznych, zamykane na takież wrzeciądze, zaczepki i skoble. Cały sprzęt to ławy gołe, obiegające dokoła ściany, i stoły długie a wązkie. Nawet w komnacie, w »której król Jmć sypiać raczy«, nie masz nic więcej, a jedyny zbytek, jeżeli nazwy tej użyć tu można, to »chłodniczek ochędożny« z tarcic zbudowany w ogrodzie. Najokazalszą jest stajnia dla 500 koni królewskich. Łazienki zato mają tylko piecyk polewany, kocieł z blachy i kominy gliniane. Dopiero później bogatsza szlachta szła z magnatami, magnaci z monarchami w zawody; niektóre zamki widocznie wzorują się na zamku wawelskim a ich wewnętrzna dekoracya

Pierwotna skromność.

jest naśladownictwem komnat monarszych. Fantazya artysty i bogactwo materyału składają się na architektoniczne i ornamentacyjne ustrojenie sal i pokojów. Marmur, złoto, cyprys, heban, różane drzewo a znacznie później mahoń, złotogłów, jedwab i szpalerowe tkaniny flamandzkie i włoskie

Sufity. służą za materyał dekoracyjny. Przepyszne są sufity czyli jak je zwano: podniebienia, które kasetami, różycami, dekoracyą rzeźbiarską i malarską przygniatają najwyższe nawet sale. Na zamku brzeżańskim Sieniawskich jeden sufit ozdobiony był olbrzymim obrazem bitwy pod Żurawnem, drugi obrazem wiktoryi wiedeńskiej, trzeci kasetowany i suto złocony, czwarty malowany w różne »osoby«, piąty rzeźbiony dawał niejako wyobrażenie niebieskiego stropu, bo obsiany był złocistmei planetami, a pośrodku zwieszała się zeń na dół piramida »z osobami«, szósty w dziesięciu kasetach ujmował sceny z wojny chocimskiej, siódmy wypełniony był portretami sławnych w historyi mężów i t. d.; w Ossolinie obok sufitów ozdobionych figuralnemi malowaniami jest sufit o trzynastu belkach z balasami, a po środku i po obu końcach każdego belka zwieszają się rzeźbione i złocone bukiety kwiatów, liści i owoców, w kasetach zaś belkowania mieszczą się na przemian złociste sztukaterye i widoki miast i portów morskich; w Głuchowie nad wielką salą był sufit przepysznie rzeźbiony, którego dekoracya składała się z 2500 róż mniejszych lub większych, za których wykonanie zapłacono snycerzowi około 12.000 zł., suma na one czasy (przed r. 1600) równająca się pokaźniejszej szlacheckiej fortunie; w Krasiczynie jeden z sufitów naśladował słynną powałę z głowami wawelskiego zamku,

w Podhorcach Niderlandczyk Jan de Baan ozdobił sufity malowidłami swego pędzla.

Z takiego bogatego pułapu zwieszał się zazwyczaj potężny pająk czyli tak zw. korona z grubo złoconej miedzi, najczęściej roboty wrocławskiej, lub z barwistego szkła weneckiego; niekiedy zaś
miejsce takiej korony zajmowała t. zw. Meluzyna Meluzyna.
(zapożyczona od Niemców *Leuchterweibchen)*, wyobrażająca albo popiersie fantastycznej postaci niewieściej, zakończonej olbrzymiemi rogami jelenia i trzymającej w obu wyciągniętych dłoniach świeczniki, lub też skomponowana na temat Judyty z głową Holofernesa lub Amora z łukiem, jak np. w zamku dubieckim Krasickich lub we dworze
złotkowickiem Korniaktów. Pawiment czyli podłoga, Pawiment.
jeżeli nie miały jej stale pokrywać kobierce, zrobiony był z dębowych, misternie wiązanych desek, a celowali w ich wyrobie i układaniu stolarze dzikowscy i kieleccy, albo też z płyt marmurowych
dwoistego koloru. Olbrzymi komin był niezbędny Kominy.
w każdej sali. Wysilało się nań niekiedy dłuto znakomitego rzeźbiarza a za materyał służył marmur lub pośledniejszy a obfity w Polsce alabaster. Szczątki takich wspaniałych marmurowych kominów oglądać było można do niedawna w spalonej części zamku krasiczyńskiego, było ich kilka w zamku żółkiewskim, słynął z nich pałac wojewody Krasińskiego w Warszawie, gdzie kominy otoczone były posągami; miały one wysoką wartość artystyczną w zamku brzeżańskim Sieniawskich, bo wyszły z pod dłuta znakomitego Pfistera, twórcy grobowych pomników Sieniawskich i pomnika Ostrogskich w Tarnowie.

Do bogatej dekoracyi sali w marmurze, złocie,

malowaniu i rzeźbie dostrajać się oczywiście musiały ściany a do ścian sprzęty. Ściany obijano najdroż-
Obicia i szpalery. szemi materyami i t. zw. szpalerami. Używano do obicia złotogłowia, jak n. p. w pałacu Adama Kazanowskiego; adamaszku i aksamitu, skóry gdańskiej tłoczonej złoconej, jak w Żółkwi; perskich altembasów na złotem tle wzorzystych, jak w Brzeżanach; olbrzymich kobierców wschodnich, t. zw. dywańskich, jak w Krasiczynie; a wkońcu także szpalerów i stref. Szpalery były to opony z kosztownej jedwabnej materyi lub z mniej kosztownego brokatelu, złożone z podłużnych pionowych brytów odmiennego koloru. Wybierano zazwyczaj kolory czerwony i żółty, czerwony i granatowy, czerwony i niebieski. Materyę na takie opony zamawiano umyślnie we Włoszech, gdzie bryty adamaszkowe wyrabiano już z herbami zamawiającego, jak np. dla Krasickich do Krasiczyna, dla Matczyńskich do Waręża i t. d. Obijano pokoje także płóciennemi kołtrynami, malowanemi ręcznie w drzewa, kwiaty i zwierzęta, ale wartość ich zależała od wykonania, które nie zawsze miewało zalety artystyczne; używano tedy kołtryn tylko do pośledniejszych pokojów. Ale rzadkością, kosztownością i wysokim artystycznym walorem górowały nad wszystkiemi przytoczonemi rodzajami opon t. zw. dziś niewłaściwie
Gobeliny. gobeliny, to jest tkane według kartonów wykonanych dłonią prawdziwego malarza-artysty flamandzkie arrasy. Nazywano je u nas najczęściej także szpalerami, bo to była zbiorowa nazwa opon ściennych, a nie brakło ich w żadnej wielkopańskiej rezydencyi. Bywały między niemi okazy pierwszorzędnej technicznej i artystycznej doskonałości. Podziw Francuzów, obeznanych przecież dobrze z temi

utworami artystycznego tkactwa, wywoływały gobeliny w pałacu warszawskim Kazanowskiego: były one pełne figur tkanych jedwabiem na tle złotem, a jeden z nich wyobrażał bankiet królewski. W inwentarzach Janusza Radziwiłła spotykamy wielką ilość opon, z których niedokładnego nawet opisu wypływa, że były to przednie arrasy, nic innego bowiem nie może się ukrywać pod pozycyami, jak np. »szpalery, na których są wojska wyrobione«, »skrzynia, w której obicia holenderskiego sztuk 22«, »obicia holenderskiego sztuk 5« i t. d.; ściany zamku nieświeskiego opięte były gobelinami, wyobrażającemi pamiętne wypadki z historyi rodziny Radziwiłłów, była też między niemi »wielka sztuka szpalerowej roboty manufaktury krajowej«, która przedstawiała przegląd wojsk pod Zabłudowem pod wodzą hetmana Mikołaja Radziwiłła. Ściany zamku krasiczyńskiego obok opon w właściwem tego słowa znaczeniu, z których 150 brytów atłasowych i adamaszkowych żółtego i błękitnego koloru zdobiły jedną salę, podczas gdy druga obita była strefami kitajkowemi o barwach czerwonej i zielonej — obwieszone były także gobelinami z herbem gospodarza; w opisie rezydencyi Wielopolskich w Tropi spotykamy szpalery z scenami z historyi Herkulesa, w Ogrodzieńcu Firlejów opony z herbownemi lewartami, w Żółkwi szpalery przetykane złotem.

Sprzęty.

Tak świetnie i bogato udekorowane sale musiały posiadać także sprzęt odpowiedni. Nie było jednak przepełnienia; przeciwnie lubowano się w wolnych przestrzeniach, poprzestając na ściśle potrzebnej ilości sprzętów. Dokoła dużych sal obiegały ławy pokryte zazwyczaj wschodniemi kobiercami, których zresztą, jak to zobaczymy, nie brakło

nawet w skromnych dworkach szlacheckich; potężne stoły marmurowe, hebanowe, a niekiedy całe srebrną blachą powleczone, jak np. w zamku żółkiewskim; zamczyste rzeźbione almarye, sepety i skrzynie sadzone, włoskie lub niemieckie, stanowiły umeblowanie stosownie do użytkowego przeznaczenia każdej sali lub komnaty. W magnackich dworach sprzęt był wielce zbytkowny, tem kosztowniejszy, że sprowadzać go musiano z daleka, głównie z Gdańska, który dostarczał wytwornych mebli, rzeźbionych i intarsyowanych, przedewszystkiem zaś szaf i krzeseł obijanych skórą. Sprowadzano jednak meble, zwłaszcza łeksze i mniejsze, także i z najdalszych stron cudzoziemskich. Podskarbi koronny Daniłowicz w swoim warszawskim domu, który miał cztery piętra, wyniosłą kopułę i cały ginął w kolumnach »jakby w lesie jakim«, według słów współczesnych, miał meble i galanterye włoskie, francuskie, a nawet hiszpańskie. W pałacu Adama Kazanowskiego, urządzonego *alla moda e più commodo,* jak się wyraża w r. 1643 Jarzemski w swoim opisie Warszawy, i gdzie było »pięknie jak w raju«, Labourer, świadom dobrze zbytków paryskich, olśniony był bogactwem i bezprzykładną świetnością urządzenia; zdawało mu się, że przeniesiono go we śnie do jakiegoś zaczarowanego przybytku. Szafy w tym pałacu były rzeźbione i w całości wyzłacane, stołki złocistą skórą pokryte; wszędzie złoto, marmur, kosztowne galanterye. W Radziwiłłowskim Nieświeżu, którego skarbiec miał mieścić w sobie owych legendarnych dwunastu apostołów lanych z szczerego złota a wysokich na dwie stopy, jedna z sal cały niemal sprzęt miała ze srebra »najpiękniejszej starożytnej roboty«; duży

Zbytkowność sprzętów.

stół, ogromny pająk u pułapu, wysokie gierydony, ramy zwierciadlane, wilki i ekrany kominowe były z lanego lub kutego misternie srebra. W brzeżańskim zamku były krzesła złotem i srebrem przetykane lub też misternie słoniową kością sadzone, inwentarz Ogrodzieńca Firlejów wymienia krzesła aksamitne z srebrnemi ozdobami i rzezane; meble krasiczyńskie ozdobione były szczodrze złotem i srebrem, krzesła miały tam ćwieki, kaptury i gałki srebrne, łóżka poręcze srebrne. Podwoje w salach i reprezentacyjnych komnatach robione były z rzadkiego drzewa i zdobne intarsyami; obramienia z rzeźbionego marmuru wieńczyły t. zw. nadproża czyli sopraporty również rzeźbione, a w niektórych zamkach artystycznie malowane, jak n. p. w brzeżańskim, gdzie nad każdym kominem i nad każdemi drzwiami umieszczone były obrazy i sopraporty dobrego pędzla, jak np. sopraport z portretem monarchy, sopraport z opadniętym przez brytany odyńcem, sopraport z kogutami i t. p. **Nadproża.**

Sale stołowe. Najważniejszą a zarazem też najprzestronniejszą salą w zamku bywała sala jadalna czyli stołowa, bo jak się wyraża autor *Krótkiej Nauki Budownictwa* z r. 1659, »w niej *hospitalitas,* wesoła krotochwila, dobra kompania, zabawa z przyjacioły, w niej zgoła zażywanie największe dobrego mienia i okazałej magnificencyi mieszka — a tak słusznie ma być wesoła i ozdobna i do okazania pompy sposobna«. Była to widownia hucznych i tłumnych bankietów, więc też najdostojniejszym w niej sprzętem była »służba«, czyli po dzisiejszemu serwis lub kredens. Taka służba miewała olbrzymie rozmiary, składała się z licznych przegród otwartych i zamykanych, piętrzyła się pułkami i uginała pod cię- **Służba czyli kredens.**

żarem sreber, najczęściej augsburskiej i norymberskiej roboty. Nie dość bowiem, że na magnackich stołach jadano z szczerego srebra; oprócz użytkowego serwisu gromadzono w sali stołowej całe skarbce przepysznych sreber dekoracyjnych: mis, prawd, puharów, rostruchanów, dzbanów, nalewek, świeczników i t. p. Zamiłowanie w srebrach, gromadzenie wspaniałych naczyń najprzedniejszej roboty, przybierało w dawnej Polsce cechy prawdziwej namiętności. Kiedy Stefan Potocki, starosta feliński, zięć hospodara Mohiły, wybiera się na swoją awanturniczą wyprawę do Wołoszczyzny, składa swoje srebra dla bezpieczeństwa w podziemiach podhajeckiego zamku, a z ich spisu dowiadujemy się, że w depozycie tym było 22 skrzyń srebrnego serwisu najkosztowniejszej roboty, 10 puzder srebrnych łyżek, 40 dużych konwi, około 200 puharów i rostruchanów i t. d. Hieronim Sieniawski, starosta lwowski, pożyczając 30.000 zł., daje w zastaw srebra stołowe, a jeśli się zważy, że zastaw musiał przewyższać wartością swoją przynajmniej o całą trzecią część sumę pożyczoną, że zastawione srebra były tylko pewną zbędną częścią kredensu, i że w owych czasach za taką kwotę można było kupić znaczne już dobra ziemskie, będziemy mieć wyobrażenie o rozmiarach tego zbytku. Kasztelan lwowski Rafał Grochowski, pod koniec żywota już niemal zrujnowany majątkowo szlachcic ziemi przemyskiej, pozostawia około dziesięciu cetnarów złocistego i białego stołowego srebra. Po podkomorzym przemyskim Wojciechu Boboli (1631) pozostaje sto mis szczerosrebrnych, mnóstwo dzbanów, nalewek, puharów, między niemi także szczerozłote i z górnego kryształu. Inwentarz sre-

Srebra.

ber w zamku dubieńskim księcia Konstantego Wasyla Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, spisany w r. 1616, obejmuje przeszło 600 sztuk srebra, przeważnie dużej wagi i misternej roboty złotniczej, bo kutych *au repoussé*, figuralnie rzeźbionych, pstrozłocistych i rytowanych. Są tam stoły, wanny i baryły, całe z szczerego srebra. Trzeba atoli przyznać, że zbytek ten łączył się w wielkich domach polskich z pewnym szlachetniejszym, bo estetycznym niejako instynktem, z pobieżnych bowiem nawet opisów, jakie podają inwentarze, wnosić można, że te kosztowne naczynia kredensowe miały nietylko wartość kruszcu, ale i wyższą może od niej wartość artystyczną; między srebrami wspomnionego wyżej kasztelana Grochowskiego spotykamy dwanaście tac pozłocistych augsburskich *cum figuris poeticis*, jedną srebrną statuę, »wannę wielką, na której gryf skrzydlaty stoi a na jego grzbiecie baryła srebrna, na której wierzchu siedzi Bachus, w jednej ręce grono złociste wina, w drugiej złocistą czarę mając«; w inwentarzu Urszuli Sieniawskiej znajdujemy nalewki i puhary z jeleniem, kielichy z Fortuną, z lewkami, z orłem trzymającym herb litewski, z Salwatorem, z Samarytanką, z Kurcyuszem, z Wenerą, z satyrem, który orła trzyma, z głowami męskiemi i białogłowskiemi i t. p., blizkiem jest tedy przypuszczenie, że były to arcydzieła sztuki złotniczej, współcześnie tak wysoce rozwiniętej we Włoszech i Niemczech. W sali stołowej pałacu Kazanowskiego znajdowała się baryła srebrna, obejmująca 40 garncy wina, przepasana złocistemi obręczami, na której siedział Bachus, również z szczerego srebra, a nadto była w tej sali srebrna fontanna, z której podczas

Artystyczna strona.

biesiad wzbijał się na kilka łokci w górę winotrysk. Niekiedy ustawiano na służbie wśród sreber także barwiste, o fantastycznych formach szkła weneckie z Murano — »choć z Murania ma kryształy«, mówi w jednym wierszu swoim Wespazyan Kochowski — porcelany chińskie i fajansy włoskie, wówczas w Polsce dla rzadkości i trudności dalekiego transportu równie drogie, a może droższe od sreber, zapewne owe *vasa porcellana indica*, które ks. Baranowski wysyła z Rzymu królowi Zygmuntowi III; znajdujemy je też po zamkach i po znaczniejszych dworach, jak np. w Tropi, w Nieświeżu, Ogrodzieńcu, gdzie obok naczyń z górnego kryształu, oprawnych w złoto, i »kokosów«, t. j. kubków z kokosowego orzecha, na kredensach stały farfury i szkła tak drogocenne, że je przed najazdem szwedzkim wraz z najdroższemi klejnotami zakopywano w ziemi.

Szkła i farfury.

Co nas w urządzeniu zamków uderza, to fakt, że podczas gdy pod architektonicznym względem mają wyłącznie lub przeważnie piętno włoskie, to dekoracya ich wewnętrzna, głównie sprzęty, srebra i galanterye są pochodzenia niemieckiego lub flamandzkiego. Ossolińscy posługują się niemieckim malarzem Justem Ammanem, zamek Sieniawskich w Brzeżanach dekoruje stukaturami i rzeźbami Wrocławianin Pfister, podhoreckie sale i komnaty ozdabia pędzlem Jan de Baan, a w warszawskim pałacu Kazanowskich zastaje Jarzemski »holendrowe malarze w szerokich pludrach«, jak malują obrazy. Gdańsk był pośrednikiem między polskimi amatorami zbytku a utworami niemieckich rękodzieł artystycznych; Wrocław, Norymberga i Augsburg, z któremi kupiectwo naszych stolic utrzymywało

Dekoracya malarska.

ciągłe relacye, miały zawsze bardzo wydatne pole zbytu w Polsce. Mimo dwóch Francuzek na tronie polskim w XVII wieku nie traci u nas przewagi artystyczny przemysł niemiecki, dopiero z końcem XVIII wieku wypiera go z pałaców zwycięsko smak i artystyczna produkcya Francyi.

W każdym większym zamku była kaplica, a jeśli część zamku, poświęcona codziennemu życiu i czysto świeckim celom, uderzała bogactwem i świetnością sprzętu i dekoracyi, o ileż bardziej godziła się wspaniałość przybytkom modlitwy w społeczeństwie tak pobożnem. W dwóch dochowanych dotąd a znanych nam kaplicach, dochowanych jednak tylko w szkielecie, pozbawionym po największej części bogatej niegdyś dekoracyi w obrazach, sprzętach i aparatach, w zamku Krasickich i w zamku Sieniawskich, widzimy dziś jeszcze, ile kosztu łożono na ich artystyczne urządzenie. Kaplica zamkowa w Krasiczynie do dziś dnia imponuje bogactwem rzeźb i ornamentacyj, a mianowicie intarsyi w drzewie; kaplica w Brzeżanach, przeznaczona zarazem na mauzoleum rodziny Sieniawskich, pokryta jest rzeźbami świetnego dłuta Jana Pfistera, które całą swą bujność okazało przedewszystkiem w kopule i dekoracyi prawego skrzydła, obsypując je rozetami i puttami, festonami kwiatów i owoców; kaplica w zamku oleskim, który już w r. 1664 był na poły ruiną, miała bogatą marmurową posadzkę, sklepienie z »rzezaniem bardzo pięknem, z wierzchu złocistem«, jak się wyrażają lustratorowie, ołtarz misternie rzeźbiony, ławki wykonane subtelnie snycerską robotą i pozłacane całe dokoła. Nietylko w pierwszorzędnych zamkach magnackich znajdowały się takie bogate kaplice, spotykamy je także

Kaplice.

w domach zamożniejszej szlachty. W dworze Wielopolskich w Tropi była kaplica mała, ale po amatorsku wypieszczona, klejnocik modrzewiowej siedziby. Jak wiemy z inwentarza, spisanego r. 1637, kapliczka ta miała strop kasetowany i suto rzeźbiony, kaset było 16, a każdą wypełniał obraz religijnej treści. Ołtarz uderzał bogatą snycerską robotą i ozdobiony był posągami z alabastru, na ścianach wisiało przeszło sto miniatur pargaminowych, ławki czyli t. zw. formy były rzeźbione i złocone — ornaty, mszały, kielichy prawdziwie przednie i kosztowne.

II.

O ile wspaniałość wielkich zamków świadczyła o zmyśle monumentalności i o wyższym instynkcie kultury, o ile była szczerą a twórczą potrzebą potężniejszych indywidualności, pragnących stwierdzenia siły i dostojności swego rodu i stanu, a nie wypływała z pospolitego naśladownictwa lub z próżności, o tyle była dodatnim objawem społecznym w danym czasie i danej warstwie — kwestya wszakże, czyli z tą zewnętrzną świetnością, z tym materyalnym zbytkiem szedł także w parze wzgląd na wyższe, idealne strony życia, nie zawsze i nie całkiem da się rozstrzygnąć na korzyść czasu i ludzi. Dopiero na szarym końcu inwentarzy tych wielkich rezydencyj idą biblioteki, jeżeli tak nazwać można pewną ilość przygodnio zebranych książek. Czytamy wprawdzie, że na zamku brzeżańskim była »biblioteka portretami adornowana«, ale nie wiemy, czy były w niej książki; wiemy, że Adam Kazanowski miał w swym pałacu warszawskim bibliotekę w różnych językach, że w Ogrodzieńcu Firlejów, według słów wojewodziny smoleńskiej Petroneli Firlejowej, było »niemało ksiąg rozmaitych i drogą oprawą, kupionych za nieboszczykowskie pieniądze w cudzych krajach i w oj-

Biblioteki.

czyźnie«, że to była biblioteka wielka, »z której Szwedzi niemało pobrali«; że w Dąbrowicy były rękopisy »wybornem pisaniem, kosztownie oprawne« — ale są to niemal wyjątki, i nie mamy też wskazówek, któreby świadczyły, że zakładano biblioteki z zamiłowaniem, systematycznie i z celem. W wspaniałym zamku, zbudowanym przez wojewodę Marcina Krasickiego, który, jak się wyrażało jego epitafium: *Krasiczynum mundo admirandum fecit,* biblioteczka bardzo szczupła; jest w niej zaledwie sto dzieł przygodnio zgromadzonych, kilku klasyków starożytnych i kilku historyków polskich, dowiadujemy się zato, że niektóre księgi oprawne są w srebro i spoczywają w skrzyni aksamitnej także srebrem okutej.

Dzieła sztuki.

To samo da się także powiedzieć o dziełach wielkiej sztuki. Nie brak i tu wskazówek, że dzieła dłoni ludzkiej, których znaczenie polega nie na materyalnej ale na czysto idealnej wartości, że utwory sztuki jako czystej sztuki były w uderzającej mniejszości wobec tego nieprzebranego mnóstwa złota, srebra, klejnotów i bajecznie kosztownych sprzętów. Nie masz wprawdzie wątpienia, że między owym przepysznym »rozlicznym statkiem«, między temi skarbami w złocie, srebrze i bogatych tkaninach, które na 150 wozach w r. 1655 wywieźli łupiezcy Szwedzi z zamku Lubomirskich w Wiśniczu, znajdowały się i dzieła sztuki, obrazy i rzeźby, ale nie masz także wątpliwości, że stanowiły one tylko najdrobniejszą cząstkę zdobyczy. Hetman Krzysztof Radziwiłł ma rodzaj domowego muzeum, a syn jego Janusz w listach swych prosi krewnych, aby »obesłali *kunsztkamer* ojca specyałem jakim«; w zamku nieświezkim jest galerya obrazów, biblio-

teka, muzeum, zbiór wspaniałych zbroji, gabinet przyrodniczy i t. d., inwentarz zamku brzeżańskiego mówi o »obrazach włoskich«; w pałacu Kazanowskiego były posągi marmurowe i liczne płótna; pałac Jerzego Ossolińskiego mieścił w sobie całą kollekcyę bronzów artystycznych, posągi królów, spiżowe statuy, sprowadzone z Rzymu, mozaiki figuralne, popiersia marmurowe Cezarów rzymskich, a w kaplicy »przechodził wszystko obraz rzadkiej piękności, w którym mistrz pokazał całą swą sztukę«, jak zapewnia Jarzemski nie wymieniając malarza, w którym domyślać się należy któregoś z najsłynniejszych mistrzów włoskich. Bogaty był w płótna zamek żółkiewski, a musiały to być przeważnie rzeczywiste dzieła sztuki, skoro autor inwentarza, sam malarz, Siemiginowski, który zwykł przy każdym lichszym obrazie wyraźnie zaznaczać, że rzecz nic nie warta, taką krytyczną uwagę tylko przy nieznacznej stosunkowo części całego zbioru wypowiada. Obok pewnej ilości »szmelcowanych«, a więc emaliowanych, może limuzyńskich wizerunków, były w Żółkwi portrety, batalie, widoki, *nature morte* w bardzo wielkiej ilości, a między temi płótnami górował jeden *Depositionis Christi*, który musiał wyjść z pod pierwszorzędnego pędzla, skoro autor inwentarza dodaje przy nim uwagę: »obraz na desce, o r y g i n a ł n a j g ł ó w n i e j s z y«. Między obrazami spotykamy tam także scenę myśliwską włoskiego mistrza Bassano. Mikołaj Wolski, marszałek w. kor., posiadał liczny zbiór płócien włoskich w zamku swoim krzepickim, a że wiele było na nich kobiecych nagości, kazał je wkrótce przed śmiercią swoją popalić, »aby *ad libidinem* i do grzechu nie pobudzały«, na ściennych zaś ma-

Arcydzieła.

lowaniach w jego komnacie sypialnej jakiś domorosły artysta miał nymfom »sukienki wymalować i *inhonestates* pokryć«. Wojewodzina smoleńska Firlejowa zapisuje w swoim inwentarzyku następującą pozycyę: »obrazów nieboszczykowskich przodków i rozmaitych sztuk gwałt drogich i kosztownych, starodawnych obrazów niemało w Ogrodzieńcu i Dąbrowicy«, ale czy pod tym »gwałtem« obrazów domyślać się można konterfektów ubogiego pędzla domorosłych malarzy dworskich, czy też dzieł wyższej wartości, to kwestya otwarta.

Galanterye i cacka.

Ale wszystko, coby się dało przytoczyć z dzieł sztuki, zdobiących zamki i pałace aż do schyłku XVII wieku, niknie wobec niesłychanego bogactwa przedmiotów grubego zbytku, obliczonych na materyalny, nagły efekt, na chwytającą za naiwne oczy pompę, na egzotyczną osobliwość, na sztuczkę i niespodziankę. Są to same starożytne dziś dla nas galanterye i bibeloty, figielki, zabawki i cacka, niekiedy bardzo dowcipne i misterne, zawsze bardzo kosztowne, który o przeszło całe stulecie bliższy tym czasom Jezierski nazwie »sposobami fałszywej wyniosłości, drewienkami, szkiełkami i ozdobnemi pstrociznami«. Jakoż trudno sobie wyobrazić bogatszej pstrocizny nad to, co nam wylicza wielce ciekawy inwentarzyk zamku w Ogrodzieńcu z r. 1663. Spotykamy tam obfitość takich rzeczy, jak »zwierciadło, w którem z jednej strony widzi się wielka rzecz każda nad podobieństwo, z drugiej także nad podobieństwo mała«, »perspektywa z słoniowej kości, w której się pchła jako rak widzi«, »działeczka nad zamiar maleńkie kosztowną robotą«, »mysz rozmyślną robotą, która jako żywa biegała, kukułka, która jako żywa kukała«, »szka-

tuła oprawna w srebro, która sama grała«, »słoniowa kolebka z dzieciątkiem« i t. d., a to wszystko wśród całej Golkondy klejnotów, pereł, złota, najdroższych szat, złotolitych makat, kobierców i t. p. W pałacu Kazanowskiego leżą rozsypane po wszystkich stołach czary złote i kryształowe, kindżały i noże wschodnie, nabijane drogiemi kamieniami, z potężnych szaf oszklanych bije blask precyozów i najdroższych galanteryj, osobny skarbiec pełen jest sreber, rzędów sadzonych rubinami i ociekającej złotem broni; jest tam zegar, który co minuta wyrzuca gałkę złotą, jest wspaniała ptaszarnia pokojowa, są klawicymbały, pozytywy, lutnie, wiole, harfy w najkosztowniejszem wykonaniu, a to wszystko odbija się zewsząd w olbrzymich weneckich zwierciadłach. Trudnoby było i najupartszemu nawet chwalcy przeszłości zataić przed sobą, że cały ten zbytek, cała ta świetność materyalnej głównie natury, nie zbogaciła kulturalnego mienia narodu, nie poszła na rachunek cywilizacyjnego dorobku; rujnowały się na niej olbrzymie fortuny; całe szkuty złotej polskiej pszenicy brał Niemiec gdański za jedną osobliwą błyskotkę, tak, jak dziś jeszcze Europejczyk bierze od murzyna kość słoniową za szklane paciorki, a nic charakterystyczniejszego nad fakt, że istniał specyalny rodzaj towarów, zwany przez Włochów *roba per Polonia,* obliczony na próżność i lekkomyślność klas bogatych, na ciemnotę i łatwowierność ubogich. Dopiero w dobrych sto lat później odsłonią się oczom górującej warstwy narodu szerzej i jaśniej wieczyste cele kultury, rozpocznie się cywilizacyjna »rewaloryzacya walorów«, dopiero w dobrych sto lat później stworzy ks. Załuski swoją niezrównaną bibliotekę, kupi

Bezpłodność zbytku.

Roba per Polonia.

dziedzic tulczyński za 10.000 dukatów Madonnę Rafaela, wyłoży kanclerz Dominik Radziwiłł 60.000 czerwonych złotych na bibliotekę i gabinet przyrodniczy, powstaną Puławy i Nieborów, przyjdą na świat Działyńscy i Ossolińscy.

Rezydencye wiejskie.

Jak już nadmieniliśmy, aż do drugiej połowy XVII w. wszystkie niemal siedziby wielkopańskie były zamkami warownemi, czyli jak mawiano zawartemi; nie było wielkich i wspaniałych rezydencyj i dworów nieobronnych, otworzystych, bo te, które już w XVI i w pierwszej połowie XVII w. istniały, były wyjątkami. Do takich wyjątków należały podmiejskie pałace albo raczej wille, jak np. Łobzów królewski, jeszcze w r. 1596 według świadectwa sekretarza kardynała Gaëtaniego bardzo świetny i z uroczym ogrodem; jak włoska willa Bonerów w Balicach, *opus inter miracula reponendum,* jak Wola Justowska Decyusza, *castellum elegantissimum.* Z tych epitetów łacińskich, z których pierwszy pochodzi od Sarnickiego, drugi od Starowolskiego, wnosić można, jak się wydawały świetne i wspaniałe współczesnym i jak dalece uważano je za rzadkość i osobliwość godną admiracyi. Różanka Paców, o której się wyraża w swoim epigramacie Royzyusz: *Pacius has coelo sublimes extulit aedes,* była także więcej pałacem włoskim aniżeli zamkiem. Z czasem, kiedy zaczęły powstawać zamiast zamków obronnych wspaniałe a zarazem wesołe pałace i rezydencye wiejskie, poczęły się rozbrajać i stare zamki; jakby zrzucały z siebie pancerze, w których im duszno

Parki i ogrody.

i ciasno było przez długie lata. Zakładano tedy i przy zamczyskach obszerne ogrody; opasały się zielonym wieńcem drzew i krzewów groźne baszty. Istniały już i w XVII w. rezydencye z wielkiemi

i po amatorsku urządzonemi ogrodami, jak np. pałac t. zw. Kazimierzowski Władysława IV, otoczony parkiem włoskiego stylu, z »drzewami jakby baszty sklepionemi«, z parterami kwiatów, fontannami, posągami Neptuna, Herkulesa i t. p., z delfinami, wyrzucającemi z paszcz wodotryski i t. d., jak Kruszyna Denhofów, gdzie w r. 1646 świtę marszałkowej de Guébriant uderzył piękny ogród, ozdobiony parterami, szpalerami i pawilonami, jak Radziejowice Radziejowskich z bardzo obszernym i kosztownie założonym parkiem, pełnym cienistych alei, szyb wodnych, kwiecistych teras i t. p., jak Podhorce Koniecpolskich, w których Stanisław Oświęcim już przed rokiem 1650 podziwiał »fontany, groty i kaskady na wszystką Polskę sławne«; jak Żółkiew, gdzie według opisu bezimiennego francuskiego turysty (ks. F. de P.) z r. 1688 był ogród zamkowy z pawilonami, całemi ze szkła, i z trzypiętrową wieżą, z której rozlegał się widok na całą okolicę, a nadto olbrzymi park o gęstych gajach i rozległych trawnikach, po których bujały sarny i jelenie. Były to wszakże rzadkie jeszcze osobliwości w Polsce, inauguracye okresu, w którym powstać miały parki i ogrody na wielkie rozmiary, z bogatą inwencyą dekoracyjnych środków i prawdziwie artystyczną kompozycyą planu. Taką inauguracyą był park wspaniały w Laszkach Mniszchowskich, którego konfiguracyę i rozkład przechował nam rysunek oficera artyleryi Kleina z r. 1734. Ogród ten miał liczne partery i kobierce kwiatowe, których rysunek nie ustępował najlepszym tego rodzaju francuskim kompozycyom z końca XVII i z początku XVIII wieku, a więc z czasów słynnego Le Nôtre, posiadał wielką fontannę, trzy

Ogród w Laszkach.

basenie, wodotryski, labirynty, groty, tajemnicze ustronia, eremitaże i t. p. Długie potężne aleje tworzyły zasadniczą artykulacyę tego przepysznego parku, oplatała go misternie skombinowana sieć chodników, które miały ujścia w rondach i półkrężach, ozdobionych świątyniami, łukami, posągami i t. d.; oranżerye, pawilon bilardowy, amfiteatr, dwie kręgielnie i obszerna arena, urządzona na gonitwy do pierścienia, urozmaicały całość; po monumentalnych schodach, ozdobionych posągiem Neptuna, schodziło się do rzeki Strwiąża, który przepływał przez całą szerokość ogrodu a ujęty był w kamienną balustradę.

Kreacye parków.

Ale porą najświetniejszego rozwoju wyższej sztuki ozdobnego pejzażowego ogrodnictwa, porą, z której się datują najsłynniejsze kreacye tego rodzaju, są ostatnie dziesiątki lat XVIII wieku, szczytem zaś zbytku i wielkopańskiej fantazyi jest Zofiówka Szczęsnego Potockiego, stworzona podobno kosztem piętnastu milionów, opiewana przez Trembeckiego i Delilla, sławiona jeszcze w pierwszej połowie XIX w. jako *la merveille de l'Ukraine* — owoc posępnej raczej melancholji aniżeli poetycznej wyobraźni, tragiczna sielanka, smutny kwiat, rzucony na grób własnych illuzyj. Te wszystkie rozkoszne parki i pałace z drugiej połowy XVIII wieku, te wszystkie rezydencye wyliczone już przez nas poprzednio: Białystok, Łabuń, Słonim, Jabłonów, Wołczyn, Puławy i tyle innych, to już świat całkiem nowy, całkiem obcy, świat prawie improwizowany, odcięty od przeszłości, odcięty od społeczeństwa, odcięty nawet od domowych tradycyj tych ludzi, którzy go stworzyli. Już i te wspaniałe zamki magnackie, które powstały w ostatnich latach XVI i w pierw-

Nieszczerość amatorstwa.

szej połowie XVII wieku, nie wyrastały z siły, z kulturalnego gruntu społeczeństwa, nie wiązały się organicznie z swoim światem, ale przecież o tyle były mu bliższe i o tyle pożyteczne, o ile były zarazem obronne, o ile miały dwie racye bytu: praktyczną potrzeby i etyczną służby. Zbytkiem były owe bogate, złotem i srebrem nabijane zbroje szlachty polskiej, bo dość było na samem żelazie, ale w tych zbrojach bito się przecież i zwyciężano; zbytkiem była wspaniałość zamków magnackich, bo dość im było na samych basztach i wałach, ale te zamki stawiły przecież opór najeźdźcom i wytrzymywały oblężenia. O wielkopańskich siedzibach XVIII w. i tego powiedzieć nie można. Były niejako celem same sobie; nie było najczęściej między niemi a ich panami wewnętrznej relacyi smaku, szczerze odczuwanej estetycznej czy też cywilizacyjnej potrzeby i prawdziwego ukontentowania. Gdyby ten zbytek, niekiedy tak lekkomyślny i gorszący, był kwiatem z swojskiego, nad miarę żyznego gruntu, gdyby wypływał z wyrafinowanej sztuki życia, jak n. p. w współczesnej Francyi, z szczerego, głębokiego amatorstwa, gdyby ta elegancya zewnętrzna łączyła się była z elegancyą umysłów, lub gdyby była nareście schyłkowym patologicznym objawem, tak zrozumiałym w narodach bardzo starej kultury i bardzo bogatych środków, ale już przeżytych i przekwitłych — miałoby to wszystko pewne uzasadnienie i pewną logikę społeczną. Ale w narodzie młodym, ubogim, surowym jeszcze i mało oświeconym, był to tylko kontrast szyderczy, a dlatego boleśny, że zbiegał się z najtragiczniejszą dobą naszych dziejów.

Przepyszne te rezydencye, pełne najkoszto-

Przewaga francuskiego smaku.

wniejszych mebli i fraszek, przeładowane tem wszystkiem, na co tylko zdobyć się mogły zbytek paryski i złoto polskie, pełne pasożytów i przelicznej gawiedzi dworskiej, znane są zanadto dobrze z pamiętników, opisów, a nawet obszernych monografij, i do nich też odsyłamy czytelnika, poprzestając na kilku najgłówniejszych rysach. Jak w XVI i pierwszych latach XVII wieku Włochy, jak później przez cały okres czasu Niemcy, tak teraz głównie a nawet wyłącznie Francya wyciska swoje piętno na zbytku wielkopańskim. Paryż staje się Mekką polskiej elegancyi, Boule i Josephe dostarczają mebli; manufaktury Gobelinów i Sèvres zdobią ściany i kredensy; Riesener, Caffieri i Falconet modelują te kandelabry, zegary i złocone bronzy, które wypełniają pałace, Lebrun daje kartony do sufitów i dekoracyi, Boucher maluje sopraporty, Meissonier komponuje wnętrza i szczegóły urządzenia, jak np. dla marszałka Bielińskiego, Le Nòtre jest wyrocznią w sztuce zakładania ogrodów. Rousseau i Delille uczą pojmywania piękna przyrody. Przesadzanie się w tworzeniu parków i ogrodów jest jedną z głównych cech wielkopańskiego gustu w tych czasach. Nie masz rezydencyi bez kosztownego parku: Wołczyn, Białystok, Powązki, Puławy i t. d. przewodzą temu amatorstwu, które w stosunkowo krótkim czasie przechodzi rozmaite fazy smaku, od natury przegwałconej w dworską dekoracyę, od strzyżonych ścian szpalerowych i ciętych w sztuczne formy drzew Wersalu do szerokich planów, do dalekich perspektyw, do swobodnych grup drzew i rozległych płaszczyzn zielonych według nowatorskich projektów Anglika Kenta. Najsłynniejsze ogrody tego czasu, przedewszystkiem

Kopie i parodye.

francuskie, jak Beloeil księcia de Ligne, jak Montreuil pani de Polignac, Rincy księcia Orleańskiego, Le petit Trianon królowej francuskiej i t. p., mają swoje kopie i swoje parodye w Polsce, tylko że tych drugich znacznie więcej. Bywają między temi bajecznie niekiedy kosztownemi ogrodami dziwactwa i wybryki, prawdziwie dziecinne igraszki, jak w Powązkach Czartoryskich, jak w słynnej Arkadyi, jak w owej małpiej kolonii ks. podkomorzego Poniatowskiego na Solcu, która kosztować miała 200.000 dukatów, jak nareście w owym pełnym najkomiczniejszej sentymentalności i najniedorzeczniejszych konceptów *jardin moral et emblematique* wojewody bełzkiego Borcha. Nie dość na grotach z muszli, na pustelniach, na tkliwych symbolach i allegoryach w gipsie i malowanem drzewie, na barankach i sielankach à la Watteau, są jeszcze takie fantazye, sztuczki i niespodzianki, jak np. w Powązkach owe lepianki o słomianych strzechach, których wnętrza olśniewają bogatym a nieprzeczuwanym zbytkiem: »wierzch podobny do chaty, wnętrze do świątyni« — mówi o nich poeta-dworak. Krasicki dowcipnie wyszydza tę sentymentalno-sielankową modę słowami *Modnej Żony:*

Sentymentalizm sielankowy.

Niech będą z cyprysów gaiki,
Mruczące po kamykach gdzieniegdzie strumyki;
Tu kiosk, tu meczecik, holenderskie wanny,
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyanny,
Wszystko jak od niechcenia, jakby od igraszki,
Belwederek maleńki, klateczki na ptaszki.
A tu słowik miłośnie szczebiocze do ucha,
Synagorlica jęczy a gołąbek grucha,
A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy
Nad nieszczęściem Pameli albo Heloisy...

Zbiory artystyczne i naukowe

Amatorstwo ogrodów, jakkolwiek zbytkiem odbiegając od prawdziwej miłości przyrody, było mimo wszystko rysem dodatnim w życiu wielkopańskiem; dodatniejszym jeszcze był moment artystyczny, ozdabianie pałaców dziełami sztuki i zbiorami, chociaż i tu niekiedy więcej było mody i próżności niż szczerego pokochania. Puławom zawdzięczamy jedno z najbogatszych muzeów polskich, bo one to były jego płodnym zawiązkiem; płótna Rafaela, Giorgiona, Domenechina, Holbeina i bogata kollekcya innych arcydzieł wielkiej i małej sztuki, które dziś podziwiamy w muzeum ks. Czartoryskich, są kulturalnem wzbogaceniem Polski. Tulczyn Potockich był także bogaty w rzeźby i obrazy; była tam Madonna z św. Janem Chrzcicielem Rafaela, były płótna Giulia Romano, Tycyana, Rubensa, Van Dyka, Teniersa i t. d., były starożytne rzeźby rzymskie, był bogaty gabinet numizmatyczny, nie brakło biblioteki o 10.000 tomach. W Nieświeżu podziwiać mogli współcześni całą galeryę pierwszorzędnych dzieł sztuki, między któremi miał się znajdować Chrystus Leonarda da Vinci; podskarbi litewski Tyzenhaus posiadał bogaty zbiór płócien z pod znakomitego pędzla, Wincenty Potocki wielką kollekcyę sztychów i oryginalnych rysunków, między któremi, jak zapewnia Bernouilli, sam Rubens reprezentowany miał być przeszło 3500 okazami; Braniccy zatrudniają na swoim dworze w Białymstoku niepospolitego malarza Mirysa; Arkadya Nieborowska słynęła z bogactwa swego artystycznego skarbca, posiadała zbiór starożytnych kameji, waz etruskich, płaskorzeźby, lapidarium złożone z autentycznych kolumn, kapiteli, skulptur, przywiezionych z Morei. Ale nawet dzieła wielkiej sztuki albo słu-

żyły celom jakiejś dekoracyjnej fikcyi, w Arkadyi n. p. z starożytnych greckich kolumn i okruchów rzeźb budowano sztuczne ruiny; albo ginęły w całej powodzi cacek, galanteryj i osobliwostek, w pstrej mieszaninie sentymentalnych »pamiątek«, a co gorsza, w otoczeniu takich szczególnych zabytków, zbieranych z naiwną wiarą w ich wartość i autentyczność, jak np. kamień z grobu Cyda i Xymeny, trawka z pola Fingala, gałązka z miejsca, gdzie stała Troja, sandały Montezumy, szczypta popiołu Abelarda i Heloizy, grzebień Bianki Capelli, pantofle pani Maintenon i tym podobnych »muzealiów«, które sprawiają, że niektóre ustępy katalogu Gotyckiego Domku w Puławach czyta się jakby utwór humorystyczny jakiegoś dowcipnisia, który chciał wyśmiać manię antykwarską. Dalszym modnym zbytkiem były nadworne teatra, opery i balety. Utrzymywał taki teatr nadworny wojewoda ks. Adam Czartoryski w Puławach, hetman Ogiński w Słonimie, kanclerz lit. Sapieha w Różance i Dereczynie, hetman Branicki w Białymstoku. Grywano przeważnie rzeczy francuskie; w Białymstoku, »Wersalu podlaskim«, także włoskie.

Naiwna archeologia.

Teatra nadworne.

Po tem wszystkiem, co wiemy o rezydencyach magnackich ubiegłych wieków, łatwo sobie wyobrazić, co kosztowało ich utrzymanie w całym ruchu i wymaganej świetności reprezentacyi. Dość przytoczyć szczegół, że na utrzymanie rezydencyi w Puławach wydano w r. 1793 około półtora miliona zł., co mając na względzie ówczesną wartość pieniędzy, równa się pewnie czterem milionom dzisiejszym. Jeden z autorów cudzoziemskich, opisujących stosunki polskie w ostatnich latach XVIII w., ex-jezuita Vautrin, opowiada, że znał jednego magnata litewskiego,

Dworzanie i służba.

którego dwór zjadł w jednym roku 7000 korcy żyta, 4600 korcy pszenicy, 15.000 sztuk drobiu, 3600 garncy masła i 60 wołów, nie dziw też, że z majątku jego w przeciągu dwóch lat poszło w zastaw wsi dwanaście. Najznaczniejszą część olbrzymich wydatków, jakich wymagało utrzymanie rezydencyi magnackiej, pochłaniała służba. Już sama wielkość i obronność zamku wymagały licznej służby zbrojnej; zbytek i zamiłowanie świetności reprezentacyjnej podwajały lub nawet potrajały tę liczbę, niebezpieczeństwa publiczne, trwogi tatarskie, zajazdy i prywatne wojny możnowładców doprowadzały ją do rozmiarów, rzec można, nieprawdopodobnych. Służba wielkopańska miała swoje stopnie hierarchiczne, a dzieliła się na szlachecką i nieszlachecką. Uboga szlachta dostarczała zazwyczaj kontyngensu zbrojnej czeladzi i t. zw. służby rękodajnej. Sługa rękodajny — *manu stipulatus* — ztąd brał swoją nazwę, że podaniem ręki ślubował dotrzymanie warunków i terminu swojej ugody służbowej; był to niejako sługa za kontraktem, mógł pozywać i być pozywany w razie jego niedochowania. Obok świadczeń rozmaitych *in natura*, pobierał płacę w gotówce czyli t. zw. suchednie, który to termin powstał z utartego powszechnie zwyczaju, że służbie wypłacano należytość czyli jak zwykle mawiano »myto« kwartalne w okresach suchedniowych, t. j. około św. Łucyi, Popielca, Zielonych Świątek i św. Krzyża. Nie łatwo było zostać starszym dworzaninem, powiernikiem i towarzyszem samego pana. Trzeba było posiadać ku temu zalety umysłowe i fizyczne, a nawet rodowe. Kromer w swoim opisie Polski wymienia cztery konieczne warunki takiej kandydatury: *statura, forma, elegantia et genus*. Starszemi

Rękodajni.

Suchednie.

stopniami służby u wielkiego pana nie gardziła szlachta znakomitego imienia i senatorskiego nawet rodu; traktował ją też służbodawca z wyjątkowemi względami. Kanclerz Albrecht Radziwiłł zostawił nam wiadomość o dwóch wspaniałych weselach, które wyprawił swoim sługom, a mianowicie rękodajnemu Zawiszy, który pojął pannę służebną kanclerzyny, i drugiemu Czarlińskiemu, który również poślubił pannę z jej fraucymeru Rożnównę; oba te wesela trwały przez dwa dni, a w godach wzięli udział nuncyusz i senatorowie, a nawet dwór królewski zaszczycił je swoją obecnością. Między starszymi sługami Krzysztofa Zawiszy, wojewody mińskiego, spotykamy nazwiska najlepszej szlachty litewskiej, nawet personatów z powiatowemi tytułami, jak np. sędzia miński Trojan Mickiewicz, podstoli miński Dominik Wołodkowicz, obożny mścisławski Krzysztof Suryn.

Stosunek wzajemny pana i sługi nie zawsze jednak bywał tak patryarchalny i na obopólnym szacunku i przywiązaniu oparty, jakby to sobie wyobrażać można było po przytoczonym przykładzie Radziwiłłowskiego dworu — zbyt często tyraństwo pana lub zdradziecka niegodziwość sługi doprowadzała do krwawych zatargów, i mamy bardzo liczne przykłady, że dobry pan padał ofiarą sług zuchwałych i chciwych. Despotyzm i okrutna samowola niektórych możnowładców, którzy uważali się za udzielnych książąt, za panów życia i śmierci swoich poddanych i podwładnych, musiała niekiedy wywoływać gwałtowną reakcyę; przybierała bowiem cechy istnej cezaromanji i jeszcze ku końcowi XVIII i na początku XVIII w. zdarzały się wypadki, że taki na pół szalony pan skazywał na śmierć i rzeczy- Sługa i pan.

wiście tracił sługę, jak np. ów niewymieniony po nazwisku magnat-morderca, o którym opowiada pod r. 1645 w swym pamiętniku Albrecht Radziwiłł, lub jak ów chorąży w. lit., który jak to wiemy z pamiętników Matuszewicza, kazał stracić oficera swojej nadwornej milicyi, lotaryńskiego szlachcica, za bardzo błahe przewinienie. Sprawiedliwość każe atoli przyznać, że były to wyjątki, rzadsze w Polsce niż np. na dworach książątek niemieckich, i że w regule panowie bywali lepsi niż słudzy. Wiemy z testamentów i z aktów sądowych, że panowie hojnie wynagradzali długoletnią, wierną służbę, że opatrywali ją na całe życie, zapisywali jej na własność całe wioski, powierzali opiekę nad swojemi osieroconemi dziećmi. Wspomniany wojewoda miński Zawisza prowadzi regestr swego domu, notuje koleje i datę śmierci każdego sługi, z wdzięcznością wspomina o cnotach zmarłego, śle szczere westchnienia do Boga za ich dusze, jakby za członków własnej rodziny; spotykamy w regestrze takie dopiski o zmarłych, jak np.: »Mickiewicz ekonom, mój przyjaciel dobry«; »Byliński lutnista, przedni człowiek, wielce dobry«; »Pietraszkiewicz dowcipny i żartobliwy; kochałem go«; »Stawiński myśliwiec, człowiek zabawny, śmieszny i srodze żartobliwy — niech spoczywają wszyscy w najświętszym spokoju«. Anna Alojzya Chodkiewiczowa, z domu księżniczka Ostrogska, wdowa po wielkim hetmanie Janie Karolu, w testamencie swoim z r. 1651 rozdaje czterdzieści wsi sługom swoim w dożywotnie posiadanie; niektórzy z nich otrzymują po dwie wsi, jeden, nazwiskiem Milewski, nawet cztery. Nawzajem liczne są wypadki, że sługa okrutnemu nawet panu, znienawidzonemu po-

Patryarchalność stosunku.

wszechnie, służy do śmierci z rozczulającą wiernością, jak np. ów Zegart, sługa takiego gwałtownika i tyrana jak Dyabeł Łańcucki.

Jak licznym bywał w wieku XVII dwór wielkopański, o tem da wyobrażenie kilka dorywczo wybranych przykładów. Hetman polny kor. Stanisław Lubomirski trzyma dwóch marszałków, dwóch kapelanów, czterech sekretarzy, czterech krajczych, 60 sług starszych rękodajnych, 20 pokojowców, 10 śpiewaków, między nimi nawet trzech trzebieńców dyszkantowych, około 20 muzykantów; a do tego całą rzeszę dworzan znamienitszych, z których każdy miał osobną swoją służbę; dalej szlacheckich aplikantów, komorników, rezydentów i t. p., a poza tem całą armię służby pospolitej, nieszlacheckiej: kozaków, hajduków, dragonów i t. p. Nie tak znacznej fortuny Krzysztof Opaliński ma w Sierakowie między swoją służbą baronów niemieckich; samych pokojowców szlacheckich jest na jego dworze 24; wojewoda lubelski Rafał Leszczyński, jak się o tem dowiadujemy z listu posła francuskiego hr. d'Avaux (r. 1635), musiał po śmierci żony sprawić 2000 szat żałobnych, aby w nie ubrać swój dwór cały; w Bukaczowcach Jerzego Kalinowskiego († 1636) było 27 dworzan szlachciców, nadworna kapela, nadworny chirurg, malarz, pasztetnik, cała rzesza kluczników, kredencerzy, ogrodników, rzemieślników, wielka liczba hajduków pod wodzą osobnego pana »kapitana« i kompania węgierskiej piechoty z czterma szyposzami; wojewoda Zawisza poleca opiece i szczodrobliwości swoich spadkobierców 80 sług męskich; wspomniana już wojewodzina wileńska Chodkiewiczowa w testamencie swoim obdarza dożywociami i legatami około 60

Rzesze dworskie.

sług swoich męskich i żeńskich, wśród których figurują także trzy Tatarki, dwie karliczki i jeden karlik; wojewodzina trocka Tyszkiewiczowa w testamencie swoim wylicza i obdarza legatami 20 dworzan szlacheckich; Zofia Kostczyna, starościna malborska, 20 szlachciców i 20 szlachcianek, a oczywiście w obu tych wypadkach liczba tym sposobem ostatnią wolą obdarzonych obejmuje tylko najstarszych i najbardziej zasłużonych domowników i stanowi tylko pewną część całej służby. Liczba dworskiej służby nie umniejsza się wcale z biegiem czasu, zbytek ten kwitnie aż do końca XVIII wieku. Ks. Karol Radziwiłł ma w r. 1792 na swoim dworze w Nieświeżu marszałków, sekretarzy, koniuszych szatnych, stanowniczych zastęp cały, przemnogą rzeszę dworzan z wyższej szlachty, dalej dozorców skarbu, regentów i kanclerzystów, archiwistów, rewizorów i aż pięciu lekarzy i felczerów. To niejako sztab dworski, najwyższy stopień hierarchii. Z kolei idą baletmajstry, malarze, maszyniści, baletnicy (jest ich 20) i orkiestra złożona z 40 muzykantów. Stajnią opiekują się oprócz wymienionych już koniuszych trzej podkoniuszowie, 26 masztalarzy, 24 forysiów, 24 furmanów, 15 mulników i t. d., służbę podrzędniejszą spełnia 6 kamerdynerów, 6 kamerlokajów, 18 lokajów, 14 hajduków, 14 strzelców i t. d. bez końca — a trzeba wiedzieć, że był to już czas upadku dworu nieświezkiego, i że stan ten daje tylko słabą miarę tego, czem ten dwór był za czasów swojej świetności, przed klęskami, które podkopały fortunę jego pana. Za czasów saskich i pod panowaniem Stanisława Augusta zmniejsza się nieco służba kontuszowa a zwiększa się za to znacznie służba liberyjna; kostium czyli t. zw. barwa nieszlacheckiej

Wiek XVIII.

Maskarada liberyjna.

czeladzi dworskiej stają się prawdziwą maskaradą; przybywają nowe rodzaje służby i nowe, przedtem niespotykane nazwy: pajuków, laufrów, paziów, szwajcarów, kamerdynerów i t. p.. których obowiązki do najdrobniejszych szczegółów, a ubiory aż do ostatniego guzika opisał nam ks. Kitowicz, najobfitsze źródło w tym przedmiocie, na które nam tu tylko wskazać wystarczy. Lepiej jednak od niego, lepiej od wszystkich pamiętników tej pory i lepiej niżbyśmy to sami na ich podstawie uczynić mogli, odmalował nam książe biskup warmiński ten zbytkowny, do śmieszności posunięty, w ostatnich latach XVIII wieku już dobrze ku istnej parodyi chylący się zwyczaj utrzymywania licznego na wzór wielkopański dworu:

Obrazek sątyryczny.

Jaśnie wielmożny tyran, bożek okoliczny,
Dla większej wspaniałości raczy mieć dwór liczny,
Ztąd wyższe urzędniki, niższe posługacze:
Pan koniuszy, co bije, masztalerz, co płacze;
Pan podskarbi, co kradnie, piwniczny, co zmyka,
Sługa pieszy, dworzanin, co ma pacholika,
Pokojowiec przez zaszczyt wspaniałemu sercu,
A dlatego, że szlachcic, bierze na kobiercu.
Pan architekt, co plany bez skutku wymyśla,
Pan doktor, co zabija, sekretarz, co zmyśla,
Pan rachmistrz, co łże w liczbie, gumienny, co w mierze,
Plenipotent, co w sądzie; komisarz, co bierze
Więcej jeszcze niż daje, a złodziejów mniejszych
Kradnąc, sam jest użyty do usług ważniejszych.
Łowczy, co je zwierzynę, a w polu nie bywa,
Stary szafarz, co panu wiecznie potakiwa,
Pan kapitan, co żydów drze, kiedy się proszą,
Żołnierze, co potrawy na stół w gali noszą,
Kapral, co więcej jeszcze kradnie niż dragani,
I dobosz, co pod okna capstrzyk tarabani,
A kiedy do kościoła jedzie z gronem gości,
Bije w dziurawy bęben werbel jegomości.

Wojska nadworne.

Ale olbrzymi koszt łożony na zbyteczną służbę niczem był wobec zwyczaju trzymania milicyj dworskich. W XVII w. żołnierz prywatny był potrzebą nie zawsze publiczną, bo niestety zbyt często fakcyjną i osobistą; z biegiem czasów staje się coraz bardziej tylko paradą. Pierwotnie wojska prywatne składały się głównie z ubogiej szlachty zagonowej i z poddanych chłopów, których ćwiczono i ubierano na sposób niemiecki — *agrestes, habitu vero Germani* — później, zwłaszcza od czasu bezkrólewi po śmierci Zygmunta Augusta i po ucieczce Henryka Walezego aż w głąb XVII wieku poczęli możnowładcy polscy robić t. zw. »zaciągi«, t. j. werbować na Węgrzech i Wołoszy żołdactwo najemne. Kiedy w czasie bezkrólewia po zgonie ostatniego Jagiellończyka wojewoda sieradzki Łaski toczy prywatną wojnę z wojewodą krakowskim Zborowskim, sprowadza sobie węgierskich hajduków; przed elekcyą Stefana Batorego gromadzi starosta Mężyk w Stężycy 1600 najemnego węgierskiego żołnierza. Tych werbowanych na Węgrzech, a osobliwie w Siedmiogrodzie i Słowacyi najemników zwano pospolicie »sabatami«, i odtąd nie masz magnata, zwłaszcza na Rusi, któryby ich nie miał na swoim zamku. Rokosz Zebrzydowskiego, wyprawy Mniszchowskie do Moskwy, awanturnicze wojny, staczane przez panów polskich, Mohiłowych zięciów, o hospodarstwo wołoskie, prywatne wojny między Dyabłem Stadnickim a Łukaszem Opalińskim, między Herburtem Szczęsnym a Stadnickimi z Leska i t. d. były epoką największego wzmożenia się tych band najemnych, tych bezkarnych, łupieżczych, na pół dzikich sabatów, trzymanych na żołdzie magnackim. Sapiehowie, Stadniccy, Ligęzowie, Krasiccy, Her-

Wojny prywatne.

burtowie, Potoccy, Jazłowieccy utrzymywali w tych czasach całe korpusy takiego żołdactwa, z swoją własną i całych ziem ruiną. Obok Węgrów i Słowaków spotykało się w tych najemnych szeregach także rozhultajonych Lisowczyków, Tatarów, t. zw. czeremisów czyli lipków litewskich, Szkotów, Niemców, nawet cyganów. Niektórzy możnowładcy miewali po kilka tysięcy najemnego żołnierstwa; stałe kadry w spokojniejszych nawet czasach wynosiły po kilkaset pieszego i konnego żołnierza. Stanisław Lubomirski miał zawsze 200 dragonii niemieckiej i 400 Węgrów na swoim dworze. Jeszcze w XVIII w. każdy prawie zamożniejszy szlachcic miewa po kilkunastu albo przynajmniej po kilku ułanów lub kozaków, zato liczba magnatów, utrzymujących stale wojska nadworne, szczupleje bardzo, chociaż nie brak i w tych czasach dworów z ogromną stosunkowo siłą zbrojną; w Nieświeżu w roku 1792 była artylerya, chorągiew ordynacka, dragonia, lajbkompania i sześć kompanii piechoty po niemiecku zorganizowanej, razem około 3000 żołnierza. Bandy najemne.

Zamki i rezydencye wielkopańskie rozpadły się w gruzy; tylko mała ich cząstka zachowała się do naszych czasów w całości i z śladami pierwotnego splendoru. Na gruzach ich urosła legendarna tradycya, poetyczniejsza i chlubniejsza od prawdy. Miały one momenta zasłużonej sławy, epizody dobrze spełnionej misyi patryocznej i cywilizacyjnej, ale wpływ dodatni, jaki wywierały na społeczeństwo ubiegłych wieków, pożytek, jaki mu niosły, nie odpowiadał olbrzymim kapitałom, jakie w nich leżały, świetności materyalnej, do jakiej się wznosiły, brzemieniu w końcu, jakiem przygniatały lud ubogi, przyczyniający się znojem i groszem do ich Wpływ wielkich dworów.

blasku. I Rzptę kosztowały więcej, niż dla niej były warte. O ile były warowne, wstrzymywały do pewnego stopnia zagony najeźdzców i dawały schronienie uboższej szlachcie i najbliższym przynajmniej gromadkom bezbronnego ludu; o ile były tylko rezydencyami, zastępowały poniekąd miasta, bo w każdym wielkim dworze był ksiądz, lekarz, aptekarz i rzemieślnik. Dawały ubogiej szlachcie chleb łatwy, ale nie uczyły pracy; były może akademią ogłady, ale bardziej jeszcze szkołą serwilizmu i zuchwalstwa. Wpływu społecznego w kulturalnem znaczeniu i w pełniejszej mierze mieć nie mogły, raz dlatego, że ich stosunkowo było zbyt mało, powtóre, że między niemi a całem ich otoczeniem otwierała się przepaść, której wypełnić jedna strona nie chciała lub nie umiała, a druga nie mogła.

ROZDZIAŁ DRUGI

DWORY I DWORKI

I.

Sielskość i rycerskość to główne, niemal wyłączne cechy życia szlacheckiego w przeszłości. Nad ten spiżowy posąg w warszawskim pałacu kanclerza Ossolińskiego, wyobrażający Polskę w postaci niewiasty z pługiem u stóp a z mieczem w dłoni, nie mogło być trafniejszej allegoryi. Ów zwyczaj drobnej szlachty niektórych okolic kraju, która przy rozmierzaniu zagonu używała szabli jako jednostki mierniczej, owa legenda o wielkim hetmanie, któremu kiedy jeszcze był młodzieńcem, wręcza spotkany na polu chłopek właśnie co wyoraną pługiem buławę, wróżbę i godło przyszłej dostojności i chwały — to symbolika ziemiańsko-rycerskiej cechy polskiego świata. Sielskość daje wszystką barwę życiu, obyczajom, wczasom i trudom, historyi nawet i literaturze. Jeden z uczonych naszych wykazał trafnie na krakowskim zjeździe Kochanowskiego, jak nasi pisarze i poeci wszystkie swoje obrazy, przenośnie, porównania, czerpali z sielskiej wyłącznie obserwacyi. »Wsi spokojna, wsi wesoła, któryż głos twej chwale zdoła« — słowa te czarnoleskiego poety służyć mogą za dewizę życiu całej szlacheckiej Polski a mnóstwo jej waryantów spotykamy nietylko w drukowanej literaturze ale

Sielskość Polski.

i w tych rękopiśmiennych wierszach i wierszykach, które się przechowały po bezimiennych autorach. Warto dla charakterystyki tej dominującej strony polskiego życia w przeszłości przytoczyć tu kilka zwrotek jednej z tych wierszowanych gloryfikacyj sielskiego, ziemiańskiego bytu, którym Karol Szajnocha w swoich *Dwóch latach* nie wahał się przypisać wagi historycznych dokumentów, stwierdzających powszechną idyllizacyę szlachty ze szkodą jej politycznej i rycerskiej energii w przededniu wielkiej burzy, co miała wstrząsnąć podwalinami Rzeczypospolitej w połowie XVII wieku:

O pompy żadne nie stoję,
Mając spełna wioskę swoję,
Z kmiotkiem sprawa, moja zabawa.

To moje wszystkie klejnoty:
Dobra myśl, tańce, zaloty,
Wieniec na głowie; fraszka królowie.

Zaprzągłszy w pług sforne woły,
Rad zasiadam z przyjacioły,
Wszystkie tytuły, pełne ampuły.

Najdzie w piwnicy węgrzyna,
Chmiel wystały do komina
Niech przystawiają, a w dudy grają.

W kuchni domowa zwierzyna,
Sam jeleń nie nowina,
Rybkę mam świeżą, chleb na stół dzieżą.

Czasem też i z kramnym jadam,
Czasem i z książęty siadam,
Choćbym tu przydał: i królam widał.

Lamus pełen wszelakiego
Jest rynsztunku żołnierskiego,
Obrona w zdrowiu jest w pogotowiu.

W stajni Turek ugłaskany,
W stadzie cegiel farbowany,
Jest i siedzenie świetne na ścienie.

Obora tłusta, w stodole
Nie pustki, bo płodne role;
Za okny pszczoła, dyeta zgoła.

Karczma we wsi, pode dworem
Łaźnia, browar nad jeziorem,
Granica z lasem, drwa jak za pasem.

Młyn i tracz na bystrej wodzie,
Jarzyny bujne w ogrodzie,
Chmielniki w tyle, aż wejrzeć mile.

Miasto blizko, targ niegłodny,
Kościół we wsi, sąsiad zgodny,
Chłopów gromada — cóż wsi za wada?

Wsi cnotliwa, bodaj tobie
Kwitła sława ku ozdobie!
Jam twój, tyś moja, mój skarb chęć twoja!

Gniazdowość.

»Jam twój, tyś moja« — słowa te ostatniej zwrotki to jakby dewiza ścisłej, prawie nierozerwalnej łączności z gniazdową posiadłością. Należał szlachcic bardziej do swojej rodowej wsi niżeli ona do niego, bo kiedy jej już nie miał, ona go jeszcze miała; straciwszy ją, nadal do niej należał, z niej się pisał, choć już po innej wziął nazwisko. Posiadłość ziemska nazywała się przecież także »imieniem« — nie miało się imienia bez »imienia«. Ta gniazdowość, rodowość, pierwotność pochodze-

nia zachowywała się w nazwisku członków jednego i tego samego rodu, rozbitych i rozprószonych po całym obszarze Rzptej — mamy Herburtów dobromilskich, odnowskich, dziedziłowskich i t. d., ale wszyscy piszą się z Fulsztyna, tak jak wszyscy Ossolińscy z Tęczyna, Rejowie z Nagłowic, Twardowscy z Skrzypna, Wapowscy z Radochoniec i t. d. Znamienna to rzecz, że kobiety nie pisały się swojem zlokalizowanem nazwiskiem panieńskiem, ale zawsze po pierwotnem rodowem gnieździe, po »imieniu«. Fredrówna poślubiona Ossolińskiemu nie pisała się z Fredrów Ossolińską, ale z Pleszowic Ossolińską, Jazłowiecka zamężna za Bełzeckim nie z Jazłowieckich Bełzecką, ale z Buczacza Bełzecką i t. d. Zwyczaj ten utrudnia niekiedy zoryentowanie się w rodowodach, bo kiedy chodzi o mniej znane, nie-historyczne osoby, niełatwo dociec, jakie nazwisko panieńskie nosiła czyjaś małżonka i nie bez trudu dochodzi się, że z Kruźlowa Balowa, to z domu Pieniążkówna, z Irządza Orzechowska, to z domu Bolestraszycka.

Zwyczaj spadkowy

Nie bez znaczenia dla tej nieprzerwalnej łączności z rodowem gniazdem był zwyczaj staropolski, że nie najstarszy, ale najmłodszy syn dziedziczył rodowy majątek — chodziło tu jakby o absolutną bezpośredniość kontynuacyi rodu, chciano niejako, aby właśnie najpóźniejsza, ostatnia latorośl osiadała konarem na pniu dziedzicznym, aby ostatnie właśnie ogniwko zaczepiało o dalszy łańcuch potomstwa. Dawało też prawo możność powrotu do straconego rodowego gniazda; t. zw. tytuł bliż-

Prawo bliższości.

szości, *ius retractus, ius propinquitatis,* ułatwiał odkupienie rodzinnego majątku od nabywcy po tej samej cenie, w jakiej był sprzedany. Była też

pielesz ojczysta podwójnie drogą; obok realnej wartości miała urok idealny, historyczny, pamiątkowy: *hic sacra, hic gens, hic maiorum multa vestigia,* mógł o niej powiedzieć z Cyceronem szlachcic starego gniazda. Cała zaś tradycya i gniazda i rodu, cała niejako synteza, cała suma najżywotniejszych i najpoufniejszych warunków czci i bytu rodzinnego mieściła się w ścianach tego szlacheckiego dworu, o którym mówić właśnie mamy.

Dwór w regule drewniany.

Bywał zazwyczaj drewniany, bo w zgodzie z swoją ogólną sielską fizyognomią, po za nielicznemi zamkami i pałacami, poza liczniejszemi od nich kościołami i klasztorami, cała Polska, jak już raz zaznaczyć mieliśmy sposobność, była drewniana. Wiemy, że nie mówiąc już o zwykłej szlachcie; senatorowie mieszkali w drewnianych dworach- »w podłem drewnianem budowaniu majętności na, sze chowamy«, powiada Górnicki. Że stosunkowo wiele wiemy o świetności zamków i ich wewnętrznego urządzenia, zawdzięczamy właśnie temu, że było ich mało, że stanowiły wyjątkowy przedmiot admiracyi dla swoich i wyjątkowy punkt obserwacyi dla obcych, a że dlatego właśnie przez swoich i obcych tak często i stosunkowo tak obszernie były wspominane i opisywane, więc sprawia to na nas złudne wrażenie, jakoby ten splendor wielkopańskich zamków i pałaców dostatecznie gęsto i szeroko roztaczał się po ziemiach polskich, aby im nadawać jakąś ogólniejszą cechę wysokiej materyalnej kultury.

Warunki wygody i bezpieczeństwa.

Jak wszędzie i zawsze, wygoda i bezpieczeństwo były najważniejszemi warunkami domostwa; tylko że wymagania wygody były w Polsce znacznie mniejsze, a wymagania bezpieczeństwa znacznie

większe niż gdzieindziej. Hartowniejsza odporność zdrowia i większa śmiałość fizycznego życia redukowały wygodę do bardzo skromnej niekiedy miary, podczas gdy rozmaite rodzaje niebezpieczeństwa, nieznane czasom dzisiejszym i nieznane nawet w przeszłości innym krajom, wymagały w Polsce odrębnych środków ostrożności. Były całe dzielnice Polski, które czy to z powodu swego pogranicznego położenia, czy to wskutek innych szczególnych stosunków lokalnych, wymagały po mieszkańcach swoich ciągłej ostrożności i ciągłego pogotowia do zbrojnego odporu napaści. Kresowe położenie, blizkość »paszczęki tatarskiej« i mało co bezpieczniejsze sąsiedztwo takich bezustannie zawichrzonych krajów, jak Wołoszczyzna lub Siedmiogród, a wkońcu miejscowa przewaga niesfornych, w każdej sposobniejszej ku temu chwili dziczejących aż do otwartej anarchii żywiołów społecznych — wszystko to sprawiało, że nawet w czasach spokoju żyło się jakby na wojennych czatach. Da się to przedewszystkiem powiedzieć o Ukrainie, Podolu, Wołyniu, o całem województwie ruskiem. Stąd poszło, że w tych stronach Polski każdy ziemianin mieszkał jakby w małej forteczce. Każdy prawie nieco zamożniejszy dwór szlachecki był obronnym do pewnego stopnia zameczkiem i taką mu też dawano nazwę. W aktach publicznych XVII wieku spotykamy się ciągle z nazwą *fortalitium* w miejscach, gdzie jak dowodnie wiemy, nigdy twierdzy w najszerszem choćby znaczeniu tego słowa nie było, bo tak nazywano dwór szlachecki, skoro był tylko okopany lub obwiedziony ostrokołem, choćby był zresztą cały drewniany. Że istotnie chodziło tu o dwory drewniane i że wogóle nazwa *fortalitium*

Obronność dworów.

Zameczki.

oznaczała zwykły dom, nieco lepiej od nagłej nocnej napaści ubezpieczony, wypływa nietylko z opisów bliższych ale i z stałego określenia *fortalitium muratum* tam, gdzie chodziło o siedzibę murowaną, jak niemniej z faktu, że prawdziwie obronny zameczek dla odróżnienia nazywano *arx*.

Z inwentarzy dóbr szlacheckich XVI i XVII wieku, jakie się nam dochowały w aktach sądowych, da się powziąć wyobrażenie, jak wyglądał taki drewniany szlachecki zameczek. Przedewszystkiem cechą jego główną była baszta czyli jak ją niekiedy nazywano, bojnica. Nawet w domach, które materyałem i bardzo dorywczem wiązaniem ścian przypominały lepsze nieco chaty włościańskie, nawet tam, gdzie ściany te w znacznej swej części sklecone były z chrustu i lepione gliną, bywała baszta, oczywiście także drewniana, jak to wiemy np. z inwentarzy ziemi sanockiej z r. 1645 (Pisarowice). Baszta taka służyła bardziej do straży niż do obrony, czuwali na niej zwykle poddani chłopi, którzy na znak czujności musieli spiewać lub dąć w piszczałki, zwyczaj, który się dochował do naszych czasów u nocnych wart wiejskich. Baszta miewała co najmniej cztery sążnie wysokości a szczyt jej opatrzony bywał w strzelniczkę o sześciu lub ośmiu okienkach. Bywały drewniane zameczki, które miały po kilka baszt; np. w Tustanowicach, majątku Stadnickich, dwór otoczony dokoła wysokim wałem, opatrzony był trzema drewnianemi basztami na podmurowaniu; w jednej z nich była także kaplica, w drugiej świetliczka z komnatką, a na spodzie »schowanie«, w trzeciej większe pomieszkanie i skład broni. Wchodu do tak obwarowanego obejścia strzegła piętrowa brama

Baszty i wały.

Straże nocne.

z izbą i strzelnicą o »trzech wierzchach«. Dwór drewniany w Korzenicy pod Jarosławiem według krótkiego opisu z r. 1670 otoczony był wałem i fosą a opasywał go nadto dokoła parapet z silnych balów, przerywany drewnianemi basztami; dwór w Wielkich Oczach oprócz wału miał cztery baszty ubijane z ziemi, dwór w Drozdowicach w przemyskiej ziemi (r. 1661) miał pięć baszt bardzo znacznej wysokości i objętości z drzewa jodłowego. Najobronniejsza z nich zbudowana była z kręglaków, trzy dalsze z materyału »pod hybel ciosanego«, jedna »z pruska« na glinę robiona. W basztach tych były sienie wiodące do izb; w każdej baszcie była izba i komórka sekretna, a izby te były wcale przestronne, miały bowiem po 2, 3 i 5 okien. Jedna z baszt uwieńczona była drugą małą baszteczką. Bardzo ważnym, ważniejszym może jeszcze od baszty środkiem obronnym były ostrokół i okop. Taki okop składał się z fosy i wału; fosa miewała zazwyczaj cztery łokcie szerokości i trzy łokcie głębokości, wał zaś bywał na sześć łokci wysoki. Jako typ takiej obwarowanej siedziby szlacheckiej posłużyć nam może rezydencya wojewodziny mścisławskiej Kiszczyny w Ożomli. Sam dwór drewniany i jego główne podwórze obwiedzione były wysokim ostrogiem czyli częstokołem z silnych dębowych palów, które u góry zaciosane były jakby w groty dzid; u dołu ostrokół ten wzmocniony był podsypem ziemi i podgrodzony silnym płotem, sięgającym po pas człowieka. To był pierwszy okrąg warowny. Za nim szło gospodarskie podwórze, otoczone dokoła t. zw. tynem, to jest bardzo mocnem i wysokiem ogrodzeniem, ociernionem u góry, a poza tem ogrodzeniem opasywały i za-

Okop. Ostrog. Tyn.

mykały cały obszar siedziby wał wysoko usypany i głęboka fosa. Każdy taki zameczek posiadał oczywiście swój arsenał, czasem nawet bardzo zasobny w działka, moździerze, hakownice, muszkiety, w proch strzelniczy, gotowe już naboje i w ołów na kule. Nie zapominano też o prowiancie, którego zapasy w każdym zresztą zamożniejszym domu szlacheckim bywały bardzo obfite a składały się także z żywności, która przez długi czas konserwować się dała, jak np. z solonego mięsa, suszonych ryb, głównie szczuk i pstrągów, kasz rozmaitych i t. p. Bardzo często spotykamy w spisach prowiantowych »suchy chleb na wojnę«, t. j. suchary.

Ale nawet i takie siedziby szlacheckie, które nie były zameczkami w rodzaju opisanych powyżej, ubezpieczone były dostatecznie od nieproszonego napastliwego gościa, o którego nie było trudno. Przestrzegano tego, aby jak mawiano: pierwej było *Otwórz* a dopiero potem *Pomagaj Bóg*. Obejście dworskie opasywał wysoki płot, silnie grodzony, zamożniejsi zdobywali się na odylowanie pokryte gontowym daszkiem, lub na t. zw. zamiot, po dzisiejszemu parkan, złożony z desek, wpuszczonych horyzontalnie w dębowe słupy. Silna brama, pilnowana przez wrotnych, strzegła podwórza, drzwi wchodowe z grubej dębiny, okowane, i żelazne ostrowia, t. j. kraty u okien, strzegły samego domu. Brama główna, wiodąca na obejście, miewała najczęściej t. zw. samborze, t. j. po obu bokach bramy i nad nią były piąterka, przeznaczone na mieszkanie wrotnych stróżów, do którego schody prowadziły od wewnętrznej strony podwórza. Niekiedy samborza takie były uzbrojone, np. we dworze w Tropi umieszczone były w bramie dwa działa

Samborze.

i trzy moździerze, często też bywały ważną integralną częścią obwarowania i łączyły się z basztą. Opis takiego bardzo okazałego i tak pod architektonicznym jak i pod obronnym względem bardzo rozwiniętego samborza daje nam wizya drewnianego dworu w wspomnianych już Drozdowicach, tenucie starosty przemyskiego Madalińskiego. Sąmborze to zamykało wjazd do okopu i stanowiło niejako piątą basztę; dwoje wrót wielkich żelaznemi ćwiekami nabijanych na sporych żelaznych czopach, miało potężne wrzeciądze, które odsuwano tylko w razach wyjątkowej potrzeby, zwykle bowiem wchodzono i wychodzono małą furtką. Po obojej stronie tej bramy znajdowały się komory dla chowania sprzętów lub broni; na samych zaś wrotach i na przylegających komorach położone były dźwigary, na których wznosiło się piętro, t. j. izba z drzewa jodłowego pod hybel ciosanego, o pięciu oknach, każde okno na dwa łokcie wysokie a na półtora łokcia szerokie. Okna miały szyby ze szkła weneckiego, rżniętego w cegiełki i w ołów oprawiane; w izbie był piec gdański i komin murowany, obok izby alkierzyk. Dach dwoisty łamany z blaszanym powietrznikiem pokrywał całość.

Oryentacya. Mądrym zwyczajem staropolskim przestrzegano, aby dwór był budowany »na jedenastą godzinę«, to jest, aby jego czoło czyli fasada frontowa miała pełne słońce w tej porze dnia, kiedy ono nie dobiega jeszcze samego południa. Tym sposobem wszystkie strony domu miały słońce o pewnej porze dnia, podczas gdy dwory z czołem na pełne południe, nie mogły go mieć w tylnych, ku czystej północy zwróconych pokojach.

Rozkład domostwa. Sam rozkład pokojów mieszkalnych bywał różny, a z lustracyi i inwentarzy nie

da się wywnioskować jakaś stała norma lub złożyć jakiś typ przeciętny; nie było go też zapewne; tyle wszakże da się powiedzieć, że niemal powszechną regułą był podział domostwa na dwie równe połowy, przedzielone sienią bardzo obszerną. Do sieni wchodziło się z ganku, o którym wiemy, że bywał »balasisty«, sama zaś sień i rozmiarami swemi i przeznaczeniem uchodziła prawie tak samo za pryncypalną część domu jak sala stołowa. Czem w zamkach zawartych był dziedziniec, służący za punkt zborny, za majdan, tem w dworze szlacheckim była sień. Tu odbywały się sąsiedzkie sejmiki, tu gromadziła się czeladź w razie alarmu, tu gotowała się wyprawa łowiecka lub zajazdowa, tu wreście na sianie spali pokotem goście w czasie wesel, festynów, pogrzebów. Ściany sieni służyły do wieszania broni i sieci myśliwskich, a ogrzewał ją zazwyczaj olbrzymi komin murowany. Z sieni prowadziły drzwi w trzech kierunkach, naprzeciw wejścia głównego do ogrodu, sadu czy też wirydarza, na prawo i na lewo do pokojów. Jedna ze stron czyli połowic domu była pańską, druga w przeważnej części czeladnią. Po stronie pańskiej najobszerniejszą i najgłówniejszą była izba stołowa, po niej szła świetlica, nazwana później bawialnią, a jeszcze później salonem; podrzędniejsze już i czysto poufne znaczenie miały salki, izby, komnaty, pokoje, alkierze, przyboki, komory. O ile te rozmaite nazwy były dowolne, a o ile uzasadnione odmiennością rozmiarów, formy lub przeznaczenia, nie łatwo dziś oznaczyć stanowczo. O komorach wiemy, że były to małe izdebki, przeznaczone na chowanie rozmaitych ruchomości i zapasów pod stałem zamknięciem, i nazwa ta w tem samem zna-

Sień.

Alkierz i komora.

czeniu rzeczy dotąd przechowała się u ludu; alkierze nie zawsze znaczyły to samo, czemu dziś tę nazwę dawać zwykliśmy. Nie bywały to ani t. zw. dziś nisze ani alkowy — bardzo często nazywano tak nawet duże i jasne pokoje, bo liczące 6 do 8 okien, jak tego dowodzą lustracye. Alkierz odpowiednio do swej nazwy, pochodzącej od niemieckiego *Erker*, bardzo długo, bo aż w głąb XVII w. oznaczał izbę narożną, która zamykała przestrzał pokojów, a ujęta była ścianami wykuszu albo wogóle tej części domu, który wysuwał się czy to na rogach czy też z boków budowania naprzód i tworzył rodzaj wyskoku. Oprócz nazw wymienionych miały pokoje każdego większego dworu jeszcze inne specyalne nazwania, bądź to od urządzenia i koloru obicia lub malatury, bądź od użytku, do jakiego służyły; były więc pokoje przyjacielskie czyli t. zw. złożenia, t. j. pokoje gościnne, pokoje białogłowskie, a dalej pokoje czerwone, zielone, farfurowe i t. p.

Architektura dworków.

Jak się przedstawiały dwory zamożnej szlachty w XVI i XVII wieku na zewnątrz, o tem brak wystarczających wskazówek. Nie mamy też ani dochowanych zabytków architektonicznych ani rycin z owych czasów; wszystkie te drewniane dwory padły ofiarą pożaru, czasu i manii nowatorstwa, która w ostatnich latach XVIII wieku opanowała zamożniejszą szlachtę. To, co dochowało się do naszych czasów, sięga zaledwie XVIII lub ostatnich lat XVII wieku. Architektura dworów szlacheckich rozwijać się musiała jak wszędzie i zawsze, najpierw pod wpływem głównego materyału, którym było drzewo, dalej pod niemniej decydującym wpływem klimatu, warunków życia, kultury i bezpieczeństwa, a te były całkiem odrębne w Polsce.

Mógł też i powinien się był wyrobić styl rodowity polski, czy się jednak wyrobił, czy istniał w XVI i XVII wieku, jest to pytanie, na które nie mamy jasnej odpowiedzi. Doszukiwanie się śladów tego stylu w zachowawczych formach ludowego budownictwa, restytucye i architektoniczne hipotezy dzisiejszych autorów polegają raczej na fantazyi aniżeli na znajomości starego świata polskiego. Jedyny typ starych, dochowanych dotąd dworów, powtarzający się stosunkowo dość często we wszystkich niemal dzielnicach polskich, owe barokowe dwory z łamanemi dachami o dwóch kondygnacyach i z narożnikami o stromych, jakby wieżyczkowych lub basztowych kopułkach czy hełmach, są tylko naśladowaniem w drzewie pałaców polskich z ostatnich lat XVII i z XVIII wieku; naśladował w nich mały szlachcic wielkiego pana, domorosły cieśla Mansarda i Lepautre'a. Zdaniem naszem pochodzą one z bardzo już późnych czasów, już dobrze z XVIII wieku, a prototypu ich szukać należy w pałacach warszawskich tego rodzaju, jak nieistniejący już dziś pałac marszałka w. kor. Bielińskiego, zbudowany przez Fontanę, lub również już tylko z rycin znany pałac Łubieńskich na Królewskiej ulicy. Mimo tego nieswojskiego pochodzenia architektura tych dworów i dworków tak była w Polsce ulubiona, tak się często powtarza całą swoją artykulacyą, tak zresztą pod siekierą polskiego cieśli i pod wpływem naiwnego przeniesienia form i ornamentacyi z kamienia i muru na drzewo, przybrała cechy jakiejś swojskiej oryginalności, wkońcu tak długą ma za sobą tradycyę, że posiadła niejako indygenat i dziś prawie słusznie uchodzić może za wzór ozdobniejszego

Styl rodowity.

Typ barokowy.

budownictwa sielskiego. Atoli ściśle rzecz biorąc, ten właśnie typ budowniczy nie zgadza się z najistotniejszą może cechą starodawnego dworu polskiego, a to dlatego, że jest niejako dośrodkowo, zewnętrznie pomyślany, że dyktuje z góry formę i przestrzeń, że tworzy stale zamkniętą całość, do której nic dodać i z której nic ująć nie można, że zatem daje za wiele albo za mało. Tymczasem dwór staropolski powstawał odśrodkowo, rozwijał się i uzupełniał od wnętrza na zewnątrz, a nie przeciwnie; nie był nigdy od razu gotów i dlatego ani z góry pomyślanej architektury ani zamkniętej, organicznej niejako artykulacyi posiadać nie mógł.

Odśrodkowość budowy.

Dobudówki.

Stawał się powoli, robił się, rósł, aż się stał i urósł w pełnię. Miał swoją biografię jak człowiek, a ta historya jego życia czytała się w jego przystawkach, dobudówkach i przebudówkach. Nie był prędzej skończenie gotów, zanim nie mieścił wśród swoich ścian trzech pokoleń. Miał sto lat wzrostu i dojrzewania. Dziad go zaczął, wnuk dopiero ukończył. Bez wszelkiej przesady mógł o nim spiewać Wespazyan Kochowski:

Tu ojciec z dziady, krewnych gromady,
I mali wnukowie
Dzieciństwa doszli, tu w zgodzie rośli
Przy swej starszej głowie.

Nie miał też dwór staropolski prawie nigdy architektonicznej jedności, musiał być do pewnego stopnia nieforemnym aglomeratem, ale improwizowanym układem swoich mas i członków nabierał malowniczości, a że był szczerym wyrazem życia, potrzeby, obyczaju, smaku kilku pokoleń, miał charakter.

Piętra.

W regule dwór drewniany nie miewał piętra, twierdzenie jednak, z jakiem się ostatniemi

czasy spotykamy w naszej fachowej literaturze, jakoby go nie miał nigdy, jest mylne. Bardzo często spotykamy się w starych lustracyach i inwentarzach z pokojem lub komnatą górną, a o niektórych dworach wiemy stanowczo, że miały cały szereg piętrowych izb, jak np. o dworze drewnianym Wielopolskich z XVII wieku w Tropi, gdzie na piętrze była sala, izba stołowa i kaplica, a więc cała reprezentacyjna część domostwa. Jeszcze wcześniejszy, bo z r. 1582, inwentarz Modlnicy Wielkiej pod Krakowem, własności niegdyś Salamonów, a później sekretarza królewskiego Stanisława Fogelwedera, zapisuje dwór drewniany z piętrem, mieszczącem w sobie salę o sześciu, alkierz o czterech oknach, izdebkę, kilka komor, spiżarnię i ganeczek. Dwór drewniany, zbudowany w r. 1660 przez starostę przemyskiego Madalińskiego w Drozdowicach, którego opis zachował się w aktach grodzkich, nie miał piętra mieszkalnego; piętro jego stanowiła kaplica, do której się wchodziło schodami z olbrzymiej sieni, ogrzewanej dwoma potężnemi kominami. Kaplica ta, jako piętrowy fronton, nadawać musiała dworowi formę okazałą i wielce malowniczą, która z szczegółów opisu dałaby się odtworzyć z przypuszczalną wiernością. Oto u głównego wejścia do dworu był ganek podjazdowy, czyli jak ją nazywa nasz opis »wystawa«, składająca się z kilku dębowych słupów i obwiedziona dokoła galeryą z balasów, a na tych słupach spoczywała jakby *loggia* lub wykusz kaplica, również galeryą z balasów otoczona. Miał więc ten fronton drozdowieckiego dworu dwoistą galeryę, rodzaj piętrowej ciesielskiej kolumnady, która nadawała mu bogatą a lekką i jakby koronkową artykulacyę,

a jeśli dodamy do tego, że kaplica uwieńczona była bardzo misternym i ozdobnym dachem, a właściwie hełmem w troistą banię z blaszanym powietrznikiem, jak to zapisuje lustracya, jeśli zważymy także, że polska ciesielka, ta wspomniana już przez nas *magnifique charpenterie,* którą podziwiali Francuzi w Polsce, celowała w profilowaniu i dekoracyi swego materyału — to będziemy mieć wyobrażenie, jak malowniczo i oryginalnie wyglądał dwór drozdowiecki. Ale nie sama ta »wystawa« z kaplicą stanowiła jego architektoniczną oryginalność. Dowiadujemy się dalej z opisu, że dwór ten miał okap suty wiązany, bo czytamy, że »ciężar dachu nie na budynku ale na wiązaniu dokoła budynku uczynionem leży«, a przypuścić śmiało możemy, że to wiązanie nastręczało cieśli pole do pokazania całej swej sztuki.

Już z tych kilku przykładów wnosić można, że jakkolwiek domostwa szlacheckie w regule obchodziły się bez architektonicznych ozdób i na zewnątrz poprzestawały ściśle na tem tylko, co dyktowała praktyczna potrzeba, nie tak rzadkie przecież były dwory, w których i fantazya budowniczego i zmysł estetyczny dziedzica szukały pola

Ozdobność budowy.

do popisu. Ulryk Werdum w opisie podróży swojej po Polsce w latach 1670–2 często przytacza dwory szlacheckie drewniane, które oryginalnością lub ozdobnością swoich form zwracały jego uwagę, jak np. piękny dwór o pięciu szczytach pod Mławą, dom dwuszczytowy w Mikoszycach, dwory w Korzenicy pod Jarosławiem, w Wielkich Oczach, Pila-

Dach.

szkowicach i t. d. Spotykamy też często w dawnych opisach i lustracyach wzmianki o »gwiazdach« i »karczochach« zdobiących szczyty i przyczołki

domostwa, o dachach »z czterma wierzchami«; autor znanego pamiętnika Poczobut, budując dom w Zarościu (r. 1683), ozdabia go malowaną kopułą i gałkami z blachy; niedokładny nawet opis dworu w Modlnicy dostarcza nam niewątpliwych wskazówek, że była to budowa o bogatszej artykulacyi i że uderzać musiała malowniczą sylwetą, wynika bowiem z podanych szczegółów, że piętro było mniejsze od parteru, co już zaznacza pewien zamiar form architektonicznych, że pewną część piętra obiegał ganek, że dach był z pewną misternością skomponowany, bo miał pięć szczytów i wieżyczek i »jakoby pięć przegród«, że zatem dach ten należał do rzędu owych polskich dachów, »wysokich, piętrzystych«, jakie Górnicki w swoim *Dworzaninie* przenosi nad płaskie dachy włoskie, bo te »nigdy tej piękności i tego kształtu i pożytku nie mają«, co dachy swojskie. Fakt, że takie strome, wieżyczkami i lukarnami przerywane dachy były jedną z charakterystycznych cech ozdobniejszych dworów drewnianych XVII wieku, stwierdza się także na zamku samborskim, który był tylko wielkim drewnianym dworcem albo raczej grupą dworów odosobnionych, opasaną obronnym »płotem witym między dębowemi kołami« i wysokim parkanem z kilku również drewnianemi basztami. Otóż według lustracyi z r. 1596 wszystkie dachy na tych dworach i bramach zamkowych były ozdobione gankami czyli galeryami, wieżyczkami, »baniami i banieczkami«, złoconemi gałkami i powietrznikami. Ksiądz Chmielowski w swoich *Nowych Atenach* mówi o polskich dachach »zawijanych i poddartych«; Kitowicz na schyłku XVIII wieku widział jeszcze drewniane domy szlacheckie, z fantazyą

Banie i powietrzniki.

budowane, we dwa piętra, »przyzdobione zewnątrz galeryami, wystawami, gankami i przysionkami«.

Ideał wiejskiej siedziby.

Że wyższy, poetyczniejszy urok pięknej siedziby wiejskiej nie był obcy duszom w ojczyźnie Reja i Kochanowskiego, w takim na wskroś sielskim narodzie, tego dowodzić nie potrzeba. Istniał zawsze pewien ideał wiejskiego mieszkania z wszystkiemi powabami natury, dostatku, wygody i ładu, do którego wszyscy tęsknili, wielu dążyło, choć mało się zbliżyło. Taki wdzięczny ideał sielskiego siedliska i jego otoczenia przekazał nam w zachowanym z XVII wieku rękopisie kasztelan brzeski Jakób Ponętowski, który kreśli nam jakby wypieszczony w imaginacyi śliczny obrazek prawdziwie rozkosznej siedziby ziemiańskiej: »Niech ma szlachcic dwór swój, a gotowy, rządnie rozmierzony, na moc zbudowany, a ochędożny, na zdrowym placu, na widoku, a kształtnie postawiony, w nim gmachy różnej miary, żonie, dzieciom do wczasu sprawione, zimie ciepłe, lecie chłodne, zawsze k'temu chędogie.

Złożenie.

Do tego niech by było złożenie przyjacielowi, schowanie sprzętom, mieszkanie czeladzi. W środku podwórza woda, kuchnia rządna przy domu a kuchenka w mieszkaniu. Więc spiżarnia sucha, piwnica chłodna, lodownia pewna, łaźnia pobok przy wodzie, stajnia na stronie, psiarnia najmniej w półmilu.

Zegar.

Zegar wierny na domu. Dom rzemieślniczy, tamże i gospodarski, za nim blech, w bok sadzawki, a coby snadnie złowne; niech płynie pod dwór rzeka w pewnych brzegach zawarta, bystra, przezornie sprostowana, za nią niech będzie ogród w kwadrat wymierzony, od niej a kęs z południa ku słońcu nachylony, suchy, równy, wyniosły, porządnie ogrodzony, pergołami okraszony, w kwa-

draty rozdzielony, fontanami polany a ziół rozlicznych pełny. Za ogrodem sad w cynek najmniej w dwadzieścia rzędów drzew młodych a już rodnych, gładko z płonki, bujno z koron wybiegłych. Chciałbym jeszcze ptasznika, chciałbym ziółkom, drzewkom schowania. Tamże też wirydarz ze swych ziółek i przewoźnych. Przeciw temu wszystkiemu niechby stanął zwierzyniec, ciemny, zielony, cichy, wymierzony po sznurze, podzielony łąkami i na krzyż i od płotu; tamże drogi w kwaterach a rzeczka przez pośrodek; las lipowy przeciwko, tamże zaraz pasieczka«.

Mamy w tym opisie wzorowy a raczej idealny typ dworu polskiego; jest to dwór zamożnego ziemianina pomyślany w całej doskonałości; dwór, jaki powinien i mógł być, ale jaki zapewne rzadko bywał. Jest w tym opisie wszystko, co należy do przyjemności i wygody, jest nawet więcej, niż zawisło od możności i od woli, bo są także topograficzne wyjątkowe korzyści położenia. Najgłówniejszych przecież warunków siedziby wiejskiej, przytoczonych przez Ponętowskiego, nie brakło zapewne w żadnym dostatnim dworze szlacheckim — na niektóre, już naprawdę zbytkowne, jak np. na ptaszarnię i zwierzyniec, pozwolić sobie mógł tylko bardzo zamożny ziemianin. Miał Stanisław Lubomirski w Łańcucie trzydziestu sokolników i rarożników, miał przed nim w tym samym Łańcucie Stanisław Stadnicki, zwany Dyabłem, bardzo liczną i sławną swego czasu ptaszarnię, która spłonęła przy zdobyciu łańcuckiego zamku przez Łukasza Opalińskiego; szlachcic średniej fortuny miewał zapewne sokoła i parę rarogów, ale najczęściej jedyną ptaszarnią jego był niewinny na podwórzu gołębieniec,

Ptaszarnie.

chyba że wyjątkowo był takim amatorem i mistrzem w łowiectwie, jak np. Jan Chryzostom Pasek, który miał w Olszówce »ptasi zwierzyniec, kratami drutowemi nakryty, a w nim ptactwo *omni generis*, które tylko mogło się znajdować w Polsce, ale

Zwierzyńce. i insze cudzoziemskie«. Zwierzyńce bywały częstsze; w skromnych rozmiarach spotykamy je przy wielu domach szlacheckich, jak np. w pierwszych latach XVII wieku w Ożomli i Wojutyczach w ziemi przemyskiej, gdzie trzymano po 30 jeleni. Wielcy panowie utrzymywali zwierzyńce, w których mieściło się po kilkaset sztuk zwierzyny, jak np. wojewoda poznański Jan Ostroróg w Komarnie i Wojnowie, Zamoyscy w Zamościu. W takich zwierzyńcach trzymano najrozmaitsze rodzaje zwierza, z wyjątkiem żubrów, turów i dzików; w jednym tylko zwierzyńcu zamojskim znajdywały się żubry.

Ogrody i sady. To samo, co o zwierzyńcach, da się powiedzieć i o ogrodach; mało zapewne było takich dworów szlacheckich, przy którychby utrzymywano je na sposób wymagany przez Ponętowskiego. Ma on na myśli trojakie ogrody przy dworze: ogród spacerowy, czyli t. zw. dziś park, ogród owocowy, czyli sad, i ogród kwiatowy albo raczej botaniczny, t. j. wirydarz. Do rzadkości niewątpliwie należał dwór, przy którymby znajdowały się trzy takie odrębnie utrzymywane ogrody; bywał zwykle tylko jeden, łączący na skromną miarę wszystkie

Wirydarz. te trzy rodzaje pod jedną nazwą wirydarza, ale mamy też dostateczne świadectwa, że wirydarz taki uważany był za konieczny warunek wiejskiej przyjemności i gospodarskiego pożytku i stawał się często przedmiotem amatorstwa. Z wielką lubością i niemal entuzyastycznie prawi nam Rej

o wirydarzach, przeprowadza dobrane małżeństwo »w nadobnych przechadzkach po sadkach, po ogródkach«, gdzie pan i pani »grzebią, ochędażają, oprawują, szczepią, ziółeczka sadzą«, opiewa rozkosz wiosennej pory, kiedy to szlachcic z żonką i czeladką »wineczka i różyczki sobie przesadzają, ziółek, rzodkiewek, sałatek, rzerzuszek, meloneczków, ogóreczków, majoranku, szałwijki, więc włoskich grochów, wysokich koprów, brzoskwiniowej, morelowej, maronkowej kosteczki« doglądają.

Poza tą sielanką Reja widnieje w bardzo blizkiej perspektywie kuchnia; więcej tu apetytu niż idyllicznego uczucia; wszystkie te specyały tak pieszczotliwie wyliczone spodobają mu się jeszcze lepiej na talerzu niż na grządkach — w każdym razie jest w tem już coś z tej poezyi jarzynnego ogrodu, która Mickiewiczowi podyktowała prześliczny ustęp w *Panu Tadeuszu*. Ale i ten sam Rej ma na myśli wirydarz polski, kiedy na innem miejscu składa rymy o »gaju zielonym, różą obsadzonym, gdzie kierz biały, kierz czerwony nadobnie się mienią, gdzie rozmaryny, majorany, szpikanardy, lewandy, izopy, lilije i piwonie w swoim rzędzie stały, a między niemi fiołeczki, stokroć piękna i lilium konwalium« — z wielu zaś innych, nie o wiele późniejszych źródeł dowiadujemy się także, że nie same tylko jarzyny królowały w wirydarzach szlacheckich, nie same tylko gruszki i »jabłeczka, dobre smażone, dobre pieczone, dobre w gęś nadziane, dobre w kaszy, dobre suszone«, ale że inne, nawet »cudzoziemskie drzewka« i krzewy, jak wino, figi, pomarańcze w kwietniu odkrywano lub z piwnic wynoszono do wirydarza, że bywało tam wiele dla czystego amatorstwa, dla oka i dla fantazyi.

Kwiaty.

Rośliny egzotyczne.

Gostomski poleca w swojej *Ekonomice* »ogródek pięknie zasiać zioły pachnącemi, róży nasadzić, a nietylko ogrodnych, ale i polnych i dąbrownych«, każe pamiętać wcześnie o ziołach wonnych i aptecznych, o »dzięgielu, biedrzeńcu, kadzidle, macierzance, ślazach, kopytniku, bugwiach, rumnie i inszych«. Z praktycznych wskazówek zawartych w memoryale ekonomicznym Zawackiego (r. 1616) wiemy, że w marcu siano rutę, sadzono i uszlachetniano róże, wywodzono brunatne fiołki, »z których gospodynie sok, olejek, cukier, wódkę, ocet, konfekt do swej apteczki czynić mają«, w kwietniu zasiewano zioła pachnące i lilie, »tak dla wódek, jak dla wieńców« i t. p. Słupski w swoich rymowanych *Zabawach Orackich* (1618) każe »umiejętnemu ogrodnikowi pańskie zioła sadzić, w rozmierzone kwadraty wirydarzom radzić, czynić sztuki foremne, kompasy z bukszpanu, w które sadzą rozkoszne kwiaty tulipanu« — od poetów naszych XVII wieku dowiadujemy się, że w wirydarzach takich oprócz ulubionych róż, »tych ogni samorodnych, szkarłatnych opon albo gwiazd ogrodnych« bywały także rozmaite »kwiaty pańskie, narcyzy, hiacenty, lilie albańskie«, a w końcu, że nie brakło dworom cienistego wieńca drzew starych, że dokoła domów »tu wyniosłe topole, lipy rozłożyste, tu jawory, tu dęby stały wiekuiste«. W każdym wirydarzu musiał być koniecznie chłodniczek, po dzisiejszemu altana, zwany z włoska także pergołą; sklecony z drzewa, ocieniony był dzikiem winem, bluszczem, a czasem też i pospolitą fasolą. Nietylko jednak na najbliższem otoczeniu siedziby poprzestawało zamiłowanie przyrody; jakkolwiek rzadsze i znacznie trzeźwiejsze, niż nasze dzisiejsze, wybiegało przecież poza

Zioła apteczne.

Chłodniczek.

zielone obejście dworku i obejmowało dalszy także krajobraz. Spotykamy u niektórych naszych ziemian-poetów z XVI wieku rozwinięty już zmysł pejzażu, jak np. u Andrzeja Zbylitowskiego, który w swojem *Życiu szlachcica na wsi* (1597) tak nam maluje widok z swojego okna: Zmysł krajobrazu.

Jeśli zaś moje oczy wejrzeniem wesołem
Ucieszyć kiedy zechcę, ujrzę: ano kołem
Stoją Tatry wysokie i długie Bieszczady,
I bory gałęziste i szczepione sady.
I u samej wsi widać gaje jaworowe,
I wesołe dąbrowy i drzewa bukowe;
I rzeka tuż pod górą, na której dwór leży,
Szum wdzięczny po kamieniach czyniąc bystro bieży,
A po niej trafty płyną i z zbożem komiegi,
I ciosane wańczosy tuż pod same brzegi,
Młyn na niej stoi...

II.

Sprzęty.

Urządzenie wewnętrzne domu, to, co dziś nazywamy umeblowaniem, bywało w bardzo zamożnych nawet dworach przez długi czas, aż pod koniec XVIII w., wcale skromne i poprzestawało na najniezbędniejszych użytkowych sprzętach. Prawie nie znano t. zw. mebli fantazyjnych, sprzęcików wytwornych, na upodobanie samego oka obliczonych. Sień i izbę stołową, te dwie główne części każdego wiejskiego domostwa, obiegały dokoła ścian ławy, w innych komnatach były zydle. Ławki i stoły z gołego, najczęściej lipowego drzewa, co najwięcej malowane, a to najczęściej na zielono. Mieszkiwał w drewnianym dworze wprawdzie niejeden także senator i pan znacznej fortuny, a wtedy w komnatach jego spotkać się można było z podobnym zbytkiem, jaki już znamy z zamków i pałaców magnackich, ale na tem miejscu mówimy tylko o mieszkaniach szlachty średniej zamożności i niewysokiego hierarchicznego stanowiska. U takiej szlachty rzadko się znalazł sprzęt zbytkowny, a za taki już uchodziły krzesła gdańskie, karła kordybanowe i w ogóle meble wyścielane i droż-

szą materyą lub skórą obite. Tylko niektóre sprzęty odznaczały się wyższą sztuką stolarską, a niekiedy bywały nawet bardzo kosztownej roboty, a mianowicie służba czyli po dzisiejszemu kredens, almarya czyli szafa, sepet czyli skrzynia, późniejszy już nieco kantor czyli sekretarz, *sanctuarium* pana, i apteczka, *sanctuarium* pani domu. Na te sprzęty nie żałowano kosztu; bywały one »sztukwarkowe« i sadzone, t. j. ozdabiane intarsyami w różnokolorowem drzewie, rzezane czyli rzeźbione, niekiedy malowaną ornamentyką pokryte, a zawsze misternie i silnie okute i mocno zamczyste. W takich niekiedy potężnych rozmiarów sepetach chowano najcenniejsze ruchomości, garderobę, futra, srebra i klejnoty, a co było większej objętości a mniejszej ceny, na to miał schowanie osobne w bezpośredniem pobliżu domu zbudowany, dobrze ubezpieczony, a nocą przez psy i wartowników strzeżony świerzeń, t. j. mówiąc słowami inwentarza z r. 1630, »komora na podwórzu mocna, w oble drzewo zbudowana, obwarowana na kształt skarbnicy«. Świerzeń, który niekiedy był także jedynym murowanym budynkiem przy dworze, nazywano także klecią i lamusem.

Sepety i almarye.

Świerzeń.

Z pułapu świetlic zwieszała się mosiężna korona czyli pająk a czasem też Meluzyna z rogami jelenia, może trofeą myśliwską samego gospodarza; niekiedy zaś bardzo skromny świecznik drewniany o dwóch skrzyżowanych listwach, na których końcu tkwiły woskowe czyli t. zw. jarzęce świece — sam pułap nie bywał gładko wyprawiony ale miewał belkowanie oparte na ozdobniejszym od belek siestrzanie ciesielskiej roboty, na którym wyciosał majster czasem datę budowy, czasem ja-

Pułap.

kąś moralną dewizę, czasem domorodny naiwny ornament z herbem dziedzica. Okna były liczne — było ich niekiedy po 8 i 10 w izbie stołowej i w świe-
Błony. tlicy — ale małe i z bardzo drobnemi błonami czyli szybkami z krajowego szkła o zielonawej barwie, wpuszczonemi albo w drzewo albo w ołów; u możniejszych szybki okienne były z białego, czystego i gładkiego szkła i miały nazwę weneckich, a kosztowały drogo i sprowadzać je trzeba było z daleka. W opisanym już przez nas dworze drozdowieckim okna były wyjątkowo duże, miały bowiem cztery łokcie szerokości przy odpowiedniej zapewne wysokości, a miały szyby ze szkła weneckiego, »w banie rżnięte« (t. zw. *fond de bouteille, Butzen-*
Tło. *scheiben).* Podłoga czyli tło albo pawiment, bo i tych nazw używano, bywała drewniana z prostych tarcic sosnowych, w wykwintniejszych dworach z dębowych, bo jak się wyraża autor *Nauki Budowniczej* z roku 1659 »naszym kowanym nogom najlepsza dębina«. Dopiero w czasach saskiej dynastyi spotykamy w lustracyach domów szlacheckich posadzki »w arkusze« lub »w tabulatury«, a więc ro-
Drzwi. dzaj parkietów. Drzwi bywały w przeważnej części pomieszkania jednoskrzydłowe i najprostszej roboty; drzwi dwuskrzydłowe czyli podwoje, jeśli nadto były wytworniejszej, t. j. nie ciesielskiej ale stolarskiej roboty, a w dodatku jeszcze fladrowane, t. j. z szlachetniejszego drzewa i o widocznych słojach, jeśli miały klamki żelazne pobielane, zamki wewnętrzne, to znaczy w drzewo wpuszczane, i zawiasy żelazne — czego inwentarze nigdy nie omieszkają dla pewnej rzadkości zaznaczać wyraźnie i osobno — należały już poniekąd do rzeczy wyższego komfortu i elegancyi, bardzo często bowiem

były od siekiery i obracały się na drewnianych wieszach, a zamykały się na wrzeciądz również drewniany lub na zasuwę wiejskiej kowalskiej roboty. Olbrzymie kominy w sieniach i izbie stołowej, piece w komnatach, miały także swoje stopnie wytworności; zazwyczaj były tylko murowane albo nawet z gliny lepione; zdarzały się jednak często kominy z alabastru i kamienia a piece z kafli polewanych i malowanych, najczęściej gdańskich, a wtedy były prawdziwą ozdobą i osobliwością mieszkania, jak np. w wspominanych tu już kilkakrotnie Drozdowicach, gdzie były »piece gdańskie z kaflów pięknych w orły rozmaitą farbą malowanych«, piec »w flader malowany«, »piec błękitny« itd. Ale najdostojniejsze miejsce miał komin, szanowne ognisko, symbol rodzinnego życia, »przyjaciel duszy szlacheckiej«, jak go Rej nazywa. Piec dawał tylko ciepło i był głuchy i niemy; komin dawał i ciepło i światło i gadał do człowieka, a gdy się skojarzył z »czaszą, tą rodzoną ciotką naszą«, i z pogadanką w poufnem kole, jakiemże był źródłem ziemskiej szczęśliwości! Komin.

Myliłby się przecież, ktoby sobie wyobrażał, że przy tak nielicznych stosunkowo i skromnych sprzętach wnętrze szlacheckiego dworu wyglądało nago i ubogo. Przeciwnie, komnaty sprawiały wrażenie bogactwa, a do pewnego stopnia nawet zbytku, i uderzać musiały gościa bardzo malowniczą dekoracyą, a to dzięki tej nieprzebranej niekiedy obfitości opon, szpalerów, makat, kobierców i kołtryn, w których się miłowano, a których nie brakło w żadnym dostatniejszym nieco dworze szlacheckim. Ściany w pryncypalnych pokojach nigdy nie były gołe; są wskazówki, że niekiedy były malo- Szpalery i kołtryny.

wane w festony, kwiaty, drzewa lub nawet z wyższą pretensyą kompozycyi figuralnej, jak np. w drewnianym dworze Szczęsnego Herburta w Buniowicach, który świetlice swoje kazał ozdobić malowanemi symbolami i allegoryami historyczno-moralnej treści. Była to jednak dekoracya wyjątkowa, nie każdemu domowi przystępna, dla braku malarzy niełatwa; kto lubił tedy malowane ściany, ten uciekał się do t. zw. kołtryn (z włoskiego *coltre, coltrina),* które były tem, czem są dzisiaj tapety papierowe. Były to płótna malowane klejowo lub olejnie w ornamenta, kwiaty, widoki, a nawet osoby. Kupowano je już gotowe, a sprowadzano pierwotnie z Włoch, jak sama nazwa świadczy, później atoli przeważnie z Gdańska, Wrocławia i Norymbergi. Najpiękniejsze i najbardziej cenione w XVI i XVII wieku były zawsze przecież kołtryny włoskie, a zwłaszcza neapolitańskie i bergamskie. W inwentarzach niektórych dworów wielkopolskich, ogłoszonych przez Józefa Łukaszewicza, znajdujemy bliższe opisy takich malowanych obić płóciennych; w dworze w Rąbinie w powiecie kościańskim były np. obicia »w desenie mory i kwiaty fioletowe«, obicia »na płótnie *ad instar* chińszczyzny w różne osoby malowane« i t. d. Obok kołtryn używano do pokrycia ścian także sukna zielonego lub czerwonego, jak to wiemy z inwentarza dworu w Tropi, częściej zaś szpalerów albo stref, t. j. brytów materyi o dwóch rozmaitych kolorach, pionowo od pułapu do pawimentu zawieszanych, niekiedy adamaszkowych, częściej atoli pośledniejszych i tańszych brokatelowych.

Ale kołtryny i strefy były stałą dekoracyą, musiały być dostosowane do wysokości, rozmiarów

i formy komnaty, co utrudniało ich użycie w razie zmiany miejsca zamieszkania, mniej też odpowiadały smakowi i obyczajom szlacheckiego ogółu, którego siedziby w wewnętrznem urządzeniu miały zawsze coś z improwizacyi i obozowej dorywczości, przenoszono więc nad nie makaty, kobierce i kilimy, które łatwo zawiesić i łatwo zdjąć się dały. Makaty i kobierce. Makat i kobierców miewał najskromniejszy nawet dom szlachecki w obfitości, w zamożniejszych liczba i rozmaitość ich bywała wprost zdumiewająca. Po śmierci starosty trembowelskiego Piotra Ożgi (1623), który nie zaliczał się wcale do magnatów, pozostało ich 288; na zamku dubieńskim wylicza inwentarz około 150 wielce kosztownych adziamskich, t. j. perskich kobierców, w bardzo znacznej części jedwabnych i złotem przetykanych. Makaty pochodziły ze wschodu, a tak były ulubione i zwyczajne w Polsce, że mimo wybitnych cech swego pochodzenia dotąd u nas i zagranicą mają nazwę staropolskich, tak samo jak i pewne rodzaje wielce dziś rzadkich i niezmiernie kosztownych jedwabnych z złocistem tłem kobierców, które że w Polsce było Kobierce złotolite. ich najwięcej i że stąd dostawały się do innych krajów Europy, zachowały dotąd w inwentarzach zagranicznych nazwę kobierców staropolskich, chociaż niewątpliwie pochodziły z warsztatów perskich, a zakupywane były przez Ormian polskich głównie w Chorassanie i Stambule. Kiedy jeszcze w połowie XVI wieku dwa takie kobierce w posiadaniu francuskiego marszałka de Saint-André *(deux tapis velus persians tout d'or, qui estoient hors de prix)* były niesłychaną w Paryżu osobliwością i znalazły w współczesnych zapiskach osobne miejsce jako okazy wyjątkowego zbytku — w Polsce nie było

już może zamożnego domu, w którymby nie znajdowało się po kilka takich kobierców. Najrozmaitsze były rodzaje i nazwy kobierców wschodnich używanych w Polsce; w inwentarzach i testamentach z XVII w. spotykamy całą terminologię, dziś już dla nas zagadkową: kobierce i kilimy melikbaskie, dywańskie, solchackie, turkmańskie, angurskie, słupiaste, pardy, czatmany, wieleńce, poławniki i t. p.

Kobiernictwo swojskie.

Temi to makatami i kobiercami, wśród których niewątpliwie znalazła się niejedna sztuka, pochodząca z swojskiego kobierniczego warsztatu, bo wiemy, że wyrabiano już w XVII wieku makaty i kobierce w Brodach Koniecpolskiego i Nieświeżu Radziwiłłów, a także i we Lwowie, ozdobione były ściany i pookrywane stoły i ławy szlacheckiego dworu, który tym sposobem nabierał ciepła, barwy, miękkości i wygody. Dodajmy do tego, że chociaż mówiąc słowami poety XVII wieku: »nie wisiał lanszaft nowy na tych ścianach Rubensowy, konterfektów też nie wiele i nie dzieła Dolabelli«, to konterfekty przodków, jakiekolwiek były, przecież były, a rozwieszone nad drzwiami izby stołowej, nadawały jej tę czcigodność, jaka się należy starożytnym tradycyom domu i rodziny. Daleko wszakże świetniejszą aniżeli te portrety antenatów z buławami, ktorych najczęściej nigdy nie miewali w ręku, dzieła domorosłego naiwnego pędzla, daleko bogatszą dekoracyą ścian była broń niekiedy bardzo kosztowna, której cały arsenał bywał zawsze po dworach szlacheckich. Były to złociste szable, buzdygany, półzbrojki, kolczugi, szyszaki i tarcze, rycerski splendor szlachcica, często o tyle dostojniejszy i cenniejszy, że był na seryo wojenną trofeą

Konterfekty.

Trofea wojenne.

gospodarza i jego synów. Bywały domy szlacheckie, których ściany były niejako wojenną historyą całego stulecia; widzieć na nich można było pamiątki zdobyczne z całego szeregu wypraw, począwszy od tureckiego buńczuka i srebrnego tatarskiego jarczaka, od bogatego bojarskiego bechtera i złocistej moskiewskiej ikony aż do szpady szwedzkiej i niemieckich bandoletów — a jeśli gospodarz był np. kiedyś Lisowczykiem, miewał i w skrzyniach rzeczy bogate z dalekiego nawet Zachodu, z nad Renu i z Belgji; bardzo też często spotykamy w inwentarzach i testamentach ustępy o »zbiorach przez długie lata po cudzych ziemiach szablą nabytych«, o bardzo kosztownych rzeczach w złocie i srebrze: *in praeliis grandibus ab externis hostibus strenue acquisitis*. Wyprawy wojenne prawie aż po sam wiek XIX, jak na całym zresztą świecie tak i u nas nie były tem, czem są dzisiaj; łup i otwarta grabież w kraju nieprzyjacielskim były uznanym przywilejem żołnierza; dla wielu wojna bywała środkiem dorobku, niebezpiecznem ale obiecującem przedsiębiorstwem, a zdrowie i życie były kapitałem, od którego wymagano wysokiej lichwy.

I dwór szlachecki miał swój zbytek; próżność i naśladownictwo łatwo przekraczały jego progi. Urastał często po nad środki; »dwór sroga machina, wieś skryłby rozjazdem, jako drobną sikorkę pod bocianiem gniazdem«, wyraża się o tem jeden z starych poetów naszych. Śmieszne strony takiej fałszywej wystawności wyszydzili aż do zbytku nasi satyrycy, ale dosadniej może od nich, bo z realniejszego, niejako rachunkowego punktu widzenia odmalował nam całą tę sprzeczność między prawdą a pozorami w listownym traktaciku jakiś **Zbytek szlachecki.**

szlachcic - anonim XVII wieku, jeden z tych bystrych i rozumnych obserwatorów swego czasu, którzy niestety pisywali nie do druku ale dla przyjaciół a zachowali się swemi utworami nie w literaturze, ale w rękopiśmiennych *Collectaneach* i *Miscellaneach*. »Nie proporcya to — mówi nasz

Nieproporcye.

bezimienny szlachcic — kiedy dwór wielki a chłopów na wsi mało; więc kiedy w wielkim dworze jeno sam pan z woźnicą a kiedy mu piwa każe nalać, to nie usłyszy. Mieszkanie ma być szlacheckie według wsi i według poddanych. Limonie, oliwki, salsesany, cukry, dobre to rzeczy, ale kto nie ma 1000 kóp żyta, dobry mu ogórek, kiełbasa, chrzan, rzodkiew i rzerzucha. Nie proporcya to aksamitna delja a karazyowe portki i chłopiec bosy; do aksamitnej delji trzeba kilku pacholarzy i ochędóstwo inaksze. Nie proporcya to: na gumnie pięć brogów żyta a dziesięciu kręciwąsów w izbie; według gumna mają być pacholarze, barwa i honor. Kiedy kto ma 1000 kóp żyta, może chować trzech pachołków i chłopiąt dwoje. A ile set kóp owsa, tyle koni chować; na jeden folwark kareta o jednej skrzyni a na dwa folwarki niech będzie kolebka o dwóch skrzyniach, a na trzy folwarki niech za kolebką wózek parą koni idzie. Nie proporcya to dać łamane serwety na stół a piwo zgniłe; ma być wino do łamanych serwet. I to nie proporcya dać wino na stół a muzykę dudy; do wina ma być regał a dudy do piwa«. Ale z tych wszystkich »nieproporcyj«, wytkniętych przez anonima, największą

Czeladź szlachecka.

była niewątpliwie ta zgraja »kręciwąsów«, ta czeladź szlachecka, o której już Rej powiada: »A ty niedbasz, kiloby kilku wąsatych chłopów z lisiemi kołnierzami przed tobą stało a iżby ci czterzej

ręcznik dzierżyli«. Poznaliśmy już służbę wielkopańską — szlachecka różniła się od niej nietylko liczbą i jakością, ale także stosunkiem swoim z domem i rodziną. Tak samo przecież jak dla magnata, służba i dla szlachcica bywała zbytkiem, ruiną i plagą. Gdzie jej było najmniej, tam jej było jeszcze nad potrzebę. »A trzeba dla pychy kilkadziesiąt chować, gdzieby kilku wygodnie mogło posługować« — mówi poeta tych czasów.

Z potrzeby zbytek.

Nie z czystej wszakże próżności urósł zwyczaj chowania licznej służby. Brak bezpieczeństwa i gospód w podróży, brak dróg i mostów, który zniewalał mieć pod ręką ludzi do podnoszenia wywróconej karety lub do wydźwignięcia jej z przepaścistego trzęsawiska, brak bezpieczeństwa w domu, dalekim od miasta, dalekim od pomocy ludzkiej, trwoga przed zajazdem, przed opryszkiem, przed złym sąsiadem i t. p. — wszystko to było pierwotnie powodem do trzymania bardzo licznej służby nawet w skromnych zresztą domach szlacheckich. Z potrzeby zrobił się zbytek, z rzeczywistego pożytku reprezentacya, ze służby świta. Już nie dla siebie chowano tych próżniaków ale dla cudzego oka. Ci dwaj łogoszowi hajducy, których specyalnym obowiązkiem było z początku popychanie ugrzęzłej lub podnoszenie wywróconej karety, stali już potem na tylnym łogoszu sztywnie, nieruchomo, ubrani w dziwaczne kostiumy, i trzymali się jedwabnych kutasów dachu, bez celu, dla czystej parady; ci dwaj pachołcy, co w noc ciemną z pochodniami towarzyszyli podróżującemu panu, już potem w jasny dzień, w potrójnej i poczwórnej liczbie, w strojach kozackich lub ułańskich eskor-

towali powóz po bezpiecznej i gładkiej drodze i po ulicach miasta.

W każdym zamożniejszym domu musiało być parę rękodajnych szlachciców, kilku hajduków i pacholąt, nie mówiąc już o pospolitej roboczej czeladzi. Rekrutowała się ta służba najczęściej z bardzo dwuznacznych żywiołów, a gdy nietylko żaden magnat i karmazyn ale i żaden choćby miernej fortuny szlachcic nie obchodził się bez niestosunkowo licznej czeladzi, gdy żadna chorągiew nie obywała się bez służebnych ciurów, żaden towarzysz bez pacholików — była klasą tak pokaźną, oplatywała cały kraj od końca do końca tak gęstą siecią, była nareście takim znacznym czynnikiem w chronicznej swawoli polskiej, iż rzecby można, iż stanowiła osobny stan Rzptej, jakiś *tiers etat* pasożytniczy, awanturniczy, koczowniczy, stały odpływ i przypływ tego świata, który w zabawnej łacinie aktów nosił nazwę: *golota et odardi*. Znalazła też nawet w pierwszej połowie XVII wieku swoje *Gniazdo niecnoty*, swego dziejopisarza, swego »Czarnego Plutarcha«, a jest nim autor rękopisu *Liber Generationis* czyli *Liber Chamorum*. Jedyna ta w swoim rodzaju księga, dość niesłusznie jako paszkwil okrzyczana i dlatego dotąd drukiem nieogłoszona, zajmuje się z małym wyjątkiem tylko samemi postaciami z klasy służebnej; jest to herbarz hultajski, galerya oczajduszów, którzy przez awanturnicze koleje, przez manowce infamji docierają do mienia i stanowiska, z hazardem gardła dobijają się krescytywy i podszywają się w końcu pod szlacheckie tytuły i pod szanowne nazwiska, a z których każdy ma za sobą *curriculum vitae* jakby wyjęte z jakiejś pikaryjskiej powieści lub

Klasa służebna.

Liber Chamorum.

z niemieckiego *Schelmenromanu*. Nie dziw też, że z takiej warstwy społecznej rekrutowana służba nietylko ciężarem i frasunkiem, ale i niebezpieczeństwem była dla służbodawcy, który zdać się musiał niekiedy na ich łaskę lub niełaskę — trafnie też dawano sługom szlacheckim nazwę *domini dominorum*. Wielki pan mógł mieć służbę karną i posłuszną, bo szlachcic służący u magnata mógł się spodziewać i doczekiwał się też często stałej poprawy losu, wyforytował go pan na urzędnika, na podstarościego w ekonomji królewskiej, na wicesregenta w grodzie, na czopowego poborcę, na gubernatora dalekiego i mało kontrolowanego klucza, co już było drogą do fortuny — ileż ich tym sposobem powstało! — wyrobił mu intratne wójtostwo, dał wioskę za bezcen w dzierżawę, opatrzył w testamencie. Co więcej: nieszlachcic w służbie magnata mógł nawet *per fas* lub *nefas* — a to częściej drugim niż pierwszym sposobem — wyjść za można protekcyą swego służbodawcy na szlachcica, czego dość liczne bywały przykłady, zwłaszcza w pierwszych latach XVII wieku, kiedy to trzej potężni magnaci: książe Jerzy Zbarazki, kasztelan krakowski, Sebastyan Lubomirski, kasztelan wojnicki, i Mikołaj Ligęza, starosta biecki, »zwyczaj mieli, że żadnego szlachcica tylko chłopy za sługi trzymali«, jak to z oburzeniem szlacheckiej duszy zapisuje autor cytowanego co dopiero *Liber Chamorum*. Sługa zwykłego szlachcica nie miał takich widoków, nie bardzo też dbał o służbę i o pana. Stąd stosunek bez respektu, poufały, bardzo familiarny, którego wiele przykładów spotykamy w literaturze satyrycznej i pamiętnikowej. »Chędożej pan sługi nosi niż samego siebie — powiada pi-

Panowie Panów.

Promocye herbowne.

sarz z ostatnich lat XVI wieku — służba z panem równo do stołu, do misy, w karty, kostki, do pełnej, do woza, do koni, a upiwszy się panu nałaje, czasem z nim i za łeb idzie, mówiąc: żem tak dobry jako i ty«.

Familiarność.

Nie zawsze przecież i nie wszędzie ta familiarność miała tak niemiłe powody i skutki; trzeba przyznać, że w wielu wypadkach była wynikiem patryarchalnych tradycyj, objawem zacnego obyczaju, który czeladź łączył z domem węzłem niejako rodzinnym, czynił uczestnikiem wspólnego ogniska. Najgorszy nawet sługa miał to sobie za obowiązek osobistego honoru, stanąć przed innymi w obronie czci pańskiej, najgorszy nawet pan znieważenie swojego sługi uważał za obrazę własnej osoby. »Kto się o psa i o chłopca nie weźmie, ten się i o żonę nie weźmie« — mówi stare przysłowie polskie. Był zwyczaj pozwalania sługom szlacheckiej kondycyi na tańcowanie z pannami domu, traktowano ich uprzejmie przy gościach u siebie, w gościnie u drugich. »Znamy się doma, znajmyż i u ludzi« — przysłowie to brano nieraz zanadto dosłownie; poeta Wacław Potocki bardzo się zgorszył, kiedy pewna pani będąc u niego w Łużnej na obiedzie, podawała najsmaczniejsze kąski swojej służbie, powtarzając za każdym razem to przysłowie.

Niewolnicy.

Służba domów szlacheckich była wyłącznie polska, podczas gdy magnaci utrzymywali licznych cudzoziemców; wyjątek stanowił chłopiec Węgrzynek, a i ten najczęściej nie bywał Węgier ale Słowak. Zdarzał się przecież i tu wyjątek, a to bardzo osobliwego rodzaju. Oto jak na ścianach komnaty szlacheckiej wisiały trofea wojenne martwe, tak

i w izbie czeladniej znaleźć można było niekiedy zdobycz wojenną żywą. Pojmał szlachcic żywcem Tatarzyna i chowając go w swoim dworze ułaskawił jak wilka; Lisowczyk miewał czasem Niemczyka, którego uwiózł z sobą gdzieś aż z nad Renu, jak np. ów pan Baltazar Wesołkowski (r. 1631), który zeznaje: »iż kiedym na cesarskiej służył przed dwunastą lat, tedy *in palatinatu Rheni* między inszemi miasty Frankenthal miasto wysiekliśmy i z gruntu znieśli, w pień wszystkich powycinali; z tego miasta *jure belli* wziąłem tego Filipka chłopięciem i przywiozłem go do Polski, tak z sobą na jednym koniu«. W Bukaczowcach na Rusi są między czeladzią dworską Tatarowie, niewolnicy i niewolnice, Greczynek, Turczynek, »mohilewski dyaczek, którego na wojnie wzięto«. Ku wielkiemu podziwieniu całej ziemi przemyskiej Andrzej Fredro (w r. 1599) trzyma sobie murzyna.

Skreślony tu w najgłówniejszych rysach obraz szlacheckiego dworu nie byłby zupełny, gdybyśmy pominęli najbardziej znamienną jego cechę, to jest ową z natury czasów i rzeczy wynikającą uniwersalność i samoistność jego całego bytu. Był on zamkniętym w sobie i dla siebie organizmem, państewkiem po swojemu udzielnem, małym i ciasnym ale w całości swej okrągłym światkiem. Aby w nim życie było znośne, musiał być ile możności niezawisłym od zewnętrznego świata, wystarczającym sam sobie. Miast wielkich było bardzo mało, miasteczka były mizerne i nic w nich dostać nie było można, chyba w czasie jarmarku, drogi opłakane, w pewnych porach roku wprost nie do przebycia. Wszystko robiło się w domu. W każdym znaczniejszym dworze musiał być rzemieślnik, posiadający

Samoistność dworów.

przynajmniej najkonieczniejsze rudymenta swej sztuki, rzemieślnik od biedy lub samouczek: szewc, krawiec, kowal, kołodziej, cieśla. W każdym dworze palono gorzałkę i wyrabiano najrozmaitsze na-
Mielcuch. lewki, w każdym był t. zw. mielcuch, w którym warzono domowe piwo. Stół zaopatrywał się na miejscu; czego nie dały las, pole, ogród, obora, podwórze, tego się nie jadło. W domu robiło się płótno, wyprawiała się na surowo skóra, mełły się krupy i mąki, wylewały się świece, gotowało mydło, syciło się miody, tłoczyło woski, suszyło się mięso i ryby, sporządzało się leki, fabrykowało się
Apteczka. atrament a nawet proch strzelniczy. Apteczka domowa musiała starczyć za farmaceutę i lekarza, a składała się prawie wyłącznie z ziół swojskich; jedynym ale wielce kosztownym, na wagę złota cenionym egzotycznym i kupnym lekiem była owa
Dryakiew. słynna dryakiew *(theriacum coelestis)*, generalny medykament na wszystko i dla wszystkich, cudowne *arcanum* weneckie, w którego skład wchodzić miało według powszechnej wiary 64 najdroższych i najrzadszych ingredyencyj, a między niemi i cząstki węża z tego samego rodzaju co ongi wąż z pod krzyża Zbawiciela.

Apteczka była dumą pani domu, ale niemniejszą chlubą jej była zapewne spiżarnia, a przede-
Podruna. wszystkiem tak zwana podruna, schowanie suche i chłodne obok piwnic, w której piętrzyły się, mówiąc słowami Reja, »te wszystkie nadobne pożyteczki, które dobra gospodyni bez wielkiej pracy a na poły z krotofilą może uczynić«: kasze najrozmaitsze, o których dziś już wieść zaginęła: manna, tatarczana, kilkora, pszenna, ościana, żytna, jajeczna; małdrzyki przypiekane, placki ochędożne,

osuszki, kąpie, suche ryby, udźce, »owa te rzeczy, o których mówi wspomniany już autor *Zabaw Orackich*, że ich nieuwarzonych wnet dać można na niemało talerzy«, dalej konfekty, jako gruszki, orzechy włoskie, brzoskwinie i t. p. w cukrze i miodzie, przeróżne potrawy »wiatrem i słońcem wędzone«, śliwy węgierskie »w wiązanych snopkach słomianych i wiśnie w równiankach na słońcu suszone«, octy winne, miodowe, piwne, agrestowe; jabłeczniki, gruszeczniki, wiśniaki; »jagody bzowe ustałe, co niemi małmazye farbują« — wszystko roboty domowej, »bo tylko to Polsce przystało, co się w Polsce rodzi«, i można się obejść bez Gdańska, który cudzoziemskie rzeczy z Lizbony, z Antorfu (Anterwerpji), tak jak przedtem z Genuy albo Wenecyi sprowadza. W tym dziale gospodarstwa domowego odgrywała bardzo ważną rolę stała figura każdego wiejskiego dworu, zwana »panią Starą« albo dworką, pierwsza pomocnica i *alter ego* pani, rodzaj marszałka w spodnicy, starożytny prototyp późniejszych klucznic i szafarek. Pani Stara.

To samo co o fizycznych, powiedzieć by można i o moralnych i społecznych potrzebach. Gdzie nie było kościoła, tam w znaczniejszych przynajmniej dworach, była kaplica z kapelanem; gdzie nie było kapelana, tam pan albo pani domu spełniali także funkcyę duchowną, przewodnicząc codziennie zbiorowej modlitwie rodziny i domowników. Była jurysdykcya własna, był taras i gąsior dla złodzieji, była siła zbrojna do obrony domu i do przymusowego przeprowadzenia woli pana, była, jeśli się mieszkało nad spławną rzeką, własna flotylla: szkuty, tratwy, dubasy, komięgi, spławiające pszenicę i materyał leśny do Gdańska; była Potrzeby moralne.

poczta własna, którą sprawował kozak konny, bywała biblioteczka niejako samorodna, bo pisana w domu, dość bowiem rozpowszechnionym zwyczajem zamiast kupować przepisywano wiersze, oracye, broszurki już drukowane, ale zdarzały się na odwrót po większych dworach wiejskich miniaturowe drukareńki, trochę dla zabawki, trochę z chętki naśladowania magnatów, którzy jak np. Herburt w Dobromilu, Rzewuscy w Podhorcach, Ogińscy w Słonimie, Potoccy w Paniowcach i Tulczynie i t. d. utrzymywali całe oficyny drukarskie.

Stosunki ze światem.

Czego się nie miało i mieć nie mogło w domu i z własnego przemysłu, to się kupowało raz lub najwyżej dwa razy do roku w jakiemś wielkiem mieście, przywoziło z Gdańska w zamian za pszenicę, nabywało się od Włocha, Niemca, Szkota, Ormianina i żyda na jednym z poblizkich jarmarków, które odbywały się bardzo często i po najnędzniejszych nawet mieścinach, a bywały bardzo ludne i obfite w najrozmaitsze, nawet rzadkie i kosztowne towary. Pomagał także w utrzymaniu stosunków z zewnętrznym światem kwestarz-zakonnik, żołnierz przewoźny, co wybierał stacye w sąsiedniej królewszczyźnie, wędrowny rzemieślnik, a to najczęściej kuśnierz, zegarmistrz i malarz, i okrężny handlarz, jak np. Szkot z swojem pudłem t. zw. materklasów, t. j. najprzeróżniejszych drobiazgów i fraszek, winiarz węgierski z próbkami, Ormianin z koniem, rzędem, kobiercem i ofertą małmazyi, a w końcu żyd, nasz »wieczny żyd«, ze wszystkiem i po wszystko, co było do kupienia lub do sprzedania na polskim świecie.

Konserwatyzm dworu.

Dwór szlachecki i jego patryarchalny, homeryczny sposób życia trwał najdłużej i z nieprzeła-

manym konserwatyzmem opierał się do najpóźniejszych czasów reformie obyczajów, nowatorstwu i modzie. Gwałtowny przewrót politycznych i społecznych stosunków nie obalił go tak łatwo jak obalił zamki i pałace, jego modrzewiowe ściany dłużej niż grube mury magnackich siedzib wytrzymały ową niszczącą falę, co zatapiała starą Polskę i spłukiwała z niej oryginalną obyczajową barwę. Tylko w pewnych okolicach, sąsiadujących z stolicami, objętych sferą ich bezpośredniego wpływu, i tylko w pewnej części szlacheckiej warstwy dokonała się naglejsza przemiana. Bywały aż do końca XVIII w. całe powiaty, w których nie znalazłeś ani jednego murowanego dworu. Ochocki w pamiętnikach swoich opowiada, że w województwie kijowskiem pierwszy murowany dom szlachecki, już pałacem przezwany, powstał około 1750 r., drugim z kolei był dom Ilińskich w Romanowie. Pierwsi, co burzyli starodawne dwory i na ich miejscu stawiali pałace i pałacyki, pełne pretensyi i wątpliwego smaku, byli to nowi ludzie, co na gruzach wielkich fortun historycznych i kosztem ich szczątków przyszli do bogactwa, i zaczynając świat od samych siebie, chcieli go mieć nowiuteńkim i oderwanym od starej tradycyi, do której całkiem świeży jeszcze splendor nie dał się nawiązać. Dwory i dworki zostały aż do samego końca XVIII stulecia; jeszcze Kitowicz, Matuszewicz, Krasicki, Niemcewicz i inni w pismach swych świadczą o ich niezmienionej w tych czasach fizyognomji — zostały nawet dłużej, zostały tak długo, że starsi z dzisiejszego pokolenia powiedzieć sobie mogą, że jeszcze ich dziadowie mieszkali i żyli tak samo.

Nowi ludzie, nowe domy.

ROZDZIAŁ TRZECI

UBIORY I SPLENDORY

I.

Czytając o ubiorach i strojach staropolskich w satyrach i pamiętnikach od XVI do XVIII wieku, odnosi się wrażenie, jakoby cała Polska była tylko jedną salą redutową, widownią zmiennej co chwila, pustej maskarady — wrażenie nietylko po większej połowie mylne, ale zarazem niejasne i chaotyczne. Pochodzi to nietylko z przesady każdoczesnej satyrycznej i moralistycznej literatury, ale także, i to może głównie, stąd, że pozostała nam z tych czasów tylko dziwaczna a nader obfita nomenklatura strojów, która zdaje się mówić bardzo wiele, a w rzeczy samej nie uczy niczego. Domyślamy się tylko, nie widzimy, a domyślamy się więcej, niż należy. Dopiero ze schyłku XVIII w. mamy takie po krawiecku dokładne opisy, jak np. ks. Kitowicza, dopiero z tego czasu posiadamy obfitszy zasób rysunkowy. Z XVI i XVII wieku pozostał nam bardzo szczupły zapas takich rozstrzygających dokumentów, jakiemi są współczesne ryciny; nasze illustrowane książki z tego czasu posługują się z małym wyjątkiem drzeworytami obcemi lub nie mają realistycznej wartości; nie do

Brak źródeł.

każdej pory i zbyt mało posiadamy takich malowniczych źródeł, jak np. *Codex Picturatus* Baltazara Boeheima lub pontyfikał Erazma Ciołka: nie mieliśmy malarzy i rysowników, odtwarzających ludzi i rzeczy na podstawie bezpośredniej obserwacyi, żywcem, z natury, jakich np. Niemcy miały w Dürerze, Holbeinach, Burgmaierze, Schongauerze, Ammanie i tylu innych — jedynym materyałem autentycznym są u nas współczesne portrety, nie bardzo licznie zachowane i niedostatecznie znane, bo dotąd cząstkowo tylko w reprodukcyach przystępne, pomniki grobowe, obrazy religijnej treści z postaciami fundatorów i bardzo skąpe w końcu ryciny artystów obcych, jak np. Stefanina della Bella, którego sztychy wyobrażające wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu w roku 1633 są nieoszacowanem źródłem do historyi kostiumów polskich XVII wieku. Atoli i z tych niedostatecznych nawet źródeł wynika, że dawna Polska nie była krajem jakiejś wyjątkowej orgji kostiumowej, że obok wielkiej rozmaitości i zmienności ubiorów istniał zawsze pewien typ stały, zasadniczy; że obok tego ustawicznego naśladownictwa cudzoziemskiej mody utrzymywała się pewna norma smaku i obyczaju, samoistna i narodowa. Gdyby uwierzyć satyrykom i moralistom naszym, gdyby dosłownie wziąć np. dowcipne powiedzenie Reja, że »w postronnych krajach, gdzie się trafi każdy naród malować, tedy Polaka nago malują a z nożycami, a postaw sukna przed nim: i krajże sobie jako raczysz« — trzebaby przypuścić, że nigdy nie mieliśmy narodowego stroju, a przecież Polska obok Węgier jest jedynym krajem w Europie, gdzie nie sam tylko lud, jak gdzieindziej, ale i wyższe warstwy społe-

Portrety i ryciny kostiumowe.

Typ zasadniczy narodowy.

czne posiadają tradycyjny, czasem i zwyczajem uświęcony kostium narodowy. Straciły go pobratymcze nam narody słowiańskie, straciły np. Czechy, straciła i tyle późniejsza od nas w niwelacyjnym rozwoju cywilizacyi Rosya, gdzie także tylko lud go zachował — w Polsce utrzymał się jako strój uroczysty i reprezentacyjny.

W dziedziuie mody i jej excentrycznych objawów Polska nie była wyjątkiem w każdoczesnej Europie, a jej kostiumowy obyczaj ulegał tym samym wpływom i warunkom, co w innych krajach. Działały u nas tak samo jak gdzieindziej najpierw położenie geograficzne, dalej wrodzona wszystkim narodom zmienność smaku czyli moda, potem skłonność do naśladownictwa, w końcu stan dobrobytu i kultury. Klimat polski wymagał ubiorów ciepłych, stąd przestronność, fałdzistość i długość kroju szat wierzchnich, jak delie, hazuki, kopieniaki czyli okopienie, burki, opończe, nasuwienie; stąd także potrzeba, a w dalszej konsekwencyi zamiłowanie i zbytek w futrach najrozmaitszego rodzaju i pochodzenia, od barana do sobola. Położenie geograficzne dało nam za sąsiada państwo ottomańskie z całą jego potęgą wojskową i z całem bogactwem form zewnętrznych, przemawiających do imaginacyi swoją malowniczą świetnością, zrobiło nadto z Polski pośredniczkę komunikacyjną i handlową między wschodem a niektóremi krajami zachodu, stąd ów silny i przemagający pierwiastek wschodni w ubiorze i obyczaju polskim; blizkie sąsiedztwo Niemiec i fakt, że wszystkie nasze wielkie miasta pierwotnie prawie na wskróś, do pierwszych zaś dziesiątek lat XVI w. jeszcze przeważnie były niemieckie, zaznaczyły się

Warunki przyrodzone.

Wpływy obce.

bardzo stanowczym, może najprzeważniejszym nawet wpływem na polską kulturę, a znowu niższość tej rodzimej kultury bardziej sprzyjała naśladownictwu. Dodajmy do tego wielką przyrodzoną już pochopność natury polskiej do naśladownictwa, jej wyjątkową łatwość przyswajania sobie wszystkich zewnętrznych form choćby najbardziej skomplikowanej cywilizacyi wraz z tem, co w niej bywa nadmiarem i wybrykiem, dodajmy lekkomyślniejsze i naiwniejsze może niż gdzieindziej lubowanie się w świetności i zbytku, a zrozumiemy łatwo, jak się tworzyła różnemi warstwami czasów i wpływów ta naleciałość cudzoziemska, na pozór tak gruba, że znikać się pod nią zdawała wszelka pierwotność rodowita, że w tak bogatym słowniku ubiorów i splendorów polskich, w tej istnej powodzi nazw tureckich, niemieckich, włoskich, węgierskich, nazwa polska należy do rzadkości.

Naśladownictwo.

A przecież ta cała cudzoziemska powłoka nie zawsze zrasta się z polskim obyczajem organicznie, nie wyklucza jeszcze całkowicie pewnej niezawisłej, swojskiej oryginalności. Ten poliglottyzm w nazwach ubiorów nie zawsze odpowiadał rzeczy. Jedna i ta sama nazwa oznaczała co innego w Turcyi, na Węgrzech lub w Niemczech, a co innego w Polsce. Strój »czerkieski« n. p., o którym tak często spotykamy wzmianki, nie miał w sobie nic zgoła czerkieskiego, powstał on, jak świadczy Pasek, z potrzeby żołnierskiej ubierania się kuso i używania wysokich butów jeździeckich; kontusz polski był czemś zupełnie innem niż kontusz turecki lub tatarski; dołoman polski różnił się od dołomana węgierskiego; hazuka polska nie jest wcale identyczna z niemiecką *Hassücke* lub z fran-

Rzecz a nazwa.

cuską *casaque*, od których zapożyczyła nazwy; to samo da się powiedzieć o delji, o szubie, o bekieszy i t. p. Nazwa ta sama, rzecz inna, tak że budzi się nieraz wrażenie, jakoby nie rzecz samą brano od obcych ale nazwę do rzeczy.

Kto robił modę w Polsce? Król, magnat, student i żołnierz. Dwór, jak wszędzie i zawsze, był wzorem wykwintnego obyczaju i stroju, on też był pierwszym rozsadnikiem cudzoziemczyzny w Polsce. Z dworem Bony weszły w modę kostiumy włoskie; Rakuszanki poślubione naszym królom wprowadziły w bliższych dworowi warstwach szlacheckich protegowane na dworze wiedeńskim tradycyjnie od czasów Karola V stroje hiszpańskie; Wazowie dali początek modzie szwedzkiej, dwie Francuzki na tronie dostarczyły modeli paryzkich; Sasi i Stanisław August zaznaczają przewrót w ubiorach i inaugurują porę polskiego *rococo*, po części w niemieckiej, przeważnie w francuzkiej stylizacyi. Magnat nietylko modeluje się na każdoczesny wzór monarszego dworu, ale on pierwszy odbywa podróże i legacye do stolic i dworów europejskich, i wraca ubrany po niemiecku, po włosku, po hiszpańsku. Student polski powraca z Padwy, Bononji, Rzymu, i przywozi z sobą nietylko biret i togę doktorską, ale już i po ulicy »chodzi po włosku«, pociągając przykładem swoim wszystkich, co mają trochę pretensyi do nauk i sztuk wyzwolonych. Żołnierz wraca z każdej wyprawy wojennej, z każdego obozu z jakąś uderzającą nowością w stroju i przewraca głowę wszystkiej młodzieży — rzec można, że całej szlachcie średnio zamożnej żołnierz dyktuje modę. »A strojów takowych, wszystka ansa i powód z ju-

Dyktatura mody.

Dwór.

Magnat.

Student.

Żołnierz.

naków wojskowych; i nie masz, żeby z tego kraju, gdzie wojuje, nowego nie wniósł obyczaju« — rymuje Andrzej Rysiński około 1640 r. Potwierdza to i Starowolski, a Pasek, sam żołnierz, z własnego doświadczenia mówi: »Co ja już pamiętam odmiennej coraz mody w sukniach, czapkach, w butach, szablach, w rządzikach i w każdym aparacie wojennym i domowym, nawet w czuprynach, w giestach, w stąpaniu i witaniu, o Boże! nie spisałby tego na dziesięciu skórach wołowych!«

I rzeczywiście, nietylko o stroju ale i o fryzurze decydował najczęściej żołnierz, zwłaszcza jeśli zasłynął szeroko w swojem rzemiośle. Głośny z waleczności i rozpasanej fantazyi strażnik koronny Samuel Łaszcz, kiedy wpadł na koncept podstrzyżenia sobie włosów wysoko i jakby czubato, zaraz znalazł naśladowców w całej Polsce.
Czupryna. »Pierwszy strzyżenia wysoko czupryny wynalazca«— mówi o nim w swoim herbarzu Niesiecki. Łaszcz nie był jednak »wynalazcą» samejże czupryny, tylko reformatorem jej kształtu i rozmiaru; już dawno przed nim chadzali nietylko wojskowi Polacy czubato, a nuncyusz kardynał Valenti (r. 1604) opisując postać kanclerza Zamojskiego wspomina o jego okazałej czuprynie *(capelli canuti col zuffo alla Polacca);* Decyusz w swojej historyi czasów Zygmunta I. a za nim Stryjkowski i poeta Janicki utrzymują, że za przykładem żołnierskim po wojnie z hospodarem wołoskim Bogdanem a mianowicie po walnem zwycięstwie nad Tatarami pod Łopuszną w r. 1512 Polacy strój swój radykalnie zmienili, zarzucając długie, ciasne szaty i długie w kędziory zawijane lub w warkocze splecione
Podgolone głowy. włosy. Później zaczęto podgalać głowę do koła,

zwyczaj, który już za bytności Lippomana w Polsce (r. 1575) był nienowy ale jeszcze nieustalony, skoro rymopis Stanisław Witkowski uważa go jeszcze w r. 1605 za nowatorstwo, ganiąc »łby wygolone«, których pradziady nie znały. Około połowy XVII wieku golone głowy z czubem były już regułą szlachecko-polskiej elegancyi — *ils ont sous leur bonnet fourré la tête rasée et ne conservant de cheveux qu'un petit toupet sur le haut de la tête,* mówi o członkach legacyi polskiej na paryzkim dworze w roku 1645 pani de Motteville.

Wojny za panowania Zygmunta III wpłynęły bardzo na współczesną modę polską; Starowolski powiada, że za przykładem żołnierzy w pierwszych dziesięciu latach rządów tego króla trzy razy zmieniał się krój szlacheckich ubiorów. Zaznaczyły się pod tym względem wybitnie wojny szwedzkie, dalekie wyprawy Lisowczyków na zachód Europy, kampanie Czarnieckiego. Do ważnej roli, jaką odgrywa szlachcic-żołnierz w historyi kostiumowej, przyczyniać się musiała okoliczność, że po magnacie przez pewien czas on był jedynym peregrynantem, jedynym bywalcem *par excellence,* a to nietylko pod własną ale i pod obcą chorągwią, wiadomo bowiem, jak często i chętnie zaciągała się szlachta, zwłaszcza uboższa, w służbę cudzoziemską, a to głównie rakuską. Fakt to zresztą stwierdzony, że jak stosunki pokojowe i handlowe, tak samo i wojny zbliżają do siebie narody i są dobrym przewodnikiem obustronnych wpływów; świadczy u nas o tem wpływ wschodu na ubiór i obyczaj, który w czasach pokoju podtrzymywany głównie przez Ormian polskich, podsycał się każdoczesną wojną z Turcyą, jak tego najpóźniej- Wojny i mody.

szy i już ostatni objaw spotykamy w czasach Jana III.

Terminologia kostiumu.

Ani rzecz sama nie wymaga, ani rozmiar niniejszej rozprawy nie pozwala na to, abyśmy wchodzili w szczegóły i za starszymi autorami podawali całą terminologię staropolskich ubiorów. Zanadto tej terminologji poświęcano uwagi i miejsca, zbierając ją skrzętnie z literatury ubiegłych wieków, głównie z satyrycznej, a bez pożytku, rzecz raczej zaciemniając niż wyjaśniając. Z kilku tablic, na których Matejko według starych portretów, pomników i drzeworytów zestawił nam grupy kostiumowe z wszystkich epok przeszłości polskiej, z sztychów Della Belli, z tyle późniejszych rysunków Norblina i t. d. więcej się nauczyć można niż z całego tomu, który temu przedmiotowi poświęcił tak zasłużony zresztą Gołębiowski. Iść za przykładem tego autora, znaczyłoby topić rzecz w szczegółach, zasłaniać obraz drobiazgami. Cały ten słownik kostiumu polskiego jest zresztą, jak już nadmieniliśmy, przeważnie zagadkowy; aby wiedzieć, zkąd jaka nazwa pochodzi i co oznacza, co więcej, aby dociec, jak właściwie pierwotnie i poprawnie brzmiała, nie wystarcza być znawcą oryentalnych i wszystkich prawie europejskich języków, tak dalece wszystkie prawie nazwy materyj i szat przemieniły i powykrzywiały się w ustach polskich.

Zagadkowość nazw.

Któż np. z łatwością odgadnie, że polski inderak to niemiecki *Unterrock*, polski kwef to francuzki *coiffe*, polska nędza to weneckie *zendad*, polski szustohor to francuzki *juste-au-corps* a pandyspary to *point-de-Paris?* Na domiar niejasności i bałamuctwa kilka niekiedy odmiennych nazw oznacza rzecz jedną i tę samą; zda się też czasem,

jakoby moda wpływała raczej na nazwę niż na sam kształt ubioru. »Zda się coś inszego, a też jest po staremu — powiada bezimienny autor broszury z r. 1650 *(Co nowego)* — tylko nazwiska nowe mylą rzeczy i mydlą oczy. Co bowiem za naszych czasów była gunia, to teraz kilim, co była łata to dziś karwasz, co kurta to dołman, co delijka to nasuwień i t. p.« Poprzestać musimy tedy na uwagach ogólniejszej natury i na podniesieniu najgłówniejszych rysów i znamion.

Próżność mezka równa kobiecej.

Jednem z takich głównych znamion czasów jest fakt, że w dawnej Polsce, jak zresztą do pewnego stopnia i w innych krajach aż po koniec XVIII wieku, kaprysy i excentryczności mody, kosztowność i wzorzystość tkanin, malownicza rozmaitość i żywość kolorów, błyskotliwość ozdób i obfitość klejnotów nie są kostiumową cechą i przywilejem samej tylko kobiety ale w równej mierze panują w strojach męzkich. Nie ma pod tym względem różnicy między mężczyzną a kobietą, odnosi się nawet wrażenie z niejednego inwentarza garderoby męzkiej, zwłaszcza z pierwszej połowy XVII wieku, jakoby próżność i zamiłowanie zbytku u mężczyzn były większe niż u kobiet, bo przybywa mężczyźnie jeszcze dalszy powód do zbytku, obcy kobiecie, a mianowicie broń, która, jak to zobaczymy, przybiera cechę czysto dekoracyjną: z oręża staje się strojem. Czytając nadzwyczaj szczegółowy opis przepysznych strojów legacyi polskiej, przybywającej do Paryża po Maryę Ludwikę, odbiera się wrażenie niepojętej nam dzisiaj próżności męzkiej — opis ten nie ustępuje w niczem dzisiejszym pobalowym sprawozdaniom z toalet damskich, zamieszczanym w żur-

nalach poświęconych elegancyom mody. Te same futra, te same jedwabie i złotogłowia, te same złote ozdoby i tę samą obfitość klejnotów spotykamy u mężczyzn co u kobiet.

Futra. Futra najrozmaitszych rodzajów stanowiły najkosztowniejszą część garderoby. Najcenniejsze i najbardziej ulubione były obok gronostajów i marmurków, t. j. rodzaju ciemnych, w niebieski kolor wpadających futer lisich, bobry, rysie i sobole, te ostatnie najbardziej pańskie i wytworne. Sobole. Sobol był niejako symbolem bogactwa i dostojności — »pomknij się lisie, siedzi tu soból« — powiada Rej. Zdobił on delje męzkie, delijki i dołomanki białogłowskie, ferezye, kontusze; robiły się z niego szłyki, kuczmy i kołpaki; on to paradował na tych »darmolegach«, t. j. przesadnie dużych kołnierzach, co do których Kochanowski pragnie zasięgnąć »rady czyjej, kołnierz li to u deliji, czy delija u kołnierza«. Łukasz Opaliński w swojej polemice z Barclayem używanie soboli uważa za główny zbytek polski *(est hic luxus inter maximos qui Poloniam urgent)* i powiada, że szata podbita tem futrem kosztuje przeszło 2000 talarów. Handel sobolami kwitnął też w Polsce, za jej to pośrednictwem drogie to futro w znacznej części szło do innych krajów Europy. Główny targ na sobole odbywał się w XVI wieku w Lublinie na św. Szymon i w Poznaniu na św. Łucyę. Hurtownie sprzedawano je na t. zw. *soroki* lub bunty; w jednym Soroki i bunty. soroku mieściło się 40, w buncie 15 skórek. Sobole z predylekcyą używano na upominki dla dostojnych osobistości, dygnitarzy, posłów i monarchów; królowa Bona kupując sobole dla siebie i na upo- Ceny soboli. minki zapłaciła raz za ośm soroków 3500 zł., a gdy

w czasie tym dukat liczył niespełna dwa złote, więc jedna skórka wypadała na 6 dukatów, co znaczyłoby na dzisiejszą monetę 250 do 300 koron austryackich. Król Stefan Batory przesłał księciu Mantuańskiemu w upominku dwa soroki soboli, Zygmunt III podarował w r. 1596 kardynałowi Gaëtani bunt soboli wartości 500 szkudów włoskich. Z opisu Laboureura wiemy, jak wyglądał taki upominkowy sorok soboli. Trzy tuziny sobolich skórek związane były główkami za pomocą jedwabnego sznurka, który przesuwał się przez worek z zielonego atłasu; główki sobolowe u góry worka opierały się o dzwonek srebrny, tak że za pociągnięciem sznurka można było wsuwać i wysuwać skórki. Taki bunt soboli, przesłany przez Władysława IV w upominku pani de Guébriant, wart był około 700 talarów, a daleko cenniejsze były dwa soroki soboli, które tenże król przez posła Zawadzkiego ofiarował w upominku królowej angielskiej. Cena szuby sobolowej wynosiła niekiedy 2000 szkudów.

Sobole upominkowe.

Nie istniały w Polsce *leges sumptuariae* jak w innych krajach; w miastach tylko uchwalano wilkierze przeciw zbytkom. Raz tylko, a to w r. 1590, kiedy w oczach szlachty stanęło bardzo groźne niebezpieczeństwo »nawałności tureckiej«, myślano o ukróceniu zbytków. Rozprawiano o tem, »aby zbytek wszelki z Polski wygnać, jedwabie wywołać, w prostem suknie chodzić; safian precz, bryze precz, białogłowskie stroje precz — wszystko to tylko była mowa, do skutku nic nie przyszło« — powiada Bielski. Gdyby zresztą ustawy takie przyszły były do skutku, nie zapobiegły by były zbytkowi w Polsce, tak jak nie zapobiegły mu w krajach, gdzie istniały w prawnej mocy. Najutratniej-

Brak ustaw przeciw zbytkom.

Zbytek w materyach. szym zbytkiem w strojach polskich był może zbytek w materyach, używanych na szaty, raz dlatego, że wielkie sumy ginęły na materyał bardzo krótkiej trwałości i bardzo względnej wartości, powtóre, że wielce drogich tych tkanin nie wyrabiano u siebie, tak jak np. we Francyi, we Włoszech i na całym Wschodzie, ale musiano je sprowadzać z obcych i dalekich krajów, co koszt podnosiło w trójnasób. Materye na suknie męzkie i kobiece, jeśli chodziło o tkaniny jedwabne, były przeważnie pochodzenia włoskiego lub wschodniego, złotolite zaś przez długi czas niemal wyłącznie wschodniego. Najwspanialsze, a zatem i najdroższe były aksamity, adamaszki, zwane także kamchami, atłasy, tabiny, t. j. materye jedwabne t. zw. morowe, czyli jak mawiano »w wodę«, bo mieniły się jakby falami strugi, brokaty, telety (włoskie *teletta),* t. j. jedwabie przetykane srebrem i t. p. Kolory tych materyj były najczęściej bardzo żywe i świetne, rysunek ich wzoru zamaszysty i efektownie stylizowany; oko nie bało się jeszcze jaskrawości a smak przesady — bywały jednak pory, w których za przykładem dworu zarzucano na pewien czas barwne kostiumy a ubierano się w ciemnym kolorze. W ostatnich n. p. latach panowania Zygmunta Augusta, kiedy ten król zwykł był ubierać się czarno, między szlachtą bliższą dworowi i stolicy »czerń się zagęściła«, jak się wyraża Górnicki, który zdaje się żałować dawniejszej malowniczej świetności ubiorów, ale jako człowiek dobrego smaku przestrzega przed nadużyciem wzorzystej barwistości, »bo nie zda mi się, aby dworzanin miał się pstrzyć zbytecznie«. Radziejowski zwraca jeszcze w Gdańsku uwagę Francuzów, towarzyszących Maryi Lu-

Żywość kolorów.

dwice, płomienistą barwą swego stroju — *drap de soie couleur de feu à fleurs d'or* — ale z czasem mitygują się na kostiumach polskich kolory, przygasa papuzia jaskrawość, utrzymuje się wprawdzie karmazyn, ale już coraz częściej spotykamy w inwentarzach szatnych kolory miarkowane, jak brzoskwiniowy, rubinkowy, barszczowy, kaparowy, rozmarynowy itp. Żartuje sobie poeta Potocki z szlachcica, co miał na grzbiecie »korzenną szkatułę« i można nim było »zaprawić ryby«, miał bowiem na sobie »pieprzowy kontusz, cynamonowe portki, oliwkowy żupan, czapkę goździkową«. W ostatnich latach XVII wieku wchodzi znowu w modę kolor czarny i przez dłuższy czas przeważa w strojach szlacheckich. »Wszyscy się czerni jęli, chodzi jak w żałobie szlachta«, mówi o tej modzie tenże sam rymopis.

Barwy miarkowane.

Altembasy czyli złotogłowia utrzymywały się zawsze, a były niejako szczytem przepychu i bogactwa; szata z altembasu ociekała cała czystem złotem, z pod którego błyszczącej powłoki przebijał wzorzyście ton jakiś kolorowy. Sprowadzano złotogłów z początku wyłącznie ze wschodu, później także z Włoch i Francyi, z Genuy, Lukki, Florencyi i Lugdunu. Żupan męzki, suknia niewieścia, uszyte z prawdziwego złotogłowia, przestawały być zmiennemi artykułami mody, zbyt były kosztowne, aby ulegały jej kaprysom; wiemy, że dziedziczyły się z dziada i babki na wnuka i wnuczkę. Taka suknia damska z złotogłowia kosztowała w r. 1535 przeszło 100 dukatów, co najmniej zatem 500 do 600 dukatów dzisiejszych czyli około 6000 koron. Nie wstydzono się też chadzać w sukniach i żupanach złotolitych, w których już cha-

Złotogłów.

dzał kto inny; kupowano je nawet po nieboszczykach, jak np. wojewoda smoleński Firlej, który kupuje żupan po spokrewnionym sobie nieboszczyku staroście krzepickim. Jak się lubowano w bogatych szatach, jaka ich zdumiewająca, nieprawdopodobna była mnogość po wielkich domach, tego nam dają przykłady inwentarze garderób magnackich, z których wiele jeszcze czeka ogłoszenia w druku. W spisie szat, należących do starosty felińskiego Stefana Potockiego i jego żony, z domu Mohilanki (r. 1613), znajdujemy ferezye po 7000 talarów: jest tam 12 delij po 1000 i 2000 talarów, 30 letników złotogłowowych, aksamitnych, tabinowych, teletowych, podbitych najprzedniejszemi sobolami i t. p. bez końca. Ale bogactwo futer i materyj, których używano do sukien, znika wobec ozdób ze złota i drogich kamieni, któremi suknie te bywały hojnie obsypane. Przy każdej szacie musiały być guzy, ferety, pontały i t. zw. sztuczki z brylantów, rubinów, szafirów. Każdy guz u delji podkomorzego Wojciecha Boboli (r. 1631), kosztuje 130 dukatów; w każdej delji wspomnianego powyżej Potockiego i w każdym letniku jego żony tkwi cały majątek w formie guzów i feretów, z których każdy jest klejnotem; żupan wojewody smoleńskiego Firleja zapina się na guzy z oprawnych w złoto szafirów wielkości »jako połowa włoskiego orzecha« (r. 1663). Garderoba codzienna i podróżna była wełniana; używano do niej czamletów i rozmaitych sukien, z których najdroższem był niderlandzki falendysz *(feinholländisch);* kir i karazya służyły do ubiorów uboższej szlachty, do barwy czeladniej i żołnierskiej; z innych lepszych gatunków wymieniane bywają sukna morawskie, wschowskie, brzezińskie, zgorzelickie, bukowskie.

Obfitość szat. — Ozdoby. — Szaty poślednie.

Ewolucya kostiumu.

Ewolucya ubiorów da się wogóle śledzić tylko z punktu fizycznej potrzeby i społecznego uobyczajenia, dopóty, dopóki ubiór jest tylko odzieżą, skoro jednak odzież staje się strojem, wchodzi w grę moda, a wtedy nie ma już mowy o normalnym rozwoju kostiumu, ma się już bowiem do czynienia z nagłemi przeskokami, z kaprysem, z fantazyą jakiejś górującej warstwy towarzyskiej a nawet jednostki, której wysokie stanowisko nadało znaczenie i powab wzoru. W Polsce, bardzo pochopnej do przejmowania cudzoziemskich rzeczy, skłonnej przytem do pewnej excentryczności smaku i zwyczaju, historya kostiumu przedstawia się jeszcze trudniej. Ale z niedokładnych nawet i często aż do zagadkowości niejasnych szczegółów, jakie nam pozostały w literaturze przeważnie satyrycznej, a nawet z tych nie zawsze dostatecznie pouczających wskazówek, jakich nam dostarczają portrety, da się przecież wysnuć wniosek, że jak to powiedzieliśmy już na wstępie tego rozdziału, bądź co bądź istniał strój polski w samoistniejszem narodowem znaczeniu i że ostatecznie da się, że tak powiemy: wyłuszczyć pewien rudymentalny typ ubioru męzkiego w Polsce, typ pośredni i trwały, mimo mniejszych lub większych zmian w gruncie stateczny, przez wieki zachowany. Jak nie braliśmy na seryo cytowanych słów Reja, tak też nie możemy brać dosłownie podobnej opinii Górnickiego, który ubolewa, że »my Polacy nie mamy swego własnego ubioru, acz podobno musiał być pierwej, ale nam omierzł, jakeśmy się nowinek chwycili«. Nie wie już zatem Górnicki, jaki to był strój własny, nie wie nawet na pewno, czy istniał kiedykolwiek na prawdę. Późniejszy od niego wierszopis

Typ pośredni i trwały.

Stanisław Witkowski (1605) wymienia wprawdzie jako narodowy, swojski, starodawny ubiór Polaków: ochopień, żupicę, kopieniak, kaftan i szary giermak, ale nazwy te istniały ciągle aż po wiek XVIII, a stąd wniosek, że istniały i rzeczy. Już sam fakt, że współczesnych tak raził strój cudzoziemski, dowodzi, że nie był tak powszechny, że musiało istnieć pewne tło swojskie, normalne, od którego odbijał.

Suknie statecznie polskie.

Od XVI do XVIII wieku powtarzają się stale w słowniku i spotykają w używaniu następujące suknie: szuba, delja, kontusz, ferezya i żupan, które też wraz z czapką i pasem składają się na typowy, normalny strój polski; nie wymieniamy spodni, bo te znikały pod długą wierzchnią szatą. Szuba była tem, czem są dzisiejsze nasze futra: była długa, bardzo przestronna, miała sute, u dołu ku dłoni aż do przesady rozszerzone albo też przeciwnie zwężone rękawy, a krój jej w XVI wieku był całkiem zachodni i nie różnił się prawie niczem od tego rodzaju szaty w innych krajach. Delja, kontusz i ferezya były również wierzchniemi szatami i wszystkie trzy podbijane futrem. Delja, którą wspomniany Witkowski (*Złota Wolność* r. 1609) pod odmienną nieco nazwą »teleji« zalicza do szat oryginalnie polskich, nie miała pierwotnie rękawów, spinała się ciasno pod szyją i była niejako płaszczem, pokrywającym kostium pokojowy; kontusza nie brano prawie nigdy pod delję, był on bowiem tak samo jak delja szatą zwierzchnią i nie miał wylotów tej formy, jaka się ustaliła dopiero w XVIII wieku a dochowała do dzisiaj. Nie są też wyloty kontuszowe ani wschodniego, jak mniemano, ani też specyalnie polskiego pochodzenia, chociaż jedynie w dzisiejszym narodowym stroju polskim utrwaliły się jako

Delja.

Wyloty.

odwieczny zabytek powszechnej niegdyś w Europie mody. Nietylko bowiem w Polsce ale i we Francyi, Niemczech, Hiszpanii i t. d. aż do drugiej połowy XVII wieku przepruwano rękawy szaty wierzchniej i opuszczano je luźnie z ramion, aby tym sposobem odsłonić rękawy szaty spodniej, zwykle bogatszej i barwniejszej. Bywało także, że kontusze jak zresztą nieraz i ferezye, miały już same rękawy z dwoistej materyi; a mianowicie albo na zgięciu wewnętrznem łokcia a czasem i dalej ku górze i ku dołowi rękaw wierzchni był niejako rozpruty i tylko pasamenteryą spięty, tak że w tem miejscu wyglądał drugi rękaw a raczej druga materya innego koloru, zazwyczaj bogatsza od wierzchniej, albo też, co było jeszcze pospolitszą i stalszą modą, tylko ta część rękawa, która pokrywała samo górne ramię, była z tej samej materyi, co kontusz, cała zaś reszta z innej odmiennego koloru. Ferezya tem się różniła od szuby, że była obciślejsza i zrobiona do stanu; długością swoją sięgała do połowy golenia a niekiedy prawie do samych kostek, była podbita i obramowana na zewnątrz futrem, a zdobiły ją, zwłaszcza w pierwszej połowie XVII wieku, sute szamerowania. t. zw. potrzeby i pętlice. Żupan był suknią pokojową, pozostawał sam, gdy zdjęto szubę, delję lub ferezyę. Bywał bardzo długi, niekiedy dłuższy od szat zwierzchnich, z pod których wązkim rąbkiem wystawał; jeżeli nie był najkosztowniejszym, to zawsze najświetniejszym i najżywszym w kolorze a używano nań materyj litych i jedwabnych, złotogłowia, tabinu, adamaszku, genueńskiego aksamitu.

Ferezya.

Żupan.

Czapka byla zwyczajnem nakryciem głowy: zawoje fantastyczne, birety i kapelusze, a zwłaszcza

Czapka.

tkane złotem i perłami czepce męzkie, jakie widzimy na miniaturach krakowskiej księgi cechowej Baltazara Boeheima lub Pontyfikału Erazma Ciołka, nie weszły w kostiumowy obyczaj szlachecki i używane były tylko w najwyższych kołach dworskich w pierwszych latach XVI wieku. Widzimy je na niektórych wizerunkach Zygmunta Starego lub takich dostojnych osobistości, jak np. Krzysztof Szydłowiecki. Czapka polska przebywała liczne odmiany, od litewskiego nieco zwężonego u góry kołpaka z nausznicami z czasów jagiellońskich aż do magierki Batorego i do malowniczej, zbyt prędko zarzuconej czubatej kuczmy z pierwszej połowy XVII wieku, ale zawsze zachowała pewien typ pośredni i zawsze była cała z futra lub z t. zw. opuszką z rysia, bobra, sobola, zwłaszcza gdy chodziło

Spodnie.

o strój uroczysty. Spodnie jak już nadmieniliśmy, nie odgrywały ważnej roli w kostiumie polskim XVI i XVII wieku, bo nie widać ich było z pod szat zawiesistych; tylko w ubiorach żołnierskich i jeździeckich tego czasu, z konieczności kusych »portki« i »nadragi« były ważną częścią moderunku

Obuwie.

i mało się różniły od dzisiejszych. Buty w XVI w. nosił tylko szlachcic pospolity albo wojskowy, do stroju pańskiego służyły jeszcze w XVII wieku trzewiki lub półbutki z barwistego kordybanu. Zapisuje wprawdzie Vanozzi, że zastał Jana Zamoyskiego w butach po polsku podkutych, ale to właśnie, że go ten szczegół uderzył, dowodzi pewnej rzadkości (w r. 1596) — jakoż wogóle dopiero w XVIII wieku »poznać było pana po cholewach«.

Skórnie.

Skórnie i baczmagi, »owe kowane buty krzywe i wysokie«, które budziły *magnam admirationem* Francuzów Henryka Walezego, używane bywały

głównie na koniu przy wjazdach i w kawalkadach, w podróży i na łowach: śmiano się też w Polsce z Niemca, »że cały w bucie chodzi«. W ciągu XVIII wieku polski strój ulega ciągłym i znacznym zmianom; powstają nowe nazwy na stare rzeczy, a stare nazwy na odwrót oznaczają rzeczy nowe; delja przybiera nazwę bekieszy i czuji, ferezya nazwę kiereji, kontusz z zamkniętemi rękawami nazywa się czechmanem: jedną i tę samą suknię nosi się to długo aż po kostki, to kuso ledwie do kolan, to ze stanem to bez stanu, to buchasto to obciśle, to fałdzisto to gładko; zmieniają się kolory, bramowania, galony i t. d., o czem wszystkiem opowiada nam z dokładnością krawca ks. Kitowicz, źródło tak przystępne i tak powszechnie znane, że przytaczać za nim szczegółów nie widzimy potrzeby.

Zmiana nazw.

Trudniejsza znacznie sprawa, kiedy chodzi o zestawienie jakiegoś stalszego typu strojów niewieścich. Źródeł graficznych mamy tu jeszcze mniej, źródeł satyrycznych jeszcze więcej, te ostatnie zaś przyganiają tylko samym excentrycznościom żeńskiej toalety, a i tych nawet nie opisują, gubiąc rzecz w powodzi nazw dziwacznych i ogólników moralizujących, z których się nie da złożyć obrazu. Żaden też z autorów narzekających na stroje cudzoziemskie nie powiada i zdaje się nie wie, jak wyglądał strój polski. Tęsknią czasem tylko do starego słowa, nie przeczuwając, że oznaczało to samo, co im się dziś nie podoba. Bielski np. chwali te błogosławione czasy, kiedy to »nosiły nasze panie duszki, pacierze bursztynowe nie złote łańcuszki; na szyji piękny czecheł albo było goło, na głowie toczenicę a chomlę na czoło« — ale otóż ten czecheł to giezłeczko z kryzą lub bryzą, to koszulka

Strój niewieści.

Czecheł, chomla, toczenica.

obramiona takiemiż koronkami, jakie się Rejowi wydają czystym zbytkiem; toczenica to nic innego od tkanki czyli siatki ozdobnej perełkami na gło- Bramka. wie, a chomla to prawie zupełnie to samo, co bramka, przepasująca czoło, na której gorszyły Bielskiego zapewne tylko złoto i perły, jakiemi je ozdabiały bogate panie. Zupełnie jak dzisiaj, kiedy ta sama materya, ten sam jej kolor, ta sama rzecz toalety żeńskiej lub męzkiej, mało zmieniona lub niezmieniona wcale, pojawia się jako nowość, a nic w niej niema nowego prócz najmodniejszej nazwy. Rzadko też da się uchwycić w literaturze jakiś szczegół ważniejszy, pomagający do wyobrażenia sobie rzeczy. Takich kilka szczegółów daje nam Piotr Zbylitowski w swojej *Przyganie wymyślnym strojom*, bo narzekając, że znalazłszy się w kole dam, »żadnej Polki już nie baczył«, ale same Wenecyanki, Francuzki, Florentynki, poucza, jak się powinny ubierać skromnie a po swojsku, przypuszczać zaś można, że podaje wzory nie z własnej inwencyi, ale z rzeczywistego obyczaju, którego się za jego czasów trzymały kobiety unikające cudzoziemczyzny i zbytku. W tych przepisach swoich Zbylitowski jest zresztą dość liberalny i wolny od surowego purytanizmu, tem bardziej więc budzi zaufanie.

Stroje swojskie. Otóż według jego informacyi młoda mężatka może się ubierać w żywe kolory, chodzić »jak dzięciołek prawy«, może nosić białą albo czerwoną sukienkę, ale nieco starsza chociaż zawsze jeszcze młoda ubiera się w szaty z czarnego aksamitu lub lekkiego atłasu, nosi czepeczek nadobny na głowie, na szyji kryzę, przy giezłeczku t. j. przy widniejącej bieliźnie, koronki czyli bryzy. Rękawiska przy sukni nie mają być »troje«, a gdy pani jest poza

domem niech nie bierze na główkę biretu z piórami ale czepiec z tkaną perłami bramką — »bowiem ci to polski strój, ty też polska pani«. Wdowa średniego wieku nie nosi jedwabiu ale wełnę, a mianowicie czamlet i muchajer, ma spodnią suknię czarnego koloru, na głowę zawicie albo czapeczkę również czarną a po wierzchu płaszcz tegoż koloru. Młoda panienka ma być przestowłosa, to jest chodzić z gołą główką bez loków, opasaną wianeczkiem Wience. z róż albo fiołków, na szyji ma mieć kryzę z rąbku flamskiego, a oprócz spodniczki ma nosić »kształciczek«, t. j. stanik czli gorset, bez rękawów, a więc z ramionami tylko w rękawach koszuli — strój, który do niedawna był a w niektórych okolicach Polski do dziś dnia jest typowym u dziewcząt wiejskich, Przeżytki kostiumowe. co jest jedną z licznych wskazówek, że starożytnych motywów kostiumowych pańskich i szlacheckich doszukać się dziś jeszcze można w ludowych strojach, na co zagranicą folkloryści już dawno zwrócili uwagę. Suknie żeńskie sięgały albo do samej szyji albo do połowy piersi, czyli jak mawiano: były »pod gardło« lub »opadłe«. Suknie opadłe nie odsłaniały jednak gołego gorsu a w XVI wieku nawet szyji; tam gdzie już nie sięgała suknia, było giezło, Giezło. t. j. koszulka z ile możności subtelnej śnieżno-białej tkaniny, haftowana bogato, niekiedy naszywana perłami, z złotą tkaneczką na kołnierzyku i rękawach. Na szyji nosiły damy aż do połowy XVII wieku Kryzy i gargiele. rozmaitego kształtu kryze *(Krause)* i obojczyki zwane gargielami (z włoskiego *gorgiere)*. Rodzaj zawoju z lekkiej materyi, podwika, Podwika. która to nazwa w potocznej i żartobliwej mowie oznaczała kobietę, przez długi czas obok czepca służyła za strój głowy w domu, przybierając najrozmaitsze

Kwef.

formy. Z czasem podwikę zastąpił kwef, która to nazwa z początku obejmowała cały strój głowy i włosów, t. j. i nakrycie i fryzurę zarazem, następnie zaś oznaczała tylko samo okrycie jedwabne, aksamitne, koronkowe, złotem lub perełkami przetykane, w końcu zaś, już pod koniec XVIII wieku, wyszedłszy więcej samą nazwą aniżeli rzeczą z mody i okrywszy się niejako patyną staroświecką, uchodziła za określenie poważnego stroju głowy u wdów i matron. Poza domem nakrycie głowy kobiet stanowiły tak samo jak u mężczyzn czapki, birety, kołpaczki i t. d.; tak było przeważnie do końca XVI w. — *itidem ac mares tectae incedunt* — powiada Kromer w swoim opisie Polski. Czapki bywały aksamitne z »wywijaniem«, a wywijania te były u bogatych dam sobolowe; letnie czapki i formą i materyą różniły się od zimowych, spotykamy też w inwentarzach kobiecych osobne »czapki od słońca, kitajką podszyte«.

Birety.

Przewrót radykalny.

W połowie XVII w. następuje radykalny niejako przewrót w stroju elegantek polskich. Dotąd obok oryginalnie polskich ubiorów przeważały mody włoskie i niemieckie, teraz wraz z królową Maryą Ludwiką toruje sobie do Polski drogę moda francuska, utrwala się następnie z Maryą Kazimirą Sobieską i utrzymuje się zwycięzko przez cały wiek XVIII. Prawdziwą rewolucyą a zarazem powodem wielkiego zgorszenia i gwałtownych satyrycznych wycieczek było odsłonięcie szyji i gorsu, przyjęcie mód paryskich z lat 1644—1650, wniesionych do Polski przez Maryę Ludwikę i jej fraucymer. Dotąd, jak już nadmieniliśmy, nawet przy wyciętych czyli t. zw. opadłych sukniach szyja i piersi kryły się pod gargielem, pod koronkami, giezłeczkiem

Mody paryskie.

łub przedniczką, a strojne były kanakami i pontałami, teraz nietylko szyja była obnażona i jak ubolewa jeden z współczesnych rymopisów: »zubożała, naga, biedna, przy samych perłach pozostała«, ale poczęto obnażać także gors — nowatorstwo w Polsce przedtem niesłychane, zuchwałe, skandaliczne, które na »modnochodne« panie sprowadziło cały grad pocisków satyrycznych i moralizatorskich.

Goły gors.

Chodzi druga jak mamka, piersi pokazała,
Jakoby ustawicznie dziecię karmić miała.

Pudr, muszki i rucho.

Równocześnie wzbogaca się toaleta niewieścia czterma również sensacyjnemi w starosarmackim świecie nowościami: fryzurą *à la Fontange*, pudrem, muszkami i ogonem czyli t. zw. ruchem u sukni. Nowości te miały z początku mało zwolenniczek, nie wychodziły poza koła dworskie i najbardziej postępowych elegantek, ale z czasem stały się udziałem sfer szerokich, zstąpiły między szlachcianki, wtargnęły do dworów wiejskich, i dopiero wtenczas, już ku samemu schyłkowi XVII wieku, wywołały ową gwałtowną opozycyę w literaturze satyrycznej Najżarliwiej i z komiczną przesadą wystąpił przeciw nim rymopis Jakób Łącznowolski w swojem *Nowem Zwierciadle* (r. 1662), któremu też zawdzięczamy dość dokładne szczegóły o tym przewrocie w modach niewieścich. Grozi on klątwą niebios kobietom, które obnażają piersi, wyzywa pioruny na wysokie kornety czyli fontanże, zapowiada siarkę i smołę gorejącego piekła elegantkom, co »na wdzięcznej twarzy sprośne muchy lepią«, i widzi w tem palec Boży, że w Haczowie pod Krosnem podczas procesyi Bożego Ciała w taki kornet jakiejś szlachcianki

Kornety i fontanże.

uderzył z nagła piorun, zausznice skruszył,
Ogień kwef cały spalił a włosów nie ruszył.

Czego najbardziej żałowano i co się najbardziej nie podobało, to zarzucenie pięknego zwyczaju strojenia głowy dziewiczej wieńcem. Dotąd panienki chadzały w wieńcach, teraz tak samo jak mężatki poczęły nosić wysokie kornety i fontanże, bo moda nakazywała »kłaść kornet, jeden, drugi, trzeci; wstąg nawieszać, dziw, że w nich z wiatrem nie poleci«. Cechą tej nowej mody była przesadna obfitość wstęg czyli t. zw. galantów, które we Francyi tylko z konieczności weszły w używanie, bo w roku 1634 za inicyatywą Richelieu'ego królewski edykt zabronił zbytkownych galonów srebrnych i złotych, w Polsce zaś, gdzie nie istniała żadna *lex sumptuaria*, świadczyły tylko o naiwnej manji naśladownictwa. Łącznowolski tak nam opisuje tę modę:

Galanty.

Więcej ujrzysz na drugiej wstąg niż u kramarki,
Rzekłbyś, że żywe chodzą po świecie jarmarki.
Wstęgą rękaw w kilkoro koło ręki wzbiera,
Wstęga kosztowne perły na szyi zawiera,
Wstęga zdobi tył głowy, nie bez wstęgi ucho,
Wstęga trzyma zapięte od spodnicy rucho,
Kwiat ze wstąg na ramionach, i chustkom wstąg [trzeba,
Wstąg trzewikom...

II.

Przechodząc do dalszych objawów zamiłowania w bogactwie i świetności strojów w dawnej Polsce, zaznaczyć musimy, że większym jeszcze niż w złotogłowiach i bławatach bywał zbytek w klejnotach, złocie i drogich kamieniach, bez których nie mógł się obejść żaden uroczysty kostium, czy to męzki czy niewieści. Większym był już dlatego, że tu próżność łączyła się z amatorstwem, amatorstwo znowu z pewnym praktycznym celem, złoto bowiem i klejnoty były po gotówce najbardziej ruchomem i najpłynniejszem mieniem; łatwo dały się sprzedać lub zastawić. W kraju, gdzie zawsze bywał brak monety obiegowej, a i ta, która kursowała, w znacznej części była licha i podejrzanej wartości kruszcowej, naczynia srebrne, przedmioty złote i jubilerskie zastępowały nieraz gotówkę. Ozdobami męzkiego kostiumu były łańcuchy, pasy, guzy, zapony i szkofie — o szabli i innej broni, która była także nieodzowną a prawie zawsze najbogatszą częścią stroju, będzie osobno mowa. Łańcuchy noszono na szyji; spływały one aż ku środkowi piersi, były z ciężkiego złota i misternej roboty, a kończyły się klejnotem z drogich kamieni, dużym me-

Klejnoty.

Klejnoty męzkie.

dalem, czasem »twarzą królewską« lub religijnym jakimś emblematem. Zwyczaj noszenia łańcuchów złotych sięgał w odwieczne czasy a miał pierwotnie znaczenie dystynkcyi, i nie każdemu wolno było ozdabiać szyji i piersi tą dostojną oznaką. Według kroniki Galla dostojnicy polscy nosili wielkie łańcuchy złote *(immensi ponderis)* a były one godłem rycerskiego powołania *(signum militare)*. Z biegiem czasu straciły to szanowne znamię i stały się artykułem toalety i zbytku; kto chciał, nosił je bezkarnie. Modrzewski ubolewa, że łańcuchy, które bywały »ozdobą mężnych ludzi, teraz lada kto nosi, a nietylko już dobrzy, chociaż podłego stanu, ale też rufianowie, wykrętacze prawni i lifnicy. Wiele ich jest, którym się zda, jakoby nie byli poczciwymi, jeśliby się im łańcuch nie świecił na szyji, który im kto droższy ma, albo mu się więcej razów około szyji obwinie, albo też dłużej od szyji wisi, tem się rozumie być poczeiśniejszym, zacniejszym i każdego urzędu dostojniejszym«. Ale już w XVII wieku moda łańcuchów ustaje; na portretach tego czasu spotykamy je dość rzadko.

Łańcuchy.

Jak kosztowne były ozdoby u delji i u żupana, wiemy z przytoczonych już powyżej przykładów; inwentarz spisany po śmierci Janusza Radziwiłła wylicza całą kollekcyę takich zbytkownych pętlic i guzów; jest tam 12 par guzów z pereł i korali, około 100 guzów wielkich rubinowych, śliwkowatych i szmelcowanych, są guzy brylantowe, szmaragdowe, turkusowe i t. d. Szkofia, zwana także zekierem, t. j. agrafa, w której tkwiła kita u kołpaka, bywała również drogocennym klejnotem. Za piękną szkofię z odpowiednią kitą z piór rzadkich płacono w Polsce sumy olbrzymie; Starowolski

Guzy. Szkofia. Kita.

powiada, że przed rokoszem Zebrzydowskiego kita taka włoskiej roboty kosztowała 600 dukatów; Jerzy Krasicki, starosta doliński, przy jakiemś zajściu w Krakowie w r. 1604 traci zaponę i kitę z czaplich piór czarnych wartości 800 dukatów; wojewoda smoleński Firlej dał za swoją »półtora tysiąca« — a o wartości tej ozdoby nie zawsze stanowiła kosztowna oprawa, wpływała na cenę także egzotyczna osobliwość piór i naiwna łatwowierność kupujących, jak np. gdy chodziło o kitę z piórami bajecznego ptaka feniksa, które takie same miały znaczenie cudowności, jak róg niemniej bajecznego jednorożca. Taką kitę z piór feniksowych spotykamy w dubieńskim inwentarzu Ostrogskich z r. 1616. Niemniej bogate bywały pasy kruszcowe, zazwyczaj z srebrnych, często szczerozłotych ogniw złożone, drogiemi kamieniami kameryzowane, a mało co tańsze były także pasy wschodnie perskie, kaszmirskie, stambulskie, sakiewskie t. j. chińskie, tkane złotem i jedwabiem, które w XVIII w. wyrugowane zostały przez lite pasy krajowej, słuckiej, krakowskiej, kobyłeckiej, grodzieńskiej, gdańskiej roboty, tańsze od oryginalnie perskich ale zawsze jeszcze drogie, skoro wiemy z pamiętnika Bernouillego, że lepszy pas grodzieńskiej roboty kosztował w r. 1778 trzydzieści dukatów, i skoro opowiada nam w swoich pamiętnikach Ochocki, że za pas półlity płacił 18 dukatów, za lepszy lity 70 dukatów, a za bogaty słucki dostał pięć dzielnych koni.

Pióra egzotyczne lub bajeczne.

Pasy.

Ozdobami kobiecych strojów były korony, bramki, kanaki, zausznice, noszenia, manele, pontały, ferety, pierścienie i t. p. a na to wszystko składały się drogie kamienie, perły, złoto i emalia. Korona była rodzajem złotego dyademu, sadzonego kamie-

Klejnoty niewieście.

Korona.

niami najdroższej ceny, jak to wypływa z opisów inwentarzy, z których jeden przytoczymy dla przykładu: »Korona, ma w sobie koron (zapewne t. zw. kompartymentów) 13, w nich złotych szmelcowanych kaszczyków (t. j. opraw) siedm z wielkiemi rubinami; przy każdym rubinie po cztery perły, tudzież kaszczyków pięć z rubinami mniejszemi«. Wojewodzina smoleńska z Tarnowskich Firlejowa miała na swojem weselu koronę, o której sama powiada: »zacni i rozumni ludzie tę koronę na więcej niż 50.000 zł. szacowali«; korona a raczej mitra wojewodziny ruskiej Wiśniowieckiej kosztować miała według taksy jubilerskiej 800.000 zł. Bramka, tkanka, toczenica, z pewnemi odmianami znaczyły jedno i to samo; były to ozdoby głowy i zazwyczaj używano do nich samych pereł; w XVII w. obok pereł noszono w fryzurze także kity czyli pióra, urobione z brylantów; używane też były siatki i czepce suto perłami natykane. Kanak, którego nazwa jest wschodniego pochodzenia, był po koronie najbogatszą ozdobą. Był to naszyjnik, dzisiejszy *collier*, który opasywał samą tylko szyję i tem się różnił od t. zw. »noszenia« i łańcucha, że nie spadał aż na piersi; iskrzyły się w nim dyamenty, rubiny, szafiry, oprawione misternie w złoto, tak samo jak w manelach, dzisiejszych brasletach, w których nadto umieszczano niekiedy sztuczki łosiego rogu, jednorożca, bezoaru i t. p., uchodzące za rodzaj talizmanów, lub też t. zw. kamienie lekarskie, za jakie uważano niektóre szlachetne kamienie, posiadające rzekomo wpływ na szczęście, zdrowie lub przynajmniej humor właściciela. Każdemu prawie kamieniowi przypisywano magiczny wpływ na osobę, która go nosi: ametyst strzegł od

Tkanki. i czepce.

Kanaki.

Manele. i talizmany.

Kamienie lekarskie.

opilstwa, karbunkuł jednał przyjaciół, chryzolit odpędzał strachy nocne, koral chronił od pioruna, perły odwracały melancholię, granat rozweselał serca, szafir bronił cnoty niewieściej i dawał dobrą cerę, o szmaragdzie mówi Falimierz, że »jeśli będzie noszony przy zgwałceniu panny, tedy się złamie« i t. d.

Pontały. Pontałami zwano luźne klejnoty formy najrozmaitszej, niekiedy wielce artystycznej, małe arcydziełka sztuki złotniczej, w których robota miała tyleż lub więcej wartości, niż użyte do nich złoto i kamienie. Miewały one kształt orła, pelikana, feniksa, symbolicznych figurek — w spisie klejnotów Urszuli Sieniawskiej, podczaszyny koronnej, zmarłej około roku 1640, spotykamy pontały czyli zawieszenia z »osobami, w węzeł rycerski, z Imieniem Zawieszenia. Bożem, z figurą *Charitas*, a nawet z Zwiastowaniem«; inne inwentarze przytaczają noszenia, pontały i klejnoty »z figurą, którą zowią Wiara«, klejnot Herkules na lwie z dyamentów i rubinów, klejnot *Nomen Jesus Mariae* i t. p. Pontały figurują także pod nazwą »noszenia«, »noszeniczka«, a nie zdarzyło nam się prawie spotkać inwentarza rzeczy ruchomych całkiem skromnej nawet szlachcianki, aby w nim nie znaleźć takiego artystycznego klejnocika. W inwentarzyku np. niejakiej Bełchackiej z r. 1661 czytamy między innemi: »Noszeniczko złote z rubinami i dyamencikami całe; we środku osoba biała na koniu, pod koniem jeleń i pereł czternaście«. Nie kończyło się przecież na strojeniu klejnotami głowy, uszu, szyji, ramion i palców kobiety; także i suknie same bywały bogato ozdabiane feretami i perłami. Ferety były to małe sztuczki złote roz- Ferety. maitego kształtu, sadzone drogiemi kamieniami, które przytwierdzano do sukni, mianowicie na piersiach

(na t. zw. przedniczkach) na rękawach i kołnierzach, a które przy mnogości pereł naszywanych i przy drogości samejże materyi, zmieniały suknię niewieścią w istną kollekcyę klejnotów i kosztowności, w aparat nad wyraz bogaty, reprezentujący wartość miernej szlacheckiej fortuny. O tak wystrojonej damie polskiej mógł już bez przesady powiedzieć Wespazyan Kochowski: »że swoje folwarki, wzięła wraz z chłopy i gumny na barki«.

Przykłady. O tym zbytku w klejnotach dałoby się przytoczyć mnóstwo przykładów. Inwentarze klejnotów z XVII wieku robią niekiedy wrażenie, jakby spisywane były na dworze jakiegoś indyjskiego Naboba. I tu można szlachta szła nietylko za własną skłonnością, ale i za przykładem dworu. Nuncyusze Buongiovani i Ruggieri przekazali nam szczegóły o skarbach Zygmunta Augusta, o tych szesnastu pudłach, pełnych klejnotów bajecznej ceny, z których jeden np. rubin po Karolu V wart był 80.000, a jedna czapka obsypana rubinami, dyamentami i szmaragdami 300.000 szkudów złotych, o tych 150 centnarach pozłocistego srebra, o tej całej Golkondzie, którą Ruggieri taksuje na przeszło milion dukatów a więc może 80 milionów koron dzisiejszej monety — o królu Zygmuncie III opowiadała sobie szlachta, że na swoich godach weselnych miał na

Martwe miliony. sobie strój szacowany na milion złotych. Z tym przepychem dworu szedł w zawody zbytek wielkopański, i znamy wiele inwentarzy, które bogactwem swojem robią wrażenie skarbów monarszych. Fantastycznym prawie jest inwentarz klejnotów Maryi Potockiej z domu Mohilanki, których wartość już prawie do połowy poniżej pierwotnej taksy zmoderowaną oznaczył w r. 1615 trybunał lubelski na

sumę równającą się sześciu milionom dzisiejszym. Były tam łańcuchy »długie i miąższe, które się po ziemi włóczyły«, mnóstwo kanaków, z których każdy dochodził wartości 2000 do 3000 dukatów, niemniejsza ilość sznurów pereł do opasywania, dwie korony osypane dyamentami i rubinami, trzydzieści dużych agraf rubinowych, 100 pierścieni, z których jeden oszacowany był na 6000 dukatów, a w dodatku cała szkatuła pełna luźnych, nieoprawnych jeszcze dyamentów i innych drogich kamieni. W klejnotach Urszuli Sieniawskiej, o której spadek procesują się około r. 1640 spokrewnione z nią rodziny Daniłowiczów, Sanguszków, Zebrzydowskich, Opalińskich i Ossolińskich, było 5000 dyamentów, szmaragdów, szafirów, rubinów i mnóstwo pereł, które chybaby mierzyć trzeba było kwartami. Łukasz Sapieha, fundując kościół i klasztor dominikański w Czarnobylu (r. 1638), daje na to z swojego rodzinnego skarbca 33 łokci pereł, a mianowicie 25 sznurów łokietnych pereł uryańskich i 8 sznurów łokietnych pereł kałakuckich.

Perły uryańskie.

Sztuka złotnicza.

Charakterystyczny to objaw, że ze wszystkich rękodzieł artystycznych najbardziej rozwinięte było u nas złotnictwo; sztuka ta miała żyzny grunt w obyczaju i zbytku polskim. Lwowski warsztat i handel drogich kamieni Mikołaja Siedmiradzkiego († 1630) był firmą niemal europejskiej sławy i milionowego obrotu; u samego skarbu moskiewskiego miał ten jubiler pół miliona wierzytelności; współcześni Siedmiradzkiemu krakowscy złotnicy Daniel Le Double i Jan Dukiet utrzymywali składy klejnotów, objeżdżali z swoim drogocennym towarem dwory magnackie i jarmarki, a obok krajowych negocyantów także zagraniczni kupcy z Amster-

Handel klejnotami.

damu, Augsburga i Norymbergi nawozili do Polski biżuterye. Jak wiemy z aktów grodzkich przemyskich, na jednym jarmarku w Jarosławiu sprzedał amsterdamski kupiec Dawid de Lima za 600.000 zł. klejnotów. Amatorstwo i zbytek wielkich panów naśladowała średnia i niższa szlachta według środków a raczej grubo po nad środki. W ubogich nawet pod innym względem inwentarzach złoto i klejnociki figurują w niestosunkowej ilości; wśród bardzo skromnej spuścizny szlachcica-szaraczka ziemi przemyskiej Prokopa Tysarowskiego znajdujemy np. »łańcuch perłowy, w którym pereł dużych kóp 74, w troje robiony, z perfumami w złotych klatkach«.

Bielizna.

Natomiast nie spotykamy odpowiedniego zbytku, co więcej nie spotykamy dość często nawet słusznego dostatku w tem, co nazywany poufną częścią garderoby, w bieliźnie. Lubowano się wprawdzie w koronkach i czytamy ciągle o koronkach weneckich, o forbotach i bryzach, (niemieckie *Prissen, Preysen)*, które były także rodzajem koronek, o koszulach i giezłach z nadołkami bogato haftowanemi jedwabiem barwistym, o »wpuszczkach neselkowanych« i t. p., o batystach, o drogich płótnach flamskich i koleńskich, ale dział ten garderoby często jest tylko odświętny, na zewnętrzny efekt obliczony, i nie stoi w stosunku do bogactwa futer, materyj i klejnotów, a obfitszym bywa w wyprawach i spuściznach mieszczek krakowskich i lwowskich, aniżeli w szatniach szlacheckich, tak, że niekiedy budzi się podejrzenie, jakoby troskliwość o fizyczną osobę tam się kończyła, gdzie się za-

Słaba strona garderoby.

czynać powinna. Jeżeli pani de Motteville, przyznając, że po nad kostiumy legacyi polskiej po

Maryę Ludwikę »nic piękniejszego na świecie widzieć nie było można«, wielce się dziwi, że pod tym bogatym strojem brak bielizny, lub jeżeli królowa angielska, małżonka Karola I, niemniej się zdumiewa, że prezentowany jej synek polskiego posła, cały w złotogłowiu i bławatach, nie ma koszuli, to była w tem zapewne nieznajomość polskiego obyczaju, który w tym czasie (w latach 1636—1646) wymagał przy pełnym narodowym kostiumie gołej całkiem szyji — ale podobne tylko mniej naiwne zdziwienie budzi się i w badaczu obyczajów przeszłości wobec tej najsłabszej strony starożytnej garderoby, tak przesadnie bogatej, tak marnotrawnie zbytkownej w innych swych działach.

Broń.

Mówiąc o ubiorach w starożytnej Polsce niepodobna pominąć broni, która stanowiła nieodzowną a najdostojniejszą część kostiumu. Szabla była nieodłączną towarzyszką i kochanką szlachcica, stroił ją też i ozdabiał jak kochankę. Inna też była broń do boju, inna do stroju; za panem, który przypasał bogatą karabelę, chadzał wyrostek z drugą szablą, by ją podać zaraz, gdyby zaszła potrzeba użyć broni na seryo. Nie dziw też, że szabla stała się przedmiotem zbytku, który atoli nie poprzestał na niej samej, ale przeniósł się także na inne przybory rycerskie: na szyszak, półzbrojek, koncerz, sajdak i tarczę. Szlachta tak dalece lubowała się w bogatej i ozdobnej broni, że często broń traciła już cechę oręża i stawała się rzeczą fantazyi i teatralnej pompy. Król Stefan Batory przybywszy do Polski gorszył się widokiem szlachty w szyszakach i pancerzach, na których było więcej srebra i złota aniżeli żelaza — *ad mascaras non vero ad rem militarem in suo ornamento habent,*

Przepych i bogactwo broni.

wyrazić się miał do Jana Hlebowicza. Był to objaw wrodzonego ówczesnym Polakom zamiłowania zewnętrznej świetności, podniecanego ustawicznie wpływem wschodu, tej ojczyzny broni fantastycznie bogatej. Nigdzie też w Europie nie spotykamy takiego zbytku w broni jak w Polsce, a mamy tu na myśli zbytek materyalny, bo zbytek w dostojniejszem znaczeniu, zbytek artystyczny, był na tem polu wspólną cechą wszystkich narodów wysokiej kultury aż do końca XVIII w.; panował we Włoszech, Francyi i Niemczech. Ale podczas gdy w tych krajach płatnerz i miecznik zdobił broń rzeźbą, niellem, inkrustacyą, a więc technikami prawdziwie artystycznej natury, pozostawiając żelazu i stali to dominujące znaczenie, jakie się im należy, w Polsce obok wszystkich powyższych sposobów ornamentacyi używano tyle złota, tyle drogich kamieni, że stal na zbroji, głównia w szabli stawały się rzeczą drugorzędną a sam ornament celem.

Przesada dekoracyi.

W inwentarzach magnackich i szlacheckich spotykamy przyłbice i szyszaki z szczerego srebra, grubo pozłociste, sadzone drogiemi kamieniami; nawet pełne zbroje bywały srebrne. Abraham Herburt ma pancerze złociste, nabite drogiemi kamieniami; w inwentarzu Jana Bełzeckiego spotykamy siedm złocistych szyszaków; w inwentarzu dubieńskim książąt Ostrogskich z r. 1616 »zbroje z kamieniami i różami złotemi«, »karwasze złotem oprawne z rubinami i szmaragdami«; za trumną hetmana Koniecpolskiego niesiono jego szyszak złocisty, do koła dyamentami sadzony. Takim samym przepychem uderzały tarcze, a zwłaszcza t. zw. kałkan, bardzo ulubiony w Polsce: tarcza pleciona z figowego pręcia, owiniętego w barwisty i wzo-

Szyszaki.

Tarcze.

rzysty jedwab, której metalowy środek czyli t. zw. uchwat, inaczej cyrkuł (rzymskie *umbo)*, kuty z szczerego złota lub srebra, bywał często prawdziwym klejnotem, tyle drogich kamieni składało się na jego ozdobę. Taka tarcza była raczej kosztownym sprzętem dekoracyjnym, ozdobą kostiumu, konia lub też ściany, aniżeli ochronną bronią; wieszał ją nad łóżkiem tuż pod ryngrafem z wizerunkiem Bogarodzicy szlachcic, jechał z nią »na okazowanie«, wieszano ją pod czapką z białemi piórami przed namiotem hetmańskim, upinano u boku konia na wjazdach uroczystych.

Prawdziwem cackiem a zarazem reprezentacyjną ozdobą rycerską był sajdak czyli kołczan, który mimo coraz większego udoskonalenia broni palnej nie wychodził bardzo długo z używania, jak wogóle jeszcze po sam koniec XVII w. całe chorągwie polskie, zwłaszcza t. zw. wołoskie, uzbrojone były łukami. Nawet jeszcze w ostatnich latach XVIII w. wielu ze szlachty chadzało z sajdakami, które prawie aż do ostatecznej zagłady staropolskiego obyczaju zachowały tradycyjne znaczenie rycerskiego emblematu. Sajdak bywał albo ze skóry albo z drzewa albo też z kruszczu. W pierwszym wypadku zdobił go bogaty haft z ciągnionego złota lub srebra, w drugim wypadku przybierał nazwę łubia a kryty był srebrną blachą lub aksamitem i miał ornamentacyę najrozmaitszej techniki; w trzecim nakoniec kruszec bywał szlachetny, a złoto i srebro kameryzowano turkusami, almandynami a niekiedy i droższemi nad nie kamieniami, jak tego liczne przykłady spotykamy w inwentarzach i testamentach. Sajdak.

Do najokazalszych i najkosztowniejszych przyborów reprezentacyjno-kostiumowych należały bu-

Buławy i buzdygany. ławy i buzdygany, które z rzeczywistej ongi wojennej broni obuchowej *(masse de guerre, Streitkolben)* stały się już tylko odznakami wojskowej hierarchji, aż w końcu u nas w Polsce i to znaczenie straciły, skoro znajdowały się w kilku nawet egzemplarzach w każdym niemal znakomitszym domu szlacheckim, mimo że nie było w nim nigdy ani hetmana ani regimentarza. Z inwentarzy, z portretów, z rycin, z opisów przechowanych do naszych czasów, odnosi się wrażenie, że kto chciał, ten nosił te odznaki, choć się właściwie należeć były powinny tylko starszyźnie wojskowej. Gdzie jednak armia bywała improwizowana, tam oczywiście nie brakło także improwizowanych wodzów, regimentarzy, rotmistrzów. W czasie zamieszek domowych, jak np. podczas rokoszu Zebrzydowskiego, w awanturniczych wyprawach do Moskwy i do Wołoszczyzny, w każdej dorywczej ruchawce, czy to w niej chodziło o lokalny odpór Tatarom lub opryszkom, czy też o starościńską egzekucyę *mota nobilitate*, na zajazdach i wojnach prywatnych, każdy, czy to pan czy szlachcic, zaciągnąwszy kupę luźnego żołnierza lub zgraję sabatów, uważał się za hetmana lub regimentarza a już przynajmniej za rotmistrza, jeździł na czele swojej czeladzi z buławą lub buzdyganem w ręku, a nawet ci, którzy i takiego nie mieli pretekstu, nawet ci, którzy otrzymawszy królewski list przypowiedni na sformowanie roty, nigdy jej nie przyprowadzili do obozu, kazali się malować z temi odznakami wojskowego dostojeństwa.

Formy buław i buzdyganów. Buława nie ulegała znaczniejszym zmianom co do formy, tylko gałka, w regule kulista, przybierała czasem kształt owalny; inne różnice polegały na spiralnych lub podłużnych strefach, to wypukłych

to żłobionych, i na odmiennych rodzajach ornamentyki. Zato buzdygan miał wiele form rozmaitych, najbardziej zaś z nich typowa i niejako zasadnicza była t. zw. pierzasta, która polegała na tem, że główka buzdygana składała się z sześciu lub siedmiu t. zw. piór, wpuszczonych w trzonek; inne, także często używane formy nie miały piór i przypominały gruszkę, sześciościenną latarnię, berełkową głowicę i t. p. Najrozmaitsze kontury piór, sposób zawinięcia ich brzegów, np. w półprofil orła, w esy, w trójkąt, w obwód liścia i t. p. stanowiły o formie buzdygana. Używana była także forma zachodnia, laskowata, bez główki lub z główką słabo akcentowaną, i tego rodzaju buławę nazywano regimentem. Najskromniejszą ale w znaczeniu artystycznem najszlachetniejszą ornamentacyą buław i buzdyganów była inkrustacya czyli t. zw. *tausia*, złota lub srebrna, jeżeli były żelazne, zaś *niello* czyli jak tę technikę nazywano w Polsce blachmal, jeśli były srebrne lub pozłociste. Żelazne obywały się zazwyczaj bez drogich kamieni, co najwyżej sadzone były turkusami; srebrne i pozłociste oprócz rzeźby i rytowanych ornamentów obsypywano nierzadko dyamentami, rubinami i t. p., niekiedy zaś i to często, jak świadczą zabytki i inwentarze, buławy i buzdygany robione były całe z półszlachetnych kamieni, z achatu, górnego kryształu, jaspisu, *lapis lazuli*. W regestrze zamku leskiego wojewody wołyńskiego Stadnickiego z r. 1699 spotykamy np. »buzdygan w złoto oprawny z aspisowemi piórami, z rękojęścią z kryształu przedniego kamiennego«, buzdygan »w srebrze złocisty rubinami i turkusami sadzony, z piórami i nakońcami aspisowemi« i t. d.

Regiment.

Nad temi wszystkiemi kostiumowo-rycerskiemi przyborami górowała jednak szabla. Szyszak, pancerz, sajdak, buzdygan, tarcza, służyły tylko na uroczystościach, przy ceremoniach i obchodach publicznych; szabla była codzienną towarzyszką, nieodstępną i niezbędną zawsze i wszędzie: w kościele, w domu, w gościnie, w podróży, na sejmiku, na targu, na weselu, pogrzebie, bankiecie. Nie dziw też, że ona przedewszystkiem stała się szczególnym przedmiotem zbytku, mody, amatorstwa. Przechodziła przez rozmaite zmiany rozmaitemi czasy, ale to nie przeszkodziło, że się wyrobił pewien stały typ polskiej szabli, ostatecznie mało co zawisły od wpływu obyczajów postronnych tureckich, węgierskich i niemieckich, choć wpływ ten w pewnych porach bardzo był widoczny. Nawet kaprysy mody nie przeobrażały radykalnie najgłówniejszej rzeczy, poprzestawały na pewnych odmianach rękojęści, na rozmiarach, na pochwach i okuciu, na sposobie upięcia i materyale tych łańcuchów, pasków, rapci, sznurów i pendentów, które z tą rozmaitością nazwy przybierały także rozmaitość formy, a czasem nawet i osobne znaczenie, bo np. wiemy, że na znak akcesu do konfederacyi wojskowej upinano w odrębny sposób szable na paskach. Według pewnych odmian rozróżniamy do dziś dnia szable Batorówki, Zygmuntówki, Augustówki, nazwane tak od królów, pod których panowaniem weszły w używanie. Odmiany szabli albo raczej, że tak powiemy, jej style, zależały przeważnie od krzywizny główni i od formy jelca czyli rękojęści; ze stanowiska zaś broni siecznej a więc niejako technicznie rozróżniano trzy główne rodzaje: koncerz, pałasz i szablę. Wszystkie inne nazwy były tylko synonimami albo zazna-

Szabla.

Odmiany szabli.

czały pewne odmiany nieistotne; kord i multan np. oznaczał to samo co pałasz; ordynka, szerpentyna, karabela i t. p. były to szable odmiennej krzywizny. Koncerz, tak nazwany od tureckiego kandżara czyli hanczara, choć wcale do niego nie był podobny i przypominał formą raczej miecz bez krzyża u jelca, figurował tylko na koniu, przytroczony do rzędu; cechą pałasza była głównia prosta, długa i bardziej obosieczna; szabla była zawsze krzywa, z turecka bardzo, z polska lekko krzywa, i tylko w trzeciej końcowej części obosieczna. O ile była i jest bronią czysto-kostiumową, szabla polska nosi dziś nazwę prawie wyłączną karabeli, ale nazwa ta bardzo mało zwyczajna jeszcze w XVII wieku, utarła się i weszła w powszechne używanie dopiero w ciągu XVIII — rzecz o tyle dziwna, że powstała bardzo wcześnie, miała bowiem wziąć swój początek od niejakiego Karabela, który na dwór królewski jeszcze w r. 1496 wprowadził bardzo lekką i strojną, po dzisiejszemu mówiąc salonową szablę, małpującą oręż prawdziwy — *simiam frameae*, jak opiewa wzmianka o tem w korespondencyi Erazma Ciołka. Tymczasem w żadnym inwentarzu, a więc w żadnem z najautentyczniejszych źródeł, a znamy ich liczbę niemałą, obfitujących w nomenklaturę broni, nie zdarzyło nam się spotkać z nazwą karabeli i bodaj czy nie pierwszy Wacław Potocki używa tego wyrazu. Na kostiumowej szabli polskiej koncentrował się wszystek zbytek, jaki się roztaczał na przyborach, o których mówiliśmy powyżej. Wszystkie techniki artystycznej ornamentacyi składały się na jej wyposażenie: inkrustacya, rzeźba, rytowanie, niello i kameryzacya drogiemi kamieniami na złocie i srebrze —

Rozmaitość jej nazw.

Karabela.

nie miecznik ale złotnik i jubiler wysilał się na jej ozdobienie. Do jakiego zdumiewającego stopnia dochodził ten zbytek, tego mamy w źródłach bardzo liczne przykłady; dość z nich przytoczyć kilka bez wyboru. W dubieńskim zamku Ostrogskich była szabla otaksowana na 6000 talarów; szablę Ossolińskiego przy wjeździe do Rzymu szacowano na 20.000 zł.; wojewoda smoleński Firlej płaci Gabryelowi Dobrogostowi, złotnikowi lubelskiemu, dwanaścieset zł., a więc nawet przy ówcześnie bardzo nizkim kursie złotego przeszło 5000 koron za samą robotę od oprawy szabli, a cóż dopiero kosztować musiał materyał, użyty przy tej robocie, skoro czytamy w jej opisaniu, że montowana w szczerem złocie, ozdobiona była nietylko emalią ale osypana rubinami i dyamentami a z rubinów niektóre miały wielkość migdała.

Ceny szabel.

Czekan.

Jak szabla tak i czekan towarzyszył zawsze szlachcicowi. Nazwę czekana wywodzą niektórzy z węgierskiego, mylnie wszakże, bo jak sam czekan tak i jego nazwa przyszła do Polski i Węgier ze wschodu, gdzie ta broń nazywała się *dżukan.* Na zachodzie znana była pod nazwą *marteau d'armes, horsmanhammer,* a używała jej jazda; w Polsce służyła za broń i laskę zarazem. Jakoż czekan taki, jaki noszono u nas, był i wygodną do opierania się laską i straszną bronią przy zwadzie, tak niebezpieczną, z tylu krwawych i śmiertelnych wypadków osławioną, że trzema konstytucyami, z lat 1578, 1601 i 1620, zakazano mieć ją przy sobie na miejscach publicznych pod winą dwóchset grzywien. Czekan był laską najczęściej bardzo ozdobną, drutem srebrnym lub stalowym okręconą, której rękojęść stanowiło żelazo z jednego końca w obuch

Obuch i nadziak.

czyli młot, z przeciwnego końca w długi, ostry i szpiczasty grot czyli t. zw. nadziak zakończony, a cios zadany jednym czy drugim końcem, jeśli ugodził w głowę, albo ciężko ranił albo na miejscu zabijał. Przy uroczystych wjazdach i obchodach przytraczano bogato złotem nabijane czekany, porówno z koncerzem i tarczą, przy rzędach na koniach; świta wielkopańska, jeżeli miała na sobie kolczugi, trzymała je jak szablę przy ramieniu żelazem do góry. Było zwyczajem, że przy każdym uroczystym wjeździe, czy to powitalnym, koronacyjnym, pogrzebowym w Krakowie, czy to poselskim w którejś z stolic zagranicznych, za orszakiem jeźdźców prowadzono luźne, z niesłychanym przepychem ubrane konie z tarczą, koncerzem, sajdakiem i czekanem u rzędów, same zaś rzędy, natkane sztuczkami i ogniwkami ze złota lub pozłocistego srebra, z pod których nie widać było rzemienia, olśniewały blaskiem drogich kamieni, a wraz z wymienioną powyżej dekoracyjną bronią, z ociekającemi złotym haftem czaprakami, czetmanami, dywdykami, kutanami — i jak się jeszcze nazywały te kapy i okrycia — z kitami piór strusich w kameryzowanych rubinami i turkusami tulejach i forgach na końskich ogłówkach, z szczerosrebrnemi łękami, strzemionami, i t. p. reprezentowały, każdy z osobna, całą i to pokaźną fortunę. Dość powiedzieć, że niektóre rzędy na koniach przy słynnym wjeździe Ossolińskiego do Rzymu ceniono na 10.000 dukatów, a rząd pod Rzewuskim, kiedy posłował do Danii, na milion złotych — sumy bez wątpienia grubo przesadne, ale niemniej przeto jako cyfrowe ujęcie olśniewającego wrażenia, jakie odnosili widzowie, mniej może oddalone od prawdy, niżeliby

Rzędy i ich bogactwo.

zdawać się mogło. Na domiar jaskrawego efektu farbowano konie, nadając im maście nieznane w naturze; pani de Motteville zapisuje, że przy wjeździe legacyi polskiej, która przybyła do Paryża po Maryę Ludwikę, niektóre konie pomalowane były na czerwono, a polski uczestnik tegoż poselstwa zapewnia, że dwadzieścia koni tego bajecznie wspaniałego orszaku legacyi podkutych było srebrnemi podkowami; koń zaś wojewody poznańskiego Opalińskiego miał podkowy szczerozłote, z których jedną umyślnie tak luźnie przytwierdzono, aby się zgubiła po drodze.

Farbowanie koni.

Srebrne i złote podkowy.

Wpływ Turcyi.

Wpływ Turcyi na broń i kostium męzki, bo żeński, jak łatwo zrozumieć, nie ulegał mu nigdy, utrzymywał się statecznie w pewnej mierze, zmniejszył się jednak bardzo znacznie za panowania ostatniego Jagiellończyka i za dynastyi Wazów, ustępując coraz więcej pola wpływom zachodnim, i niewątpliwie nie byłoby się nam pozostało tyle wybitnych jego śladów, gdyby w ostatnich latach XVII wieku zwycięstwa Jana III nie zasypały były nagle całej prawie Polski niezmiernie bogatym łupem broni, rzędów, szat, sreber, kobierców, naczyń i sprzętów tureckich, które ozdobiły nietylko zamki wielkopańskie ale także dwory i dworki szlacheckie i nadały strojowi i urządzeniu mieszkań uderzające piętno wschodu. Była to niejako nagła orientalizacya smaku polskiego — zwyciężona i upokorzona Turcya wywarła w przeciągu kilku lat więcej wpływu na fizyognomię obyczajową szlachty, aniżeli przez setkę lat wywierała groźna i zwycięzka. Wiktorye pod Chocimem i Wiedniem dokonały tej zewnętrzej orientalizacyi, rzec można, z dziś na jutro. »Zdobycz nasi wzięli wielką pod Chocimem —

Orientalizacya smaku.

powiada Jan Chryzostom Pasek w swoich pamiętnikach — w srebrach, rzędach i namiotach bogatych, w sepetach zaś owe specyały wyborne, co mógłby drugi sepet na sto tysięcy rachować; one szable bogate, one janczarki. Nasiało się tedy po wszystkiej Polsce rzeczy tureckich, onych haftowanych rzeczy ślicznych, koni pięknych, łubiów bogatych i inszych różnych specyałów«. Kiedy król Jan III wjeżdża na koronacyę swoją do Krakowa, koń jego ma na sobie rząd Hussejna Baszy, zdobyty pod Chocimem, szczerozłoty, bajecznej ceny, sadzony dwoma tysiącami rubinów i szmaragdów, i rząd ten jest niejako sygnaturą smaku polskiego z tej specyalnej pory, rozmiłowanego w grubym efekcie, biorącego bogactwo za piękno, przepych za sztukę. Jakoż gdy król później rząd ten baszyński podarował Wielkiemu Księciu Toskańskiemu, zbyto go na dworze Medyceusza, w ojczyźnie Benvenuta Celliniego, pogardliwemi prawie słowy: *cosa del barbaro lusso.*

Jan III był już ostatnim reprezentantem sarmacko-wschodniego obyczaju w ubiorze i broni; do końca swego życia miłował się w kostiumowych ozdobach orientalnych. Trzymał na swoim dworze złotników Ormian i Greków, przepłacał hafciarzy, aby nikomu innemu tylko jemu jedynemu robili bogate sajdaki i czapraki — »*j'ai oublié de Vous mander* — pisze doń niepoślubiona mu jeszcze Marya Kazimira — *que le brodeur à qui Vous avez donné de l'argent pour ne pas broder de* sajdak *à personne, en a brodé un tout pareil au* Chorąży Bracławski«. Każdy poseł do Turcyi, każdy wysłannik udający się do Krymu musiał przywieźć Sobieskiemu jakiś oryginalny okaz sztuki wschod-

Sarmacko-wschodni obyczaj.

Amatorstwo Jana III.

niej. »Według rozkazania — pisze do niego rezydent przy chanie krymskim Lichowski — łęk w srebro oprawny odsyłam, jako moda najforemniejsza tu w Krymie teraz. Rzędzika tu jeszcze nie widziałem czerkieskiego, bo tu wszystko w tureckich jeżdżą«. Kiedy mu z Florencyi przysłano zamówioną tam przez niego szablę, zbył ją wprawdzie komplementem, że jest *d'un lavoro perfetissimo,* ale zaraz dał ją do przerobienia swemu ormiańskiemu złotnikowi Bedrosowi. Nawet w swoim ustronnym Jaworowie, takim sielskim i niepokaźnym, że go komedyopisarz Regnard nazwał *le plus villain trou* nietylko w Polsce ale na całym świecie, nawet w tej z szlachecka skromnej rezydencyi ubierał się Sobieski z wschodnim przepychem; cytowany już przez nas Abbé de P. widywał go tam zawsze w żupanie złotolitym, w sobolowym kontuszu i w czapce również sobolowej, z osypaną dyamentami szablą przy boku i z niemniej bogato drogiemi kamieniami sadzonym czekanem w ręku, a klejnotów miewał na sobie zawsze na 200.000 talarów.

Złudne wrażenie.

Ta wspaniałość szat i klejnotów u znamienitej szlachty, ta ich obfitość nawet u mniejszej i bardzo małej, wywołuje wrażenie, jak gdyby ta przeszłość była jakimś światem purpury, złota i brylantów, nasuwa wniosek nie już wielkiego dobrobytu ale wyjątkowego bogactwa. Wniosek taki byłby jednak mylny. Nie mówiąc już o tem, że to, co się dzieliło na kilka wieków i na cały szereg pokoleń, co się niejako rozpraszało w przeszłości na ogromną przestrzeń czasu i miejsca, koncentruje się dziś w naszej wyobraźni i w tej koncentracyi wywołuje wrażenie po większej połowie czysto fantazyjne, ale i sama rzecz przedstawi się nam

inaczej, jeśli zważymy, że ta amatorska obfitość drogich kamieni, złota, klejnotów, nie stała w żadnym rozumnym stosunku do rzeczywistego majątku i nie może wcale służyć za dowód wielkiego dobrobytu. W przeważnej części było to bogactwo, okupione ubóstwem, świetna fasada, po za którą daleko mniej było, niż obiecywała, po za którą niekiedy już nic więcej nie było. Wacław Potocki nazywa to »bogatą nędzą« w jednym z swych satyrycznych wierszy, opisując, jak go to olśniła w rezydencyi pewnej senatorskiej »pańska aparencya, pościel złotem szyta, ściany całe w szpalerach, w axamitach stołki, sługi w koralu, srebrem okute pachołki«, »pałac czy też belweder zbyt świetno, zbyt szumno, zaś w oborze krów kilka i mizerne gumno« — a sam pan oblężony przez wierzycieli chowa się po kątach. Widzimy z inwentarzy, które nam wyliczają wszystkie te splendory domowe, bo tak nazywano u nas szaty, sprzęty, kosztowną broń i klejnoty, że między ich świetnością i obfitością a tem, co jest realnym dostatkiem domu, co służy rzeczywistej potrzebie, wygodzie, łatwości bytu i życia, zachodziła zbyt często rażąca dysproporcya. Był to aparat świąteczny a święto nad wszelką miarę żyło kosztem dnia powszedniego. Więcej to była wada czasów niż narodowego charakteru, bo na całym współczesnym świecie działo się podobnież, tylko że wśród daleko szczęśliwszych warunków społecznych i ekonomicznych i z większą szansą wyrównania kontrastów.

»Bogata nędza«.

Zbytek bez dobrobytu.

Nie brakło też kontrastu zbytkowi wielkiej i możnej szlachty — było nim już same tło społeczne, w całości swojej takie szare i ubogie, że gdybyśmy mogli je widzieć dzisiaj roztoczone przed

Kontrasty.

sobą, ujrzelibyśmy, jak ta świetność gubiła się w płowej masie, jak ten złoty haft nie wystarczał, aby z tła zrobić malowniczy kobierzec. Nie mówiąc już o ludzie, który nie wchodzi w zakres tej pracy, dość było ciemnego tła w tej warstwie, która się także »bracią szlachtą« nazywałą, w mnogotysięcznym tłumie tej szlachty cząstkowej, zaściankowej, »okolicznej«, czynszowej, chodaczkowej, która choć ją rzeczywisty przywilej wolności a fikcyjny równości dzielił przepaścią od ludu, przecież sposobem swego życia, stopniem oświaty i ubóstwem tak była blizka chłopa, że ją w naszym opisie obyczajów szlacheckich pomijamy, pozostawiając ją ludoznawstwu. Ten drobny szlachcic, najpośledniejszy »syn koronny«, który ma dzisiaj więcej miejsca w powieści i poezyi, niźli go miał w historyi — dał mu przecież Mickiewicz homeryczną nieśmiertelność, przenosząc na Parnas polski zaścianek dobrzyński — ten brat szlachcic mieszkał tak samo w chałupie krytej słomą, nie zawsze i nie wszędzie opatrzonej kominem, i tem tylko różniącej się od chłopskiej lepianki, że nazywała się dworkiem i musiała koniecznie mieć ganeczek; nosił po szlachecku zawiesiste wąsy, ubierał się w siermięgę i płótniankę a od wielkiego święta w kontusz z karazyi, przypasywał surowym rzemykiem szablę oprawną w gołą trzaskę, wotował na sejmikach, mógł wotować na króla, nazywał się w aktach »szlachetnym«, używał sam tytułu pana a żona jego »jejmości« — i oto cały splendor jego stanu. Klamką pańską, służbą wojskową a na Rusi duchowną karyerą, ihumeństwem lub władyctwem, dobijał się niekiedy krescytywy i niejeden z tej ciemnej rzeszy dał początek rodzinie dziś już utytułowanej — tyle też

Drobna szlachta.

Szaraczki mazowieckie.

tylko w opisie szlacheckich obyczajów powiedzieć o nim możemy. Rozsiedlony gęsto we wszystkich prawie dzielnicach Polski, mało wykazywał różnic prowincyalnych pod względem dobrobytu, ubioru, i obyczaju, ale jak wypływa z wielu wzmianek, najuboższy był i najwięcej dostarczył tematu do satyry na Mazowszu, gdzie jak twierdzi arcybiskup Marescotti w r. 1670, szlachta zaściankowa »niedawno jeszcze temu nie wiedziała, co to jest złoto, srebro lub wino«, a popisywała się na zjazdach i okazowaniach w ubiorach i uzbrojeniu, wywołujących śmiech i szyderstwo widzów. Na konwokacyi warszawskiej w r. 1587 »panowie Mazurowie — czytamy w współczesnym zapisku — okazowali się dość błazeńsko, nie może być nikczemniej: mało nie wszystko na kijach było, około dwóch tysięcy; mieli niektórzy szyszaki z łubiu świerkowego a gęsie pióra na wierzchu dla swojej większej ważności«.

ROZDZIAŁ CZWARTY

DOM I ŚWIAT

I.

Mawiano, że Polska stała jednostkami. Rzecby raczej można, że stała rodziną. W społeczeństwie tak niedostatecznie obwarowanem instytucyami ładu i bezpieczeństwa publicznego, w kraju, o którym Rej piszący w porze, co w oczach wszystkich późniejszych pokoleń uchodziła za złote czasy narodowego bytu, powiada z goryczą, »że żadna banda a snać i cygańska nie jest w takiej niedbałości a snać jest w lepszem opatrzeniu niźli sławne a zacne to państwo nasze« — przeważna część tych obowiązków, które spełniać winny państwo, władze, ustawy, spadała na rodzinę. Najsurowszy nawet sędzia przeszłości przyznać musi, że rodzina polska spełniała ten wielki obowiązek, że była najsilniejszym fundamentem obywatelskim i narodowym, i że w najgorszych nawet czasach być nim nie przestała. Kiedy wszystko poszło w gruzy, na niej budowało się nowe życie; przechowała w sobie wiernie wszystko, co było warunkiem i rękojmią odrodzenia. Rodzina.

W przeszłości, która nas tu zajmuje, spełniała misyę wyrównania, godziła sprzeczności publi- Misya jej społeczna.

cznych i prywatnych interesów; była bodźcem i hamulcem zarazem; bodźcem swoją tradycyą i ambicyą, hamulcem swoją poczciwością i karnością. Można powiedzieć, że topniał w niej i miarkował się krnąbrny i porywczy temperament narodowy, poskramiał się wybujały i aż do niesforności niezawisły indywidualizm szlacheckiego charakteru.

Etyczna siła rodziny.

Etyczna siła rodziny długo była jedynym ratunkiem spraw publicznych; rodzina była też najwyższą a może nawet jedyną rozstrzygającą instancyą opinji w społeczeństwie, którego klątwą była bezkarność i pobłażliwość publiczna. Bardziej niż na wyroku trybunalskim, bardziej niż na sejmikach i na sejmie, na zjazdach i na wyborach, gruntowało się zdanie o ludziach na opinji rodzinnej — nawet banita i infamis długo mógł wyzywać bezbronne społeczeństwo i żartować z wyroków publicznych, ale próg poczciwego domu wytykał kres jego zuchwalstwu a związek z szanowną rodziną stawał się dlań niemożliwym. Człowiek wątpliwego charakteru łatwiej mógł odgrywać rolę w publicznem życiu aniżeli znaleźć poczesne miejsce u czyjegoś rodzinnego ogniska, łatwiej mu było zostać urzędnikiem powiatowym, posłem lub deputatem na trybunał, aniżeli spowinowacić się z zacną rodziną, otrzymać rękę córki dobrego domu, ożenić w nim syna.

Szerokie pojęcie rodziny.

Wpływ i znaczenie rodziny były tem potężniejsze, im szerzej pojmywano jej granice, a nigdzie nie pojmowano ich tak szeroko jak w Polsce. Świadomość łączności rodzinnej sięgała w najdalsze filiacye; rodzina stawała się wielką rzeszą, a wymowny to symbol jej moralnego obszaru, że już sama wspólność herbu stworzyła w języku

szlacheckim nazwę z znaczeniem powinowactwa, bo nazwę »stryjców herbownych«. Znano i śledzono u nas najdalsze powinowactwa i pokrewieństwa, przyznawano się do najodleglejszych kolligacyj i filiacyj i uznawano je chętnie nawzajem; w kraju, w którym nigdy nie było heroldyi, jaka istniała np. w Anglji i Francyi, wiadoma była przecież dobrze historya rodów, a mimo skłonności do bajecznych wywodów prozapji, którym w gruncie rzeczy nikt nie wierzył — nawet ci, dla których splendoru je zmyślano — mimo całej śmieszności tak niegodnej w samej sobie, bo jakby z pogardy rodowicie polskiego pochodzenia wypływającej manji wywodzenia się od cudzoziemskich, często nawet klasycznych rzymskich protoplastów, w końcu mimo wstrętnie pochlebnych panegiryków — mimo wszystko i wszystko szlachta umiała trzeźwo i trafnie ocenić i starożytność i dostojność każdej familji. Nigdzie może tylu co w Polsce nie było urodzonych genealogów, którzy z pamięci umieli wyliczyć wszystkie parentele i koligacye szlacheckich domów, sięgając w daleką przeszłość i w dalekie stopnie, nigdzie też może nie starczyło tak mało do tytułu krewieństwa i powinowactwa. »Krewny, jak żerdź po płocie, jak woda po kisielu, jak ścieżka po zagumniu« — żartowano sobie z tych wywodów, które dochodząc do przesady, przybierały często cechy śmieszności, ale wypływały zawsze z szanownego i szerokiego poczucia łączności rodzinnej. »Jego baba i moja, były to dwie babie — kochały się jednakie mając w herbie Grabie« — powiada Wacław Potocki o takim sąsiedzie-genealogu.

Kolligacye i filiacye.

Genealogowie.

Przykrzy mi się, słuchając srogich jego plotek,
Regestru sióstr i braci, wujów, stryjów, ciotek.
Kogo który wziął z domu, która była za kim,
Prawi Księgi Rodzaju długim zodyakiem.

Kobieta.

Gdyby jedyną i rozstrzygającą cechą obyczajowej kultury było stanowisko kobiety, to szlacheckiej Polsce należałby się może z tego tytułu prym między narodami. Stanowisko żony i matki było w całem znaczeniu tego słowa dostojne; wpływ kobiety wielki, często nawet przemożny. Żona »klejnot drogi«, żona »miły i wdzięczny a tobie równy towarzysz«, żona »ozdoba mężowi«, żona »głowy korona« — wszystkie te nazwy, spotykane ustawicznie u naszych starych poetów i pisarzy, począwszy od Reja i Kochanowskiego a skończywszy na najpóźniejszych, to nie były czcze tylko słowa, jak tyle innych w naszej nie zawsze szczerej literaturze, to była cała prawda; stwierdzają to wszystkie inne, najmniej podejrzane źródła obyczajowe przeszłości: akta sądowe, intercyzy, testamenty, listy poufne, nie mówiąc już o pamiętnikach. Jest to rys naprawdę charakterystyczny, że żonie dawano zazwyczaj nazwę »przyjaciela«. Nietylko szlachta ale i wielcy panowie, którzy łatwiej i wcześniej odbiegali od staropolskiego słownika i obyczaju, przyjacielem mianują żonę. Janusz Radziwiłł, prosząc króla Władysława IV o pomoc do ręki panny Potockiej, zaklina go, aby nie odmówił, bo tu »nie o urząd, nie o wakancyę idzie, ale o wiecznego przyjaciela«; Jerzy Ossoliński starając się o Daniłowiczównę, według słów własnych »szuka przyjaciela jako najdroższy skarb i największe po łasce Boga błogosławieństwo«; Franciszek Sapieha, koniuszy w. litewski, w testamencie

Żona-przyjaciel.

swoim z r. 1683 żegna »najmilszego po Panu Bogu przyjaciela, małżonkę Annę z Lubomirskich«, ks. Albrecht Radziwiłł, zrzekając się mimowoli ręki wojewodzanki sandomierskiej na rzecz swego synowca, powiada, że odstępuje mu »od Boga naznaczonego przyjaciela«; wojewoda miński Krzysztof Zawisza mówi w swoim pamiętniku, że »cokolwiek ma reputacyi u świata i błogosławieństwa od Pana Boga, ma to z osobliwej łaski Opatrzności, że mu dał przyjaciela« Teresę Tyszkiewiczównę. Pod tą nazwą przyjaciela kryje się wyraz emancypacyi kobiety w najpiękniejszem znaczeniu tego słowa. Widząc w żonie przyjaciela, dawano jej niejako niezawisłość od znikomych warunków upodobania, od młodości i piękności; wymagano od niej nietylko sentymentu ale i męztwa, nietylko serca ale rozumu i czynu.

I rzeczywiście *mulier fortis* nie była rzadkością w ojczyźnie Anny Chrzanowskiej; kobiety często dorównywały mężczyznom energją czynu i męztwem, a w regule przewyższały ich ambicyą. Frycz Modrzewski ubolewa nad tem, że »niewiasty polskie zwykły się hardziej, niż przystoi, przeciwko mężom zachować«. Nie szukając innego przykładu, cóż to za wspaniała w swoim rodzaju postać dziewczyny polskiej, ta w cichym Samborze wychowana wojewodzanka sandomierska, późniejsza caryca Maryna, która z przedziwną energią i niepokonaną niczem siłą ambicyi stawi czoło najgroźniejszym przygodom swego awanturniczego losu, która ubrana w zbroję husarską wpada do koła rozwichrzonego polskiego żołnierstwa i postawą i mową »siła towarzystwa na swoją stronę buntuje«; która uciekającym z wałów oblężonego

Mulier fortis.

przez Moskwę Dymitrowa zabiega drogę wołając: »Co czynicie, źli ludzie! Jam białogłowa, a serca nie tracę!«—a staroście uświackiemu Sapieże, kiedy ją chce zatrzymać w drodze do Kaługi, rzuca wyzywające słowa: »Mam półczwarta sta Dońców! Gdyby mi do tego przyszło, dam ci bitwę!«

Wpływ kobiet.

Wpływ kobiet polskich przekraczał często granice świata domowego, w którym królowały, sięgał w życie publiczne i jego najważniejsze nawet sprawy. Obok licznych innych mamy tego najwymowniejsze może wskazówki w raportach posłów i agentów cudzoziemskich, którzy obliczając szanse swojej misyi i akcyi, biorą w rachubę także opinie i sympatye dam polskich, małżonek dostojników koronnych. W czasie np. bezkrólewia po królu Michale agenci w kombinacyach swoich przed-elekcyjnych rozważają pilnie, za którym kandydatem oświadczą się kobiety. Prawie tyleż a niekiedy może i więcej chodzi im o to, aby dociec,

Polityka kobiet.

za kim? za Kondeuszem czy za Neuburgczykiem, za Piastem czy za księciem Lotaryńskim? będzie pani wojewodzina sandomierska Czartoryska, pani kanclerzyna litewska Pacowa, pani wojewodzina lubelska Rejowa, pani podskarbina kor. Morsztynowa, pani wojewodzina krakowska Lubomirska, pani podkomorzyna kor. Denhofowa, pani stolnikowa Wielopolska — aniżeli o to, jakie stanowisko wobec kandydatów zajmują dam tych małżonkowie. Nie inaczej bywało i później; w czasie czteroletniego sejmu wpływały na bieg rzeczy publicznych w znacznej mierze i damy polskie — dość przytoczyć ks. marszałkową Lubomirską, ks. generałową Czartoryską, hetmanową Ogińską, kasztelanową Kossakowską, siostrę hetmana ks. Sapieżynę

i t. d. W pamfletach ówczesnych spotykamy ustawicznie skargi na polityczny wpływ kobiet; w jednej z tych ulotnych broszurek autor posuwa się tak dalece, że całą konfederacyę barską nazywa »kłótnią kobiecą«. Niemcewicz mówi o »kwokach«, otaczających króla, a Kitowicz gorszy się niepomału, że »kobiety po całych sesyach przesiadują na ganku w izbie sejmowej, dają znaki posłom i senatorom przymileniem ust lub marszczeniem czoła, co im się podoba a co nie podoba«. »Kwoki«.

W życiu codziennem i praktycznem, w sprawach administracyi fortun, w akcyach procesowych a nawet w zajazdach i wojnach domowych kobiety odgrywają często rolę energicznych i śmiałych adwersarek lub aliantek. Tak zwana Herod-Baba, to nierzadkie zjawisko w Polsce. Dwie Anusie, Opalińska i Stadnicka, są nieustraszonemi, namiętnemi aliantkami swoich mężów w tej pamiętnej i krwawej wojnie prywatnej, która się toczyła przez trzy lata w ziemi przemyskiej, od roku 1607 do 1610. Zofia Zamiechowska, po ostatnim trzecim mężu wojewodzina trocka Tyszkiewiczowa, nad podziw bystra, śmiała, energiczna, obrotna, przez 25 lat stacza wojny z Potockimi, Radziwiłłami, Wolskimi, Buczackimi, Czuryłami, jest sama sobie finansistą, jurystą, ekonomem i komendantem, wytrzymuje walecznie oblężenia swych zamków w Podhajcach i Buczaczu, odpiera zbrojne zajazdy i starościńskie egzekucye, zaczepia i broni się »prawem i lewem«, trybunałem i arsenałem, dekretem i muszkietem; wychodzi z najgorętszych opałów obronną ręką i kończy żywot swój burzliwy z chrześciańską podniosłością duszy, jako czcigodna matrona, hojna fundatorka szkół, kościołów i szpitalów, Dzielność kobieca.

dobrodziejka krewnych, sług i przyjaciół — a przez ten cały czas tak głucho o jej trzech małżonkach, jak gdyby nigdy nie istnieli na świecie. Któż nie Herod-Baba. zapamiętał sobie z opowieści Paska tej pani podwojewodziny Sułkowskiej, która przyjeżdżającego w gościnę do jej męża króla Jana Kazimierza wita gradem inwektyw, na klęczkach zanosząc modlitwę do Boga, aby »tego króla, wydziercę, szarpacza, krwi niewinnej rozlewcę, pioruny strzaskały, żeby go ziemia żywego pożarła, żeby go pierwsza kula nie minęła« i t. d. »Mąż jej gębę zatyka, a ona tem bardziej mastykuje«. Mniej zapewne gwałtowną ale niemniej rezolutną była inna szlachcianka, Kunicka, która naprocesowawszy się z wojewodą sieradzkim Felixem Potockim o dwóch chłopów przez lat 25 i uzyskawszy na nim nareście dekret i banicyę a nie mogąc wymódz na przemożnym magnacie poddania się prawomocnemu wyrokowi, w r. 1672 jedzie do Warszawy w czasie sejmu, wpada do izby podczas obrad senatu, i kiedy Potocki głos zabiera, przerywa mu śmiało i zadaje *inactivitatem*, t. j. odmawia mu jako banicie prawa do funkcyi senatorskiej. Książę podkanclerzy litewski Radziwiłł grozi jej wyprowadzeniem z sali, »bo teraz radzimy o obronie ojczyzny«, ale nieustraszona szlachcianka chwyta się obiema rękami za szranki i zwraca się do króla mową »nieporównanie jako wyprawną, rzetelną, krzykliwą«, jak się wyraża naoczny świadek tej sceny, wołając: »Co mi po takiej obronie ojczyzny, kiedy wielki pan stanie za ordę tatarską! Nie takeś Wasza Królewska Mość nam ubogim sierotom czynienie sprawiedliwości świętej przysięgał!« Słowem, szlachcianka zahamowała całą czynność

senatu, musiano na dwie godziny zawiesić obrady i skończyło się na tem, że wojewoda z »wielką swoją konfuzyą« musiał wypłacić Kunickiej na poczekaniu dwa tysiące zł. w gotówce, bo kiedy nie mając przy sobie całej sumy, dawał jej oblig, nie chciała go przyjąć, mówiąc, że »za grosz w Warszawie całego arkusza papieru dostanie«. Tak częste w Polsce porywania czyli tak zwane »rapty« panien mają swe źródło bardziej może w energji samych panien aniżeli w zuchwalstwie mężczyzn; najgłośniejsze z nich udają się tylko determinacyą i śmiałością »porywanej« kochanki, jak np. sławny swego czasu rapt starościanki halickiej Krzysi Strusiówney przez Adama Kalinowskiego; ucieczka wojewodzanki Mniszchówney, siostry carycy Maryny, z Hermolausem Jordanem; wyłamanie się z klasztoru przemyskiego chorążanki wyszogrodzkiej Szczawińskiej i t. p., bo we wszystkich tych raptach panny nietylko nie są ofiarami zuchwalstwa ani nawet biernemi figurami, ale przeciwnie, odgrywają bardzo czynną rolę, dają dowody wielkiej odwagi i po ich to stronie najczęściej i hazard i zasługa powodzenia. Przytoczyliśmy tylko kilka bardziej oryginalnych a mniej znanych rysów i przykładów; źródła rękopiśmienne XVII w. a zwłaszcza akta grodzkie i ziemskie rozmaitych dzielnic polskich mogłyby ich dostarczyć w obfitości.

Rapty.

Z tego, co przytoczyliśmy, wypływałoby, że jak w tylu sprawach domowych i pozadomowych, tak samo i w życiu towarzyskiem, a więc na polu, na którem wiek XVIII i w Polsce także przyznał im berło panowania, kobiety zajmywały dominujące stanowisko. Zdaje się przecież, że wniosek

Kobieta w życiu towarzyskiem.

taki byłby mylny. Mamy wprawdzie tylko skąpe wiadomości o życiu towarzyskiem w wiekach minionych, ale to, co wiemy, wystarcza, aby odnieść uzasadnione wrażenie, że towarzyska rola kobiety nie pozostawała w odpowiednim stosunku do jej zalet i przymiotów, okazywanych w praktycznem i domowem życiu. Było kilka powodów tego objawu: najpierw surowe aż do przesady pojmywanie skromności i wstydliwości niewieściej, wynikający stąd i już wychowaniem podyktowany brak towarzyskich stosunków z płcią męzką w pierwszej młodości, a co zatem także iść zwykło, brak do-

Brak zalotności.

zwolonej nawet i niewinnej zalotności — *la coquetterie n'y est point en usage,* mówi Laboureur o Polkach — a w końcu i braki samegoż wychowania, które nie dawało kobiecie dostatecznej oświaty a już zupełnie zaniedbywało kultywowania tych stron umysłu i fantazyi, które są duszą konwersacyi i wykwintniejszego pożycia z ludźmi. Kobieta polska wieków przeszłych miała dużo wro-

Braki wychowania.

dzonej inteligencyi ale bardzo mało umysłowego wykształcenia. Spotykamy liczne przykłady, że szlachcianki z znaczniejszych nawet domów podpisać się nie umiały; zdradzają nam tę niemiłą tajemnicę akta sądowe. W domach wielkopańskich niewątpliwie musiało być inaczej, ale w średnim świecie szlacheckim kobieta z wykształceniem odpowiedniem swemu stanowisku i fortunie należała do wyjątków. Kiedy się trafił szlachcic — a bywał to zazwyczaj człowiek znający po trosze kraje cudzoziemskie — który pragnął zapewnić wyższą edukacyę córce, jak np. podkomorzy derpski Łahodowski († 1653), to kończyło się na tem, żeby do dwunastego roku »dobrze czytała i pięknie pi-

sała, umiała także grać na instrumencie«, t. j. na klawicymbale i lutni, »ponieważ dziecię dowcipu bystrego; a skoro przejdzie rok dwunasty, oddać ją na dwór Królowej Jejmości«. Ale każdoczesna królowa miała ograniczony zawsze fraucymer, na dworach wielkopańskich także dla niewielu panienek było miejsce — a więc ta jedyna akademia dobrego tonu i towarzyskiej ogłady tylko za wyjątkową protekcyą była przystępna.

Dwór królewski jako akademia dobrego tonu.

Bez czynnego udziału kobiety nie masz prawdziwej ogłady obyczajów i nie masz konwersacyi, tej duszy towarzyskiego życia. Przed drugą połową XVIII wieku nie można też mówić o salonie. Próby wykazania tej strony kulturalnego życia w Polsce XVI i XVII wieku, podejmywane przez niektórych naszych autorów z wielką niekiedy erudycyą ale zawsze z małym skutkiem, opierają się tylko na literackich szczegółach z wzajemnych osobistych relacyj kilku humanistów polskich, na oderwanych od realnego życia ustępach z utworów poetów i pisarzy współczesnych, i mają więcej znaczenia dobrowolnej illuzyi aniżeli obrazu obyczajów. Nawet za wpływem Francuzek na polskim tronie nie powstało nic, coby przypominało choćby z daleka wyższą towarzyskość włoską lub salon francuski; z Maryą Ludwiką, która przecież sama była zwolenniczką słynnego hotelu Rambouillet a nawet uchodziła swego czasu za *precieuzę* w Paryżu, nie zmieniły się w duchu francuzkiego salonu nawet obyczaje towarzyskie dworu, na którym, jak to wiemy z dokładnych zapisków Albrechta Radziwiłła, najzwyczajniejszą rozrywką towarzyską była tak zwana *Wirthschaft*, zabawa

Sztuka konwersacyi.

»Wirthschaft«.

niemiecka, która jeszcze do połowy XVIII wieku grasowała na tuzinkowych dworach Rzeszy.

Górnickiego *Dworzanin* w swojej części prawdziwie polskiej, to jest: o ile wprowadza w grę rzeczywiste polskie osobistości z anegdotycznej strony, jest wielce szanownym dokumentem obyczajowym, ale ostatecznie bądź co bądź w całości swojej wiąże się tylko mechanicznie z rodzimem życiem współczesnem i bardziej je może charakteryzuje tem, co opuszcza z swego włoskiego oryginału, aniżeli tem, co sobie z niego przyswaja.

Świat bez kobiety i sztuki.

Wyklucza kobietę i sztukę. Kobietę wyklucza, »bo ani nasze Polki są tak uczone jako Włoszki, ani drugich rzeczy, które ówdzie są, cierpieć by ich uszy nie mogły«; wyklucza sztukę, bo »dysputacya, która *ars* jest misterniejsza« zda mu się zbyteczną, albowiem jej u nas nie znają, a »Polakom, którzy *delicatum palatum* niedawno mieć poczęli«, malowanie »nie szłoby w smak«; wyklucza komedyę i tragedyę, »bo u nas tego sposobu około maszkar nie używają«; wyklucza też niejedno z subtelniejszej dyalektyki konwersacyjnej jako rzecz, »która w polszczyznę żadną miarą wniść nie mogła«. Jako ważny objaw i dowód wyżej rozwiniętej towarzyskości polskiej próbowano także

Rzeczpospolita Babińska.

przedstawić bardziej sławną aniżeli zasłużoną Rzeczpospolitę Babińską. Upatrywać w niej »pierwszą w Polsce affirmacyę indywidualizmu«, uważać ją za jedną »z najciekawszych kreacyj ducha ziemiańskiego«, za »salon obywatelski, najstarszy i najznaczniejszy w dawnej Polsce« i t. d., jak to czyni wydawca jej aktów, wydaje się nam grubą przesadą albo raczej ową patryotyczną autosugestyą, jakiej mimowolnie ulegają niektórzy badacze nasi,

co zakochani w dostojnych formach kultury zagranicznej a osobliwie włoskiej, z tęsknotą szukają jej w przeszłości własnego kraju i znaleźć koniecznie pragną. Przeboleć też nie mogą, że Dante żadnego Polaka nie osadził w piekle i że żaden Polak nie korespondował z Piotrem Aretynem.

Rzeczpospolita Babińska ma swoje »przedhistoryczne« czasy, a to aż po rok 1580, w którym umarł jej założyciel Stanisław Pszonka; mówimy »przedhistoryczne«, bo oprócz skąpych wzmianek Sarnickiego i Achacego Kmity mało bardzo wiemy o Babinie, ale to, co wiemy, pozwala się domyślać bardzo wiele na jego korzyść, pozwala się domyślać tem więcej, że połączono z Babinem takie znakomite imiona jak Reja, Kochanowskiego, Sępa Sarzyńskiego, Paprockiego a nawet Jana Zamojskiego. Ale od r. 1603 aż do roku 1677 mamy już przed sobą akta Babińskiej Rzeczypospolitej, a te akta obniżają jej znaczenie towarzyskie i humorystyczne do bardzo skromnej, nawet ubogiej miary. Założona prawdopodobnie na wzór którejś z tych już w XVI wieku bardzo gęstych parodystycznych akademij i kompanij włoskich, zawiązywanych przeważnie przez artystów, szkolarzy i ich wesołych towarzyszów, jak np. *Compagnia del Pajuolo, Compagnia della Cazzuola* i t. p., łatwo być może, że miała w pierwszych latach swego istnienia wyższy pierwiastek towarzyski i satyryczny, odkąd ją jednak lepiej znamy, była tylko akademią łgarstwa, o czem świadczy i jej dewiza: *Omnis homo mendax.* Nie przestawano też w Babinie na rozdawaniu urzędów przyłapanym na gorącym uczynku łgarzom, co kłamali lub przesadzali z naiwną albo też bezczelną pretensyą do wiary słuchaczy, ale

Akta Babińskie.

Humor w kłamstwie.

dawano tytuły jako premię za kłamstwo bez zamiaru okłamania, za humor i fantazyę w sztuce kłamania, kierując się niejako zdaniem Górnickiego, że »zasię gruby kłam, rymownie złożony, ten też, jeśli co, człowieka rozśmieszy«. Ale w tych 413 zapiskach, które nam przechowały akta babińskie, bardzo mało jest humoru i fantazyi — kłamano po za Babinem lepiej i oryginalniej. To, co stanowi główną wartość takich konceptów, t. j. zamiar satyryczny, krytyka ignorancyi i przesądu w masce marchołtowej, wielką jest rzadkością w aktach babińskich, a bujnością imaginacyi wcale nie górują one nad tem, co nam zostało po takich późniejszych oryginałach i mistrzach pseudologji, jak baron Münchhausen lub nasz Radziwiłł Panie Kochanku.

Francuzi północy.

Polacy mają przyrodzony talent towarzyski; już w XVI wieku porównywano ich z tego powodu do Francuzów. »Ma drugi w sobie bezpieczeństwo jakieś szczere a otworzyste, nie patrząc bardzo na ceremonie — mówi Górnicki — i powiadają tak, którzy bywali we Francyi, iżeśmy my Polacy Francuzom w tem, albo oni nam, bardzo podobni«. Spostrzeżenie to zrobił także Francuz Beauplan, sprowadzony do Polski w roku 1632; i on znajdował wiele podobieństwa między Francuzami i Polakami, których towarzyska łatwość i swoboda, *un naturel franc et gai*, ujmywały go sympatycznie na każdym kroku. Co Górnicki nazywa szczerem a otworzystem bezpieczeństwem, wolnem od ceremonji, to nic innego jak swoboda, naturalność i prostota, unikająca pozy i afektacyi, a to są właśnie główne warunki towarzyskiego pożycia, a przedewszystkiem tego, co dziś nazy-

wamy konwersacyą. Aby się ten talent rozwinął w pełni, trzeba było tylko szerszej wielostronności życia, którą daje dojrzała cywilizacya, i większej wrażliwości umysłu, którą daje ćwiczona inteligencya. Mniej się słyszało, mniej się widziało, mniej się odczuwało i mniej rozumiało w starym świecie polskim. Nie było też konwersacyi w dzisiejszem znaczeniu tego słowa; była tylko gawęda i pogadanka, a na wyższy stopień tych dwóch form, że tak powiemy: kominowych, Górnicki nie ma już nazwy ani swojskiej ani obcej i używa określenia: »gry rozmowne«. Nie znają też ani on, ani jego współcześni dowcipu w naszem utartem znaczeniu; dowcip oznacza u nich bystrość umysłu, inteligencyę, a na oznaczenie tego, co my nazywamy dowcipem, służy im słowo: »trefność«. Przytyk, docinek, nazywa się w słowniku Górnickiego »sznupką«, słowo »żart« oznacza mistyfikacyę, na którą ma jednak także niezgrabną nazwę: »kunsztownej posługi«. Człowiek obdarzony towarzyskiemi zaletami to człek »biesiadny«, towarzysz świetny i wesoły to »czysty, gładki pachołek«. Słowa »grzeczność« w XVI i XVII wieku nie używano w naszem znaczeniu dzisiejszem; grzeczność znaczyła tyle co rozsądek, takt, celowość słowa i czynu, zachowanie się k rzeczy, do rzeczy — cały zaś kodeks grzeczności dzisiejszej obejmowano nazwą »ludzkość«, o czem w dalszym ciągu będzie jeszcze mowa. Górnicki w przytoczonej uwadze o Polakach i Francuzach używa słowa »bezpieczeństwo« w dobrem znaczeniu swobody, zazwyczaj jednak tylko człowiek zbyt pewny siebie, nieostrożnie śmiały w słowie, obcesowo poufały, pozwalający sobie więcej niż przystało, był czło-

Warunki konwersacyi.

»Gry rozmowne«.

»Trefność«.

Człek »biesiadny«.

Ludzkość.

wiekiem »bezpiecznym« — my dzisiaj nazwalibyśmy go właśnie niebezpiecznym. Wykwintne maniery, delikatność towarzyska, wystrzeganie się prosta-

Polityka.

ckich nałogów, obejmywano wyrazem »polityka«. Kto obrażał swojem zachowaniem się dobre towarzystwo, był człowiekiem »niepolitycznym«.

W tem krótkiem zestawieniu mamy terminologię a do pewnego stopnia także najogólniejszą charakterystykę ówczesnej konwersacyi. Daremnie szukamy uzupełnień i szczegółów w współczesnej Górnickiemu i całej późniejszej literaturze. Obiecuje ona na pozór dużo, daje mało — przedewszystkiem zaś trzeba ją brać bardzo ostrożnie i niełatwo uwierzyć, aby to, co jest dowcipem i humorem w takich humanistycznych bezeceń-

Swawolność i rubaszność.

stwach Krzyckiego, w takim *Ogrodzie Fraszek* Wacława Potockiego, osnutych przeważnie na temat najbrudniejszych naturaliów, budzących tyle fizycznego wstrętu, że przy ich czytaniu chciałoby się zamknąć oczy i zatkać nos i uszy; w takich wierszykach »dobrym towarzyszom k'woli«, w apoftegmatach, epigramach, figlikach, facecyach Kochanowskich, Kochowskich i tylu innych — aby to było jedyną solą wesołej konwersacyi szlacheckiej.

Wstydliwość słowa a druku.

Literatura zawsze zuchwalsza bywa od konwersacyi; słowo mówione daleko jest wstydliwsze od drukowanego. Mimo całej rubaszności, jaka cechowała »dobre myśli« staroszlacheckie, mimo grubego jeszcze obyczaju, jaki się przebijał na weselach, ochotach, zjazdach tłumniejszych, trzeba przecież wierzyć w te »wdzięczne rozmowy i one poczciwe żarty, że więc, jak ono powiadają, i gęba się dobrze nie skrzywi od śmiechu«, o których wiemy od Reja; trzeba wierzyć, że nie tak rzadką

bywała owa sztuka rozmowy, która według Górnickiego polegała na tem, aby »uczciwie i z wdzięcznością podług czasu i miejsca zabawić każdego i wiedzieć, co z kim mówić«.

Z wszystkiego jednak, co nam mówi obyczaj staropolski, badany na podstawie rozmaitego rodzaju źródeł, wynika, że w pożyciu towarzyskiem, w rozmowach i pogadankach, przeważał głównie moment narracyjny, że opowieść a nie konwersacya bawiła grona przyjacielskie i skracała wieczory przy kominie, bo też w ogóle dużo jest epiki w dawnem życiu szlacheckiem. Ci Polacy, których Górnicki w swoim *Dworzaninie* przytacza imiennie jako wzór talentów towarzyskich, to przedewszystkiem ludzie, co dobrze opowiadać umieją. Hetmana Tarnowskiego z »słodkiej jego powieści każdemu miło słuchać było«; Gabryel Grabowiecki doskonale »pokazywał cudze obyczaje«, umiał naśladować zabawne figury, np. Niemca mówiącego po polsku — sztuka, która tak samo jak talent opowieści polega na dobrej obserwacyi; Bojanowski »powieści prawdziwych, trefnych, tak wiele w Polsce nasiał, iż tego nie mała księga być by mogła«, a do najmilszych towarzyszy zalicza Górnicki ludzi, »którym to bardzo przystoi, że umieją to, co widzieli albo słyszeli, albo się im samym przydało kiedy, tak foremnie to przełożyć, że z ich słów zda się tym, co słuchają, jakoby sami na to teraz patrzyli«. Gdybyśmy i bezpośrednich nie mieli wskazówek, wystarczyłyby inne pośrednie, aby stwierdzić, że talent narracyjny przewyższał inne zalety towarzyskie w ojczyźnie niezrównanego Paska i to nietylko w jego czasach. Pamiętnikarskie urywki, dyaryusze, listy, jakich się nam dużo zachowało

Moment narracyjny.

Talent epiczny.

Pośrednie wskazówki.

i w rękopisie i w druku, świadczą o tem niejednokrotnie, jakkolwiek zawsze więcej budzą ciekawości i podniecanych przez nią domysłów, aniżeli dać mogą wyraźnych szczegółów. I nie może być inaczej, skoro nie mamy w literaturze XVI i XVII wieku dwóch najważniejszych do poznania konwersacyi źródeł: komedyi i powieści, osnutych na tle współczesnego własnego życia. Wszelkie zaś inne źródła mają się tak do rzeczy, jak scenaryusz do komedyi lub libretto do opery, które nie dają wyobrażenia o dyalogu i muzyce. Takich librettów, że już pozostaniemy przy tem porównaniu, nie brak nam w listach prywatnych i w literaturze pamiętnikowej, ale zamiast pełnej towarzyskiej sceny dają nam one tylko temat, na który, i okazyę, przy której się rozegrała. W memoryale Albrechta Radziwiłła, w autobiografji Jerzego Ossolińskiego i t. p. spotykamy niejeden taki scenaryusz z towarzyskiego staropolskiego życia, a warto przytoczyć tu osobno jako próbki dwa wyborne listy, jeden hetmana Chodkiewicza, pisany do żony z opowieścią zjechania się z królem Zygmuntem III w r. 1611 pod Tołoczynem na Litwie, niezrównany i pełen barwy obrazek temperamentów i obyczajów polskich; drugi Janusza Radziwiłła z r. 1637, pisany do ojca z żywą i dramatyczną opowieścią jego zabiegów o rękę panny Katarzyny Potockiej i zabawnej intrygi jego stryja Albrechta, który przyrzekłszy synowcowi pomoc w pozyskaniu panny, sam się o nią oświadcza, a przed zdumionym i oburzonym tem się składa, »żem ja szczerze tę sprawę promowował, ale dzisiejszej nocy Najświętsza Panna kazała mnie samemu tę pannę pojąć«, Z licznych innych przykładów ten

Niedostateczność źródeł.

Scenaryusze staropolskiego życia.

właśnie godny przytoczenia, bo list ten księcia Janusza (ogłoszony w jego biografji przez Kotłubaja) nietylko jest dowodem talentu opowiadania ale zarazem bardzo charakterystycznym obrazkiem życia dworskiego i magnackiego tych czasów.

Ale mówić o salonie polskim w XVI i XVII wieku, tak jak n. p. mówi o nim cytowany już wydawca aktów Rzeczypospolitej Babińskiej, który w niej widzi »salon obywatelski z takiem samem dla nas znaczeniem jak salony towarzyskie z czasów odrodzenia we Włoszech« — mówić o salonie polskim w tej porze nie można. Dopiero na schyłku XVIII wieku mamy salon, ale jest to salon w P o l s c e a nie salon polski. Życie salonowe z czasów Stanisława Augusta nie wiąże się z życiem współczesnem polskiem, nie ma też znamion prawidłowej ewolucyi towarzyskiej. Bez przeszłości i bez jutra, »koniec bez początku«, zupełnie oderwane od narodowego obyczaju, ujęte w najciaśniejsze granice, bo obejmujące tylko najwyższą warstwę a i tę tylko częściowo, a rozgrywające się na ciasnej widowni, bo tylko w stolicy, jest ono sztucznym kwiatem z wonią paryzkiej perfumy. Schyłkowa imitacya schyłkowego świata, tego *ancien regime* Francyi, który już stał pod szafotem, *rococo* warszawskie, bo o polskiem mówić się nie da, jest samobójczą rezygnacyą z polskości. Życie warszawskie tego czasu, znane aż do przesytu z pamiętników, opisów i powieści, nie stworzyło salonu polskiego, przeciwnie: zabiło go w zawiązku, zrobiło go niemożliwym na długie czasy, bo wyparło z niego język ojczysty. Był to pożyczany szych ogłady i kultury, maska redutowa, pod którą zginęło obyczajowe oblicze pol-

Salon polski.

Salon XVIII w.

Rococo warszawskie.

skie, i śmiało powtórzyć można za Krasickim, że był to zbytkowny polor

> co się tylko czczym pozorem chlubił,
> Okrasił nas powierzchnie, a w istocie zgubił.

Grzeczność.

Mówiąc o towarzyskich stosunkach w dawnej Polsce nie można pominąć reguł grzeczności. Miała ona swoje całkiem rodzime formułki, swój styl na wskróś odrębny, i rzec można, że ze wszystkich stron obyczajowych ta głównie wyrobiła się oryginalnie, z szczerego smaku polskiego, i nie wzięła nic albo bardzo mało z cudzoziemskiego obyczaju. Tłumaczy się to naturalną i ciągle żywą relacyą, jaka zachodziła między kodeksem grzeczności a tym właśnie społecznym porządkiem rzeczy, przy którym szlachta najkonserwatywniej trwała, w którym nie znała mody i nie cierpiała nowatorstwa.

Jej narodowy charakter.

Republikański ustrój państwa, wprawdzie z królem i dworem, ale ten król *primus inter pares,* bez władzy absolutnej, a ten dwór jego bez czołobitnej etykiety, do udzielności niemal posunięta niezawisłość jednostki, i co za nią poszło: szeroko rozwinięty indywidualizm, idealna równość z tytułu urodzenia a rzeczywista wobec prawa, zupełnie odmienna natura hierarchji urzędowej i społecznej — wszystko to wpływało na formy towarzyskie i grzecznościowe. Już to samo, że grzeczność nie była dyktowana obcą impozycyą, poczuciem osobistej i prawnej niższości lub innemi zniewalającemi względami, jakich tyle było za granicą, już to samo sprawiało, że nie potrzebowała się liczyć z tak wielkiemi dystansami osób i stanowisk, jak n. p. w Niemczech, i zachować

mogła łatwiej cechę szczerego obyczaju, dobrego wychowania i wrodzonej uprzejmości serca.

Było też tak istotnie wśród najlepszej części szlacheckiego świata, tylko że ta najlepsza część nie była niestety najliczniejsza. Z biegiem czasu, a zwłaszcza w ciągu XVII wieku, wielka szlachta przybiera uroszczenia dynastów, mniejsza przywyka do serwilizmu; z drugiej zaś strony anarchiczne stosunki wytwarzają pewne zdziczenie obyczajów, wśród których obłudna pokora idzie w parze z grubem zuchwalstwem. Mimo to wszystko nie ginie przecież dobra tradycya grzeczności polskiego stylu. Uderza ona odrazu cudzoziemców podróżujących po Polsce, którzy oddają szczere pochwały jej powadze i godności, i podnoszą jej całkiem odrębną »sarmacką gracyę«. Formułki tej grzeczności odtworzyć sobie można po części przynajmniej z pamiętników, z przygodnich oracyj i listów, ale giest i ruch, jaki towarzyszył polskiej »polityce«, bo jak już wiemy, tak nazywano maniery grzeczności, cała ta malownicza mimika »czystego, gładkiego pachołka«, która przedewszystkiem w całej swojej harmonji i okrągłości rozwijała się w tańcu polskim, w »chwytanem kole«, w »gonionym«, zginęła nam bezpowrotnie. Jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku uderzał cudzoziemców malowniczy i poważny ukłon polski. Niektórym wprawdzie, jak n. p. Schulzowi, wydawał się on zbyt nizki i czołobitny, ale spostrzeżenie to polega na nieznajomości obyczaju, który nakazywał młodzieży najgłębszą cześć dla rodziców i dla sędziwości wieku. Syn zginał przed matką jedno kolano, córka oboje — »w którym dzieje się sposobie, że na jedno kolano syn, córka

Uroszczenia dynastów.

Sarmacka gracya.

Ukłon polski.

na obie« — mówi o tem Kochowski. Ukłon polski rzeczywiście był nizki a towarzyszył mu giest prawej ręki, niejako markujący pochylenie się ku kolanom, ale w kodeksie dobrego wychowania była to tylko figura grzeczności, dalekiej od tego, co dziś nazywamy serwilizmem. To samo da się powiedzieć o formułkach powitania, używanych między szlachtą, jak n. p. »Czołem!« albo »Służba!« Bywały wszakże i takie osobliwe formuły i giesty uszanowania, zwłaszcza u dworzan wielkopańskich, które i nas bliższych obyczajom własnej przeszłości tak samo by dziś zapewne zdziwiły, jak zdziwiły Vanozzego, który opowiada, że gdy wychodził od Jana Zamoyskiego, znaczna liczba dworzan kanclerskich tworzyła szpaler po obu stronach i wszyscy mu się kłaniali »od gęby, całując się w rękę«. »I ja też — powiada Włoch w swoim dyaryuszu — wzajemnie kłaniałem się im od gęby, całując się w rękę«.

Polskie maniery.

Nie dość było posiadać polor umysłowy, trzeba było posiadać także koniecznie maniery polskiej grzeczności, inaczej było się, jak mawiano: »po łacinie mądrym, a po polsku błaznem«. Czuli to także wielcy panowie i to nawet jeszcze w połowie XVII wieku; młodzi Sobiescy dla europejskiego poloru wyjeżdżają zagranicę, ale jak się mają zachować z starszymi i znaczniejszymi, jak się mają kłaniać i tańcować, tego się uczą w Krakowie. Ojciec ich, wojewoda bełzki Jakób, szczególną do tego przywiązuje wagę, aby »po polsku byli grzecznymi«. Mają się strzedz pychy, ale trzeba

»Posiadanie«.

także, aby miejsce swoje wiedzieli i »posiadać się nie dawali nigdzie«. W gospodzie swojej niech każdemu, czy to panięciu czy szlachcicowi, który

ich nawiedzać będzie, »prawą rękę i pierwsze miejsce dadzą, przeciwko każdemu aż do drzwi niechaj wychodzą i każdego więc aż do drzwi niechaj wyprowadzą«. Nie dać się »posiadać« znaczyło nie dać się traktować z góry i z lekceważeniem w towarzyskich stosunkach, nie uchybiać nikomu ale nie dać też uchybić sobie. Strzedz poczucia własnej osobistej godności, strzedz swego »uczciwego«, było kardynalnym obowiązkiem. Nie znano jeszcze albo raczej nie używano jeszcze słowa »honor« w dzisiejszem naszem znaczeniu — to co dziś obejmujemy tem słowem, mieściło się w »uczciwem«, a było to uczucie bardzo tkliwe, i pięknie się o tem wyraża jeden z magnatów polskich z połowy XVII wieku, podnosząc z naciskiem, »jako pieszczona rzecz jest uczciwe«.

»Uczciwe«.

Szlachta polska, a zwłaszcza jej wyższa i dostojniejsza warstwa, przywiązywała zawsze wielką wagę do swoich tradycyjnych form grzeczności i gorszyła się bardzo ich brakiem zagranicą. Jerzy Ossoliński w dyaryuszu swojej podróży do Ratysbony z r. 1636 powiada, że w Czechach tylko hrabiego Wierbna, tylko jego »samego jednego między wszystkimi Czechami znalazł człowieka ludzkiego«, to znaczy, że między wszystką szlachtą czeską, z którą się zetknął w czasie swojej podróży, ten jeden tylko odpowiadał polskim wyobrażeniom o towarzyskiej grzeczności i łatwości. Ten sam Ossoliński zapisuje w dzienniku swoim z satysfakcyą, że w Ratysbonie »z podziwieniem dworu tutecznego grube *et inhospitales animos* Niemców coraz do lepszej przywiódł ludzkości«. Wszystkie bowiem zalety towarzyskie: uprzejmość, wesołość, nieusuwanie się od ochoty

Wyższość grzeczności polskiej.

»Ludzkość« jako termin ogłady towarzyskiej.

sąsiedzkiej i przyjacielskiej, a przedewszystkiem gościnność, obejmowano w dawnej Polsce słowem »ludzkość«. Jak to wszakże często bywa, że jedno i to samo słowo, które oznaczało pierwotnie cnotę, służy za nazwę i wadzie, jakby dla uwydatnienia pewnej wspólności źródła jednej i drugiej — »ludzkość« służy później za nazwę hulaszczości i wybrykom życia. Szlachcic Suchorabski, postać z drugiej połowy XVII wieku, umierając przedwcześnie, narzeka, że »przyszedł na ten kres śmiertelnej choroby z wielu prac i kłopotów, a po części z nieszczęsnej ludzkości polskiej, z niepomiernego życia swego«. Krasicki jeszcze używa słowa ludzkość jako synonimu grzeczności i gościnności.

»Ludzkość« w ujemnem znaczeniu.

Porywczość i rubaszność.

Jednego wszakże brakło w życiu towarzyskiem, choć go zapewne nie brakło w kodeksie grzeczności, a to panowania nad sobą. Cnoty tej mało było w życiu staroszlacheckiem. Obok tej całej »ludzkości«, obok hojnie rozwiniętych ceremonialnych form w obyczaju i języku towarzyskim, spotykamy niepohamowaną porywczość, nagłe folgowanie pierwszemu uniesieniu, grubą rubaszność słowa. Krótka droga od komplimentu do przymówki, jeszcze krótsza od przymówki do szabli. Wada to nietylko średniej i małej szlachty, niewolna od niej wyższa i najwyższa. Na sejmie r. 1582 przychodzi do błahej sprzeczki między dwoma karmazynami: Jaroszem Gostomskim i Mikołajem Tomickim, i oto jakiemi się to kończy słowami:

— »Łżesz jak pies! — woła Gostomski. — Nie na maszkarach ani we Włoszech, ale na dworzech

panów swych i służbach żołnierskich czasy ja moje trawił!«

A Tomicki na to:

— »Mnie nigdy o rzeczy sromotne nie przymawiano, karteluszów na mnie nie wydawano ani mi *publice* nie zadawano!«

Po tych słowach przeciwnicy gotowi już byli rzucić się z szablami na siebie, gdyby nie pojednawcza interwencya posłów.

Znana jest korespondencya między wojewodą podolskim Hieronimem Jazłowieckim a starostą zygwulskim Stanisławem Stadnickim, w której obaj ci magnaci obrzucają się gradem obelg, a która byłaby się niewątpliwie skończyła na krwawej wojnie prywatnej, gdyby nie nagła śmierć jednego z przeciwników. Jako wielce charakterystyczny obrazek czasów i ludzi i jako przykład, malujący lepiej, niżby to uwagi ogólnej treści uczynić mogły, jedną z ujemnych stron towarzyskiego pożycia, przytoczyć nie zawadzi zajścia między kniaziem Prońskim a starostą wyszogrodzkim Starzechowskim z roku 1580, które nam opowiada w swoim dyaryuszu kasztelan gnieźnieński Jan Zborowski. Zajście to tem godniejsze uwagi, że łączy się z niem medyacya obywatelska i rodzaj procedury w sprawach honorowych. Starzechowski wyraził się we Lwowie »niecudnie« o Prońskim, a mianowicie nazwał go »złej matki synem« przed jego własną służbą. Podczas kampanji moskiewskiej znaleźli się obaj równocześnie w obozie pod Wieliżem, z czego korzystając kniaź Proński »uczynił zaraz konwokacyę na powinne swoje« t. j. zwołał krewnych i przyjaciół, a mianowicie wszystkich panów litewskich obe-

Przykład akcyi o obelgę.

Medyacya obywatelska.

cnych w wojsku. Uchwalono udać się zaraz gromadnie do Starzechowskiego i zapytać go, czyli się »zna do tego«, co miał na Prońskiego powiedzieć przed jego służbą. Dla uroczystszej formalności zapytanie napisane było na karcie, a kasztelan miński Chlebowicz odczytał je Starzechowskiemu, jak następuje:

— »Panie Starzechowski! Powinny nasz kniaź Proński posłał nas do ciebie, abyśmy się imieniem jego pytali, jakoż i pytamy, znaszli się do tych słów albo jeśliże je twierdzisz, któreś mówił uszczypliwie przed wielą ludzi we Lwowie, a tak od ciebie responsu czekamy«.

Odpowiedział Starzechowski:

— »Nie wiem, co za słowa; mianujcie mi je«.

Odpowiedział pan Miński:

— »Każdy poczciwy ma pamiętać każde swe słowa, które kiedy mówił, a zwłaszcza uszczypliwe, które się dotykają poczciwego człowieka«.

Rzekł na to Starzechowski:

— »Nierazem bywał we Lwowie, gdziem zawsze mawiał; swych słów wszystkich pamiętać nie mogę; lecz gdy mi je przypomniecie, tedy w tył słowa moje nie pójdą«.

Przywołano świadków lwowskich, którzy potwierdzili obelgę. Zatem rzekł Starzechowski:

— »Kto komu łaje, za to mu nie dziękują ale odłajiwają. Proński, mam tę pewną wiadomość, nie odpowiedziawszy mi, jako się dobremu godziło, posłał na gardło moje pięćdziesiąt koni i sześć sług szlachciców, potem zasię przed niektórymi mówił, że Starzechowskiego, owego łotra, pijanicę, niecnotę, zgnoję w wieży; co ja wiedząc, ujrzawszy sługi jego we Lwowie, powiedziałem

im: Mam tę sprawę, iż wasz kniaź na mię słał, nie odpowiedziawszy mi, i łajał mi tam przed dobrymi ludźmi, co jeśliże uczynił, tedy to jako złej matki syn uczynił«.

Po takiej odpowiedzi uradzili wysłannicy Prońskiego posłać Starzechowskiemu kartelusz, kiedy jednak kilka paniąt litewskich przyniosło mu ten kartelusz, Starzechowski wziąć go nie chciał, ale go czytać kazał samymże wysłannikom. Kartelusz opiewał jak następuje:

»Starzechowski, jeśliże to twierdzisz na mnie, coś mówił we Lwowie przed wielu ludzi, żebym miał być złej matki synem, tedy to na mnie i na poczciwą matkę moją łżesz jako pies, czego nigdy prawdą nie dokażesz, i bądź ty, bądź kto inny, ktokolwiek to twierdzi, łże jako pies i niecnota«.

Na to rzekł Starzechowski:

— »I on łże sam i wy na mnie łżecie, żebym był niecnotą«.

A wysłannicy Prońskiego na to:

— »I tyś niecnota, co się na nas, poczciwe ludzie, targasz, nie mając nic z nami, gdyż każdy przyjaciela ma, co mu służy«.

Zdawałoby się, że po takim obrocie rzeczy musiało przyjść do pojedynku na śmierć lub życie — tymczasem skończyło się na niczem. »Byli wszyscy ludzie pewni, że miało to być *duellum* — kończy swoją opowieść Zborowski — jakoż wiemy to, żeby Król Jegomość był tego dopuścił«. Zajście to, które rozgrywało się między »paniętami« i to paniętami rycerskiego zawołania a w dodatku jeszcze w obozie, a więc na miejscu najbardziej sprzyjającem krwawej satysfakcyi, po-

twierdza spostrzeżenie, że już w tej porze pojedynki wyszły były z obyczaju szlacheckiego

Rzadkość pojedynków.

i należały do rzadkości. Kilkadziesiąt lat przedtem, za panowania króla Żygmunta I, bywały jednak częste, świadczy nam o tem między innymi Górnicki, który nawet ubolewa, że ustały. »Ba i *duella* — powiada ten pisarz — chociaż ich concilium zakazało, nie wiem, czemu by wrócić nie miały? Bywały za króla Żygmunta Starego i potrzebnie bywały«. Nie zawsze jednak zajścia tego rodzaju, jak Prońskiego z Starzechowskim, mijały w tak niezdecydowany sposób. Najczęściej, skoro raz przyszło do medyacyi przyjaciół, strona

Deprekacye.

uznana winną musiała albo deprekować publicznie, zazwyczaj w kościele, odczytując przeproszenie z karty, zredagowanej przez taki sąd polubowny, albo zasiąść dobrowolnie wieżę z jego

Wyroki polubowne.

wyroku. W aktach sądowych spotykamy bardzo często takie deprekacye, które dla lepszego zadośćuczynienia zazwyczaj obłatowano w grodzie, i poświadczenia, że ten lub ów szlachcic *ex certa concordia, ex amicorum consensu, ex amicabili compositione* odsiedział kilka lub nawet kilkanaście tygodni górnej wieży za zuchwałe naruszenie cudzego honoru.

Równość szlachecka.

Poczucie równości szlacheckiej, jak już nadmieniliśmy, wpływało w znacznej mierze na obyczaj towarzyski i na formuły grzeczności. Równość ta, bezwzględnie pojmywana, była fikcyą; wierzyli w nią tylko bardzo dobroduszni i naiwni, a i ci nie całkiem może szczerze, uznawali ją wielcy panowie platonicznie i z ironią. Ale i fikcye wywierać zwykły wpływ znaczny, zwłaszcza w dziedzinie konwenansów, i na nich to w części opiera

się kodeks towarzyski. Nikt też i nigdy nie śmiał negować otwarcie tej zasady równości, a bywali i magnaci, którzy szczerze i bardzo poważnie wyznawali ją w granicach rozumnych i możliwych, jak np. kasztelan wojnicki Firlej w swoim liście do syna, przebywającego na naukach w Ingolstadzie. Stanisław Orzechowski widzi w niej jak w gwiazdach na niebie dwie proporcye: arytmetyczną i geometryczną. Wszystkie gwiazdy są sobie równe i to jest *proportio arithmetica*, ale jest w gwiazdach także wielka nierówność, bo jedna od drugiej jest jaśniejsza, a przecież »nie kazi gwiazdy drugiej natury«, i to jest *proportio geometrica*. Zbywszy tak subtelnie drażliwość pospolitego szlachcica i odesławszy go do Arystotelesa, uznaje tylko jedną rzeczywistą równość, t. j. wobec prawa, »bo jestem każdemu człowiekowi w Polsce równy wolnością, prawem, herbem, królem i gardłem, bo także za gardło moje sto i dwadzieścia grzywien jako i Tarnowskiego każdego«. Chociaż tedy nie mogło być mowy o równości towarzyskiej, której nigdzie nie było i nie masz, nawet w najbardziej demokratycznych społeczeństwach, to przecież ta fikcyjna równość przebijała zawsze w formułkach grzeczności, istniała przynajmniej w słowie, w symbolu. Takim symbolem był np. tytuł brata, który się należał każdemu szlachcicowi. Szlachcic był zawsze »panem bratem« w tytulaturze listowej; »przyjacielem« pisać się godziło tylko w korespondencyi z nieszlachcicem, np. z mieszczaninem, kupcem. Magnaci to byli wyjątkowi, i to głównie litewscy, którzy w pismach do szlachty pozwalali sobie pośledniejszego tytułu przyjaciela. Znany z bez-

Fikcya i prawda.

Tytuł braterski.

Tytuł przyjacielski.

miernej pychy i megalomanji książe Bogusław Radziwiłł, koniuszy w. lit., nie wiedząc, kto będzie (r. 1658) wybrany marszałkiem trybunału, a mając z tym przyszłym marszałkiem jakąś sprawę do załatwienia, przesyła na ręce swego agenta dwa listy: jeden z braterskim, drugi z przyjacielskim tytułem. »Jeżeli stanie marszałkiem urzędnik koronny albo z domem moim skrewnienie lub przyjaźń mający — opiewa informacya — tedy oddajcie mu ten, co z tytułem braterskim«. Gdyby jednak Radziwiłł trafił był na takiego rezolutnego szlachcica jak np. Jan Chryzostom Pasek, pewnie dostałby był taką samą odprawę, jaka spotkała marszałka Żeromskiego, któremu Pasek odpisuje, że list, w którym go mianują nie bratem ale przyjacielem, pisał pewnie »jakiś manualista, który może być, że przedtem służył komuś za szypra, i pieńkę, klepkę i wanczos do Rygi woził i zamyślił się o tem przy expedycyi listu tego, rozumiejąc, że do kupca pisze«. Żali się poeta Wacław Potocki, że wczoraj jeszcze pisał do kogoś: »mój łaskawy panie« a dziś już »mości bracie«, bo ten ktoś nagle z plebejusza został szlachcicem.

Różnica obu tych tytułów.

Tytulatury polskie.

Ta pretensya do braterskiej równości a tem samem do udziału w wszelkiej władzy, dostojności i świetności Rzptej doskonale się maluje w tytulaturach polskich i ich historyi. Skoro król był tylko *primus inter pares,* skoro państwo było rzeczą wspólną, pospolitą, a cała szlachta rodzoną bracią, tedy każdemu z niej zachciewało się cząstki z tego wszystkiego, nawet z majestatu, i każdy też miał cząstkę bodaj w tytule. Bardzo ciekawa rzecz śledzić, jak tytuły i formuły pol-

Geneza tytułów.

skie biorą swój początek od majestatu a dogasają gdzieś nizko pod słomianą strzechą szlachecką, jak formalnie złażą na dół po szczeblach społecznej drabiny, schodzą od tronu do zagonu, od szczytu do samego dna, przeciekając niejako, że się tak wyrazimy, powoli przez wszystkie warstwy szlacheckiego społeczeństwa aż do najspodniejszej, i tam wreście osiadają parodyą. Pierwotnie król tylko »r a c z y ł być zdrowym«, następnie »raczył« żyć już także senator, wkrótce raczył każdy szlachcic, a dziś my wszyscy raczymy, i tak ten nieśmiertelny Raczył, przeciw któremu jeszcze Górnicki wystąpił w satyrycznej broszurze, stał się pospolitym liczmanem grzeczności. Wielmożność jako tytuł jeszcze w XV wieku miała poniekąd majestatyczne znaczenie, w XVI wieku już zmalała, ale zawsze należała się tylko senatorom, t. j. kasztelanom i wojewodom, szlachcic na urzędzie był »urodzonym«, szlachcic bez urzędu tylko »szlachetnym«; w XVII wieku wielmożnym już jest co drugi, urodzonym każdy posesyonat, szlachetnym tylko na pół schłopiały szlachcic zagonowy. »Wasza Miłość« i »Jego Miłość« była tytułem królewskim, »Wasza Miłość Pan« była szczytowym wyrazem dostojności — z biegiem czasu zmarniały, sponiewierały się i zdeformowały te tytuły: z Waszej Miłości stała się Waszmość, Wasze i Waszeć, Wasza Miłość Pan zeszedł na Waszmość Pana, na Waćpana, a w końcu na pogardliwego Aspana, który się dostawał chudopachołkowi tak samo jak zdarte buty pańskie. Kancelarya królewska w pismach i dekretach do bardzo późnych czasów zachowywała normę wstrzemięźliwej tytulatury; jeszcze w przywileju wy-

»Raczył«.

Wielmożność.

Szlachetny i Urodzony.

Sponiewieranie tytułów.

danym w r. 1660 Janowi Sobieskiemu przez króla Jana Kazimierza na starostwo stryjskie po Krzysztofie Koniecpolskim, figuruje Sobieski, już wówczas starosta jaworowski i chorąży kor., tylko jako Urodzony, Koniecpolski, wojewoda bełzki, a więc senator i *procer Regni*, tylko jako Wielmożny. W wieku XVIII już nikt, kto się szanuje, nie chce być tylko urodzonym i tylko wielmożnym; każdy podsędek już chce być jaśnie wielmożnym.

W takiej to formie i jakości dostawała się ogółowi cząstka majestatu Rzptej, zlatywał promyczek korony na czapkę szlachecką. Podobnej też wartości dostawał się wszystkiej szlachcie udział w dygnitarstwach, bo nie mówiąc już o wojewodach i kasztelanach *in partibus infidelium*, w ziemiach, które już od wieków przestały należeć do Polski, były urzędy czysto tytularne powiatowe, urzędy bez powagi, bez władzy, bez płacy i bez obowiązku, któremi hojnie obdzielano szlachtę. Takimi urzędnikami byli stolnik, podczaszy, podstoli, cześnik, łowczy, miecznik, skarbnik — tytuły bardzo łatwe do uproszenia, łatwiejsze jeszcze do kupienia, które w ostatnich latach Rzptej tak spadły w cenie, że niemi już p. starosta piaseczyński i kamerdyner królewski Ryx nie raczył handlować, poprzestając na trafice orderów. »Ileż to przywiozłem z Warszawy przywilejów dla kolegów moich do Lublina — chwali się Duklan Ochocki w znanych swoich pamiętnikach — na starostwa, podkomorstwa, chorąstwa, cześnikowstwa, skarbnikowstwa, tanio kosztujące, bo po 15 i 10 dukatów, ale zato czysto-tytularne tylko«. Niegrzecznie było nazywać szlachcica po gołem nazwisku, jeśli miał urząd; trzeba było koniecznie

Dygnitarstwa drążkowe.

Tanie tytuły.

nazywać go po urzędzie, i zaprawdę podziwienia godną musiała być pamięć szlachcica statysty i bywalca, który mógł po urzędzie i terrytoryum nazwać każdego z tych stukilkudziesięciu wojewodów i kasztelanów mniejszych i większych starej i nowej kreacyi, a cóż dopiero starostów!

II.

Gościnność.

Kwiatem ale i walną próbą cnót towarzyskich a już głównie cierpliwości była gościnność, ta historyczna gościnność staroszlachecka, rozsławiona po całym świecie przez cudzoziemców, którzy w jakiejkolwiek porze podróżowali po Polsce — rozkosz ale i klątwa szlachcica, bo jak z jednej strony była przyjemnością wiejskiego życia, tak znowu z drugiej źródłem niepokoju, utraty, awantury. »Zabić, kto wymyślił być gospodarzem w domu, lepiej zawsze gościem!« — woła Opaliński w swoich satyrach. Nie bez racyi mawiano, że szlachcic polski jakby na karczmie siedział, i nie bez racyi też powstało przysłowie: Gość nie w porę, gorszy od Tatarzyna. Przy ciągłym ruchu szlachty, która lubiła wybierać się w najdalsze strony kraju, podróżować rzemiennym dyszlem — zauważał to w r. 1565 towarzysz kardynała Commendoniego, Ruggieri, że szlachta w ustawicznych przejażdżkach do przyjaciół, do krewnych, o 100 mil czasem odległości — przy fatalnych drogach i mostach, przy rzadkości miast, przy braku gospód po drodze, gość nie w porę, gość nieproszony i nieoczekiwany a co więcej, całkiem nieznany — a więc niekiedy zaprawdę gorszy

od Tatarzyna — bywał bardzo częsty i trzeba go było podejmywać z całą nieraz bardzo liczną karawaną służby i koni. Znana była w całej Polsce anegdota o szlachcicu Sobieskim, którego nawiedził znaczny gość z bardzo licznym orszakiem a z wyjazdem się nie kwapił, aż nareszcie utrapiony szlachcic czwartego dnia rano wstawszy, kazawszy sobie »skórnie przynieść, idzie do owego pana, żegnać go. Pan pyta, dokądby jechał, zwłaszcza gościa mając w domu. Szlachcic na to: »Miłościwy Panie, ponieważ odemnie z tą hordą nie chcecie jechać, pojadę ja od was!« Pożądane natomiast i zawsze wdzięcznie witane bywało grono sąsiadów, przyjaciół i krewnych, a wtedy rozbrzmiewały gościnne ściany wesołym gwarem, dworek rzęsiście oświetlony jaśniał wśród nocy jak latarnia, a w kuchni wrzało i kipiało:

Bo kuchtów rota koła ognia burzy,
Skąd się dym jakby z Etny kurzy,
Ognie kominem widać, jakby bez mała
Ludna tam Troja gorzała.

»Gość w dom, Bóg w dom« — cóż lepiej niż to przysłowie oddać może całą szerokość, serdeczność, powiedzielibyśmy entuzyastyczność staropolskiej gościnności? Gość każdy, chociażby daleki a nawet obcy domowi, pewien był najżyczliwszego przyjęcia — cóż dopiero gość, któremu gospodarz szczególnie był rad, gość sprzyjaźniony, wesoły, a więc podwójnie utęskniony! Taki gość był bożyszczem w szlacheckim domu. Dwór cały, piwnica, spichlerz, spiżarnia, apteczka, skarbiec, kieszeń i — dusza gospodarza otwierały się przed nim szeroko. Niebezpiecznie mu było pochwalić coś bardzo

w domu: chart, kubek, szabla, rządzik, konik nawet, który mu się szczególnie spodobał, dostawał mu się zaraz darem, a przyjąć musiał, koniecznie musiał, bo gospodarz gotów był wziąć odmowę za pychę, za obrazę, za wzgardę przyjaźni, gotów był pogniewać się, powadzić, a w końcu nawet i porąbać. »Darować kogoś koniem«, »dać szablę na niezapamiętanie«, to były powszednie niemal rzeczy. Kiedy wojewoda miński Zawisza w podróży do Krakowa zawadził gościem o Cisów Jana Chryzostoma Paska, rozradowany Litwinem gospodarz darował mu, co miał tylko najprzedniejszego wśród swoich sprzętów. »Byłem w Cisowie — opowiada Zawisza — u Jegomości pana Paska, człowieka haniebnie poczciwego, który jako mi rad był, niepodobna wypisać. Przez trzy dni nie znaliśmy, co dzień, co noc; piliśmy i hulali. Dam miał siła u siebie *et quidem* pięknych. Darował mi szkatułę kieleckiej roboty, mosiądzem nabijaną piękną, darował gotowalnię tejże roboty, darował stół marmurowy nakładany, darował puzdro szlifowane *et caetera et caetera*«. Ten nierównany nasz, »haniebnie poczciwy« Pasek, o którym Zawisza wyraża się dalej, że »to w domu szlachcic porządny bardzo, wesoły i przystojny«, i w tym szczególe okazuje się arcytypem swojej warstwy społecznej, skrystalizowanym szlachcicem polskim.

Tańce. Bawiono się po domach tem samem choć nie tak samo jak i dzisiaj: rozmowa, taniec, muzyka, gra i bankiet składały się na program towarzyski. O konwersacyi była już mowa, o tańcach nie posiadamy tylu szczegółów, aby mieć o nich malownicze wyobrażenie. Jak przy ubiorach mamy tylko gołe nazwy bez informacyi o rzeczy. »Tam trefne

pląsy z ukłony, tam cenar, tam i goniony« — czytamy u Kochanowskiego. O tymże »gonionym« i o »chwytanem kole« wspomina Wacław Potocki; o galardzie dowiadujemy się od Opalińskiego, o »wyrwanym« i »wielkim« od Paska, a Miaskowski rymuje:

W tym to po parze panienki wszedłszy się ukłonią,
I wiodą rej, wziąwszy jedna drugą dłonią,
Aż wywabią wesołe z za stołu młodzieńce,
A ci z niemi tańcują chędogo o wieńce.

Polones.

Miaskowski ma tu zapewne ten sam taniec na myśli, który opisuje nam Laboureur, historyograf podróży poślubionej Władysławowi IV Maryi Ludwiki. »*Je n'ai vu jamais rien de plus grave, de plus doux, ni de plus respectueux*«, powiada o nim ten Francuz, i tak go opisuje: »Tańcowali w okrąg; zwykle dwie kobiety były razem, potem dwaj mężczyźni i tak dalej. Pierwsza część polegała na pokłonach *(de reverences)*, potem na kroczeniu do miary i taktu muzyki *(une cadence bien reglée)*. Czasem dwie damy, które były na czele, nagle i znienacka środkiem spieszniej się wracały, niby chcąc wymknąć się dwom kawalerom postępującym za niemi«. Jest to jedna z figur do dzisiaj używanych w polonesie, tańcu *par excellence* polskim, który nabył prawa obywatelstwa w całej Europie, a którym zachwyca się jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku Liwończyk Schultz, przyznając, że wdziękowi i powadze tego tańca żaden inny europejski taniec nie dorówna, tak jak żaden cudzoziemiec nie zdoła przyswoić sobie tej gracyi, jaką rozwijają w nim Polacy. Pod koniec XVIII wieku tańczono już polonesa w salonach niemieckich, ale

Jego europejska sława.

autor bezimienny, piszący około r. 1758, sam Niemiec, powiada, że polones tańczony przez Niemców tak się ma do polonesa tańczonego przez Polaków, jak zająkliwa sylabizacya żaczka do skończonej deklamacyi artysty. Najstarszą oryginalną nutą polonesa, według poświadczonej przez Niemcewicza tradycyi, miała być śpiewana do dziś dnia kolenda »W żłobie leży«. Według tej nuty, na miarę polskiego tańca ułożonej, lubił podobno tańcować król Władysław IV. Skocznych i wirowych tańców nie lubiono a może i nie znano po domach szlacheckich; informator włoski nuncyusza Marescotti, który bawił w Polsce w r. 1668, powiada, że taniec polski jest raczej rytmicznem, posuwistem kroczeniem do taktu muzyki aniżeli na prawdę tańcem *(può dirsi piutosto passeggio che ballo)* i podaje o nim szczegóły, po których poznajemy nasz polones. Poza tym polskim rodowicie tańcem, poza »chwytanem kołem« i poza »gonionym«, o których przecież nie wiemy nic bliższego, i poza tańcami ludowemi, z których tylko bardzo mało i to bardzo późno przedostało się do warstw wyższych, nie spotykamy w Polsce XVI i XVII wieku tańców oryginalnie narodowych. Wspomniane powyżej cenar (niemiecki *Zeuner*) i galarda (francuska *gaillarde)* są obcego pochodzenia, a jak wcześnie — bo już w średniowieczu — przyswajano sobie w Polsce cudzoziemskie tańce, tego zachowało się świadectwo w języku, tem najstarożytniejszem źródle obyczajowej historyi — że tu przytoczymy owe »reje« (staroniemieckie *Reie, Reige*) i »firleje« (francuskie *virlet,* niemieckie *virlei),* z których pierwsze żyją dotąd w wyrażeniu: »wodzić rej«, drugie w tak mylnie przez długi czas rozumianem a nawet do królowej Bony

Najstarsza nuta polonesa.

Tańce skoczne.

»Chwytane Koło« i »Goniony«.

Cenar i galarda.

Reje firleje.

i do rodziny Firlejów odnoszonem przysłowiu: »Stroi baba firleje«. Tańce zagraniczne, nieskromne i bardzo skoczne, długo przecież nie licowały z powagą staroszlachecką; kasztelan gnieźnieński Sielski obruszył się i zgorszył bardzo w Paryżu widokiem tańcującego w podskokach księcia Kondeusza, nie pojmując, jak książę i dostojnik »lekkiemi ruchami wystawiać się może na pośmiewisko«. Wykluczone było również z tańców polskich wszelkie poufniejsze zbliżenie się tancerza do tanecznicy, tak zwyczajne zagranicą; w liście Zofii Łaskiej czytamy o Polkach, które towarzyszyły królowej Katarzynie po jej wyjeździe z Polski, że w Lincu »tem się cesarzowej najwięcej podobały, iż kiedy w taniec szły, nie dały się obłapiać ani całować; i Niemcom się to podobało; mówili, iż to cnotliwa nacya polska«. Skromność tańców.

Z innych szlachetniejszych źródeł towarzyskiej ochoty najczęściej spotykamy muzykę. Nie mówiąc już o wielkopańskich zamkach, w których jak wiemy, utrzymywano liczne orkiestry, w każdym niemal zamożnym domu szlacheckim było po kilku grajków, skrzypków, spiewaków; w dostatniejszych inwentarzach ruchomości znajdujemy regały, lutnie, klawikordy i inne instrumenta; ubogi szlachetka gościł przyjaciół przy dudach. »Lutnia, wódz tańców i pieśni uczonych, lutnia osłoda myśli utrapionych«, jak ją opiewa Kochanowski, była w XVI i XVII wieku najbardziej ulubionym instrumentem domowym; umieć grać na lutni było jednym z nieodzownych warunków nadobnego wychowania kobiety, ale i w program męzkiej edukacyi wchodziła często muzyka: »kawalkacya, lutnia i skoczek« zajmywały wiele czasu bawiącemu w Paryżu Jerzemu Osso- Muzyka. Lutnia.

lińskiemu. Słynęły niektóre panie polskie z mistrzowskiej gry na lutni, jak np. Jadwiga Tarłówna, późniejsza wojewodzina ruska Sieniawska, o której spiewa Sęp Szarzyński:

> I zdumiewa się Helikon uczony,
> Gdy lilijaną ręką bijesz w strony.

Gry.

Z gier były w używaniu obok szachów, warcab, młynka, głównie kości i karty; grywano w turmę, tryszaka, pasza, rusza, prymiera, trynka, pancerolę, flusa, gryszforta, a w znacznie późniejszych czasach w niewinnego drużbarta *(Drosselbart)*, maryasza, w chapankę lub kupca, za którym tak żałuje Pan Podstoli Krasickiego, ale też i w niebezpiecznie hazardownego kwindecza, w trysetę *(tresette)* i faraona. Nie obywało się w Polsce bez nałogu kosterstwa, nie spotykamy przecież w literaturze XVI i XVII wieku, nawet satyrycznej, tyle utyskiwania na gry hazardowne, co na inne zbytki i szaleństwa. Nie spotykamy śladów, aby już w tym czasie rujnowano się hazardem; dopiero od Francuzów dworu królowej Maryi Kazimiery nauczono się grać u nas w *trente et quarante*, ale kiedy w tej grze książę Karol Stanisław Radziwiłł wygrał na pokojach królewskich 14.000 talarów bitych od brata królowej hr. de Maligny, był to wypadek tak niesłychany, że cała szlachecka Polska bawiła się nim i gorszyła. Jeszcze za czasów saskich inny Radziwiłł, Michał, przegrawszy w Dreznie 1000 talarów w faraona, tak się tem zmartwił i przeraził, że przysiągł uroczyście, iż się kart nigdy nie dotknie w życiu. Jakżeż mało znaczyła by ta suma w szulerskim obrocie XVIII wieku, jeżeli prawda, że Szczęsny Potocki

Gry hazardowe.

Szulerstwo.

przegrać miał do osławionego Chadźkiewicza dwa miliony złotych! Namiętność szulerska owładnęła też pewne sfery towarzyskie dopiero z końcem XVIII wieku, a miała swe ogniska nie po wiejskich dworach, ale po wielkich miastach, głównie w stolicy, grasując na prowincyi tylko w czasach kontraktów kijowskich, lwowskich, dubieńskich i t. d. i wtedy to dopiero wyrobiły się owe typy szulerskie, jak kanonik Sierakowski, jak biskup wileński Massalski, jak Kajetan Miączyński, generał Adam Poniński, Chadźkiewicz i t. d., których całą galeryę dał nam na podstawie bardzo jeszcze świeżych tradycyj Henryk Rzewuski w swoim *Teofraście Polskim*. **Typy kostorskie.**

Nadzwyczajne zdarzenia lub uroczyste okazye w życiu rodzinnem, czy to wesołe czy żałobne, obchód św. patrona gospodarza, chrzciny, wesela i pogrzeby połączone bywały z bardzo licznemi zjazdami. Jeżeli to były dnie radośne, urządzano t. zw. dobre myśli, festyny, tryumfy i bankiety. Wesela trwały tygodniami a były jednym szeregiem ceremonij i hucznych owacyj. Od dziewosłębów i zrękowin począwszy aż do uroczystego aktu ślubnego i następujących po nim poprawin i przenosin, wszystko odbywało się z odpowiednią stanowi i fortunie pompą i prozopopeją przy zachowaniu tradycyjnego obyczaju. Przy wychylaniu »pełnych«, t. j. dzisiejszych naszych toastów, przy oddawaniu wieńca, panny, marcypanów i upominków ślubnych, między któremi jedno z pierwszych miejsc zajmował dwoisty roztruchanik, t. zw. »kubek w kubek«, wygłaszano mowy, pełne panegiryczno-oratorskiego kunsztu, w których obok całego Olimpu zazwyczaj symbolika herbu obu łączących się rodzin dostar- **»Dobre myśli«.** **Wesela.** **»Kubek w kubek«.**

czała tematu do komplementów, porównań, wróżb i życzeń — owe znane nam z odpisów w szla-
Oracye. checkich *Silvae Rerum* oracye makaroniczne, floresowane, często mimowolnej komiki pełne, które składały się na osobny rodzaj barokowej swady polskiej, a do których w każdym powiecie bywał
»Quamquam«. specyalista, mistrz *quamquamu,* bo tak żartobliwie zwano te popisy, zaczynające się prawie w regule od słów: jakożkolwiek aczkolwiek, czyli od łacińskiego *quamquam*. Wielkopańskie wesela odbywały się z niesłychanym przepychem a pannę młodą zasypywano upominkami wysokiej ceny. Opowiada nam w swoim pamiętniku Albrecht Radziwiłł, że na weselu Teresy Ossolińskiej, córki Jerzego, która poślubiła starostę sokalskiego Denhofa, panna młoda otrzymała 150 darów, które razem miały wartość
Upominki weselne. 150.000 zł., sumy na one czasy olbrzymiej, równej dzisiaj milionowi. Wojewodzanka mińska Słuszczanka wychodząc za Kazanowskiego, otrzymała wśród niezliczonych upominków weselnych także od króla kubek szczerozłoty, w którym znajdowała się asygnata na 20.000 dukatów. Gody weselne łą-
Tryumfy. czone bywały z t. zw. tryumfami na wzór włoski, z teatralnemi widowiskami, z pochodami maskowanych orszaków i symbolicznemi rydwanami, które wyobrażać miały allegoryę wszystkich możliwych cnót chrześcijańskich i wszystkich bóstw pogańskich, począwszy od Wenery i Kupidyna a skończywszy na Fortunie z pełnorogiem ziemskiego szczęścia. Magnaci szli przy takich uroczystościach o lepsze z królami; tryumf weselny Jana Zamoyskiego i Gryzeldy Batorównej na rynku kra-
Zbytek festynów. kowskim świetniejszy był może od weselnych festynów Zygmunta III na tejże samej widowni; na

weselu Konstancyi Lubomirskiej z Stanisławem Potockim (r. 1661) miało być w Łańcucie 1500 gości, którym 600 hajduków służyło przy bankietach; pamiętnym pozostał na długo przedziwnie okazały festyn weselny trzeciego ordynata Zamoyskiego i Maryi Kazimiery d'Arquien, późniejszej Sobieskiej. Nie ustawał ten zbytek aż do końca XVIII wieku; dość tu przypomnieć prawdziwie bajeczny przepych, z jakim przyjmował książe Karol Radziwiłł króla Stanisława Augusta w Nieświeżu, lub ów głośny w całej Polsce festyn, jaki wyprawił w r. 1742 wojewoda wołyński ks. Sanguszko w dzień imienin swojej matki, festyn czterodniowy, połączony z olbrzymim zjazdem senatorów i szlachty, nieprzerwany szereg balów, bankietów, baletów, widowisk teatralnych, redut, szlichtad, illuminacyj a nawet walk byków z niedźwiedziami.

Pogrzeby.

Niemniej wspaniałe i pełne kosztownej pompy bywały pogrzeby. Każdy szlachcic uważał to sobie za obowiązek pietyzmu, składać do grobu drogą mu osobę z najokazalszą wystawą, najczęściej ponad stan i możność. Magnackie pogrzeby, których religijne i obyczajowe ceremonie przewlekały się przez kilka dni, przybierały cechę fantastycznego niemal widowiska. Katafalk czyli *castrum doloris* było wielką bogatą strukturą, ustrojoną w rzeźbione, malowane i złocone akcesorya, w allegorye, posągi, godła, emblemata, tarcze herbowne, dewizy i sentencye, opiewające cnoty i zasługi zmarłego i tryumf śmierci zarazem. Trumny kruszcowe bywały zazwyczaj misternie ornamentowane; dla służby, milicyi nadwornej i dla żałobnego orszaku sprawiano osobne kostiumy, konie wiedzione za trumną zmarłego strojono w kity, pióra żórawie, skóry lamparcie, oble-

Castrum Doloris.

kano w kapy złotogłowowe, teletowe, tabinowe, które musiały być tak sute i długie, aby *lugubri more* wlokły się po ziemi. Tak było na pamiętnym pogrzebie hetm. w. Stanisława Koniecpolskiego w Brodach r. 1646. Pogrzeb Jerzego Kalinowskiego w Bukaczowcach kosztował około 80.000 kor. na dzisiejszą monetę; aby podołać tak wielkiemu kosztowi, wdowa musiała zastawić swoją złotą koronę sadzoną brylantami, srebrne puhary i kandelabry, a nawet kosztowne zbroje i inne *ornamenta bellica* nieboszczykowskie, a przecież bracia zmarłego, Adam i Marcin, robili bratowej wyrzuty, że pogrzeb nie był tak wystawny, jakby się dostojności zmarłego należało. Na pogrzebie Zamoyskiej, z domu księżniczki Ostrogskiej, było 6 biskupów, a jaki był zjazd na tę żałobną uroczystość w Zamościu, o tem da nam wyobrażenie szczegół, że codziennie bito dla kuchni po 100 wołów, cyfra, w którą trudnoby uwierzyć, gdyby nie ręczył za jej prawdziwość ks. kanclerz lit. Albrecht Radziwiłł, świadek i uczestnik tej żałobnej uroczystości. Zwyczaj urządzania nad miarę wystawnych pogrzebów utrzymał się jeszcze i w XVIII wieku. Zasłynął w całej Polsce czterodniowy pogrzeb hetmana Józefa Potockiego w r. 1751 w Stanisławowie, pełen monarszej pompy, a szlachcic wcale średniej fortuny, znany z swoich pamiętników Matuszewicz, grzebie swego ojca przy asystencyi 324 księży łacińskich i 150 unickich.

Wspaniałość pogrzebowa.

Ceremonie żałobne.

Każdy pogrzeb wielkiego stylu, zwłaszcza hetmański, łączył się z ceremoniami, które były wspaniałem i wstrząsającem widowiskiem a miały symbolizować dostojność zmarłego i majestat śmierci. Za trumną kroczył rumak ulubiony nieboszczyka, obleczony powłóczystą żałobną kapą, niesiono miecz,

szyszak i tarczę, oblepioną gorejącemi świecami, a do kościoła wjeżdżał rycerz cały zakuty w zbroję, »łamał drzewo«, t. j. kruszył u stóp katafalku kopię i obalał się z konia na posadzkę kościoła. Dla spotęgowania grozy, upadanie musiało odbyć się z wielkim chrzęstem i łomotem, z »gromem«, z »srogim i ogromnym trzaskiem«, jak się wyrażają opisy świadków. Zdarzało się, że rycerz rzucając się z konia na ziemię, i sam się ciężko uszkodził i konia przestraszył, który wpadłszy między zgromadzonych w kościele żałobnych gości wywoływał panikę i tratował najbliższych, jak np. na pogrzebie hetmana Stanisława Koniecpolskiego w Brodach w r. 1646. Drugi oryginalny zwyczaj polegał na tem, że za trumną jechał człowiek podobny zupełnie strojem, postawą i twarzą do zmarłego, którego miał być niejako pośmiertnym a żywym konterfektem. Robiło to wrażenie, jak gdyby nieboszczyk odprowadzał samego siebie do grobu. Wybierano w tym celu ludzi, którzy już z urody podobni byli do zmarłego, a podobieństwo fizyczne jeszcze bardziej uwydatniano sztuką. Na pogrzebie hetmana Jana Tarnowskiego rolę tę odgrywał podkomorzy Nikodem Radoszewski, który według opisu Orzechowskiego jechał za trumną w czarnej atłasowej szubie sobolami podbitej, w kuczmie sobolowej, »reprezentując Pana swego umarłego«. Za trumną Koniecpolskiego jechał przebrany za hetmana rotmistrz kozacki Komorowski, »staturą a osobliwie brodą do zmarłego podobny, w jego szatach«. Było to zapewne naśladowanie podobnegoż zwyczaju, obserwowanego na pogrzebach królewskich, bo jak wiemy, na pogrzebach Zygmunta Augusta i Stefana Batorego figurowały także postacie w szatach

Kruszenie kopii.

Sobowtóry.

królewskich, fizycznie podobne do zmarłych monarchów.

Naśladownictwo. i reakcya.

Przepych i wystawa takich obchodów pogrzebowych jak z jednej strony podniecały do naśladownictwa ludzi, których fortuna nie odpowiadała wcale potrzebnym na to kosztom, tak znowu z drugiej strony budziła reakcyę u szlachty, której stanowisko i środki pozwalały na to. Zdarzali się magnaci, którzy za życia polecali grzebać się jak najskromniej, bez wszelkich zbytków i ceremonij.

Wielkoduszna skromność.

Wiekopomny nasz Stanisław Żółkiewski w testamencie swoim poleca żonie, aby go pochowano »bez pompy, bez owych koni i kirysów«, to sobie tylko zastrzega, że jeśliby na polu bitwy poległ, »miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę,

Szkarłat żałobny.

niech trumna przykryta będzie szkarłatem na znak wylania krwi dla ojczyzny, a to nie dla chluby żadnej lecz dla pobudki drugich do cnoty«, a gdyby śmierć spotkała go w bitwie lub obozie poza granicami kraju, wtedy »tamże pogrześć ciało, a nad niem mogiłę wysoką usuć, nie dla ambicyi, ale żeby grób mój był kopcem granic, żeby się potomny wiek wzbudził do pomnożenia państw Rzeczypospolitej« — życzenie, godne wysokiej duszy tego Wielkiego Polaka. Marcin Krasicki, wojewoda podolski, pan, który za życia lubował się w wszelkiej wspaniałości a zmysł swój monumentalny stwierdził wzniesieniem jednego z najpiękniejszych zamków polskich, »rozkazuje i prosi wielce« w swoim testamencie, »aby ciało jego w tej, w której teraz jest koszuli, włożywszy nań habit karmelitański, było jak najprędzej ułożone w trumnę, którego pogrzeb u OO. Karmelitów Bosych przeznacza, który pogrzeb *sine omni luxu,* szkap nie wodząc

ani niepotrzebnych ceremonii nie czyniąc, przystojnie odprawić«. Aleksander z Rytwian Zborowski, fundator szpitala dla starych żołnierzy we Lwowie, poleca »schować ciało swoje nigdzie jeno tam, kędy sobie nagotował, bez żadnych ceremonij, bez trumny, tylko w delurce a kapciach w kilim obwinąwszy biały«. Matrony polskie XVI i XVII wieku polecały chować się najczęściej w habitach zakonnych; oblekano je także w powłóczyste poważne szaty, w jakich widujemy ich posągi na monumentach nagrobowych — tylko młode dziewice i niewiasty zmarłe w kwiecie wieku strojono bogato na katafalku. Autor *Rélation d'un voyage en Pologne sous le regne de Jean Sobieski* widział zmarłą w młodych leciech Zofię Denhofową spoczywającą przez pięć dni na jedwabnym złocistym kobiercu ubraną jakby na bal w bogatej sukni, z kornetem na głowie, w pudrowanej fryzurze, z muszkami na twarzy, w klejnotach drogocennych, których nie brakło i na trzewikach.

Stroje na marach.

Mówiąc o pogrzebach nie można pominąć upowszechnionego między szlachtą zwyczaju zawieszania nagrobowych chorągwi po kościołach. Chorągwie takie zastępywały epitafia, były opatrzone w nazwisko, herb i datę śmierci, a czasem mieścił się na nich malowany portret zmarłego. Chorągwie te żałobne bywały także przedmiotem zbytku, robiono je niekiedy z najdroższych materyi, haftowano bogato złotem i srebrem, przydawano im lambrekiny, draperye, galony i koronki. »Nad grobem moim dać z kitajki dubli czerwonej dwa ogony zrobić rycerskie — poleca w swoim testamencie z r. 1634 szlachcic Hreczyna — po brzegach onę kitajkę pozłocić i na rohatynie czapkę z piórem

Chorągwie nagrobowe.

przewlec i tak nad cielskiem mojem zawiesić; wywijasów nie potrzeba i onych fartuchów białogłowskich zawieszać także nie potrzeba«. Świątynie nasze obwieszone były wewnątrz gęsto takiemi chorągwiami; droższe niekiedy od skromnego a trwałego pomniczka, poniszczały i poznikały z czasem. W r. 1613 po wyprawie moskiewskiej w jednym kościele OO. Bernardynów we Lwowie zawieszono kilkadziesiąt takich *labara funebria* dla uczczenia pamięci poległych w boju żołnierzy — nie zachowała się ani jedna z tych rycerskich pamiątek, i sztandary nagrobowe należą dziś do najrzadszych zabytków przeszłości, tak samo jak i t. zw. »konkluzye«, które często spotykamy wymienione w starych inwentarzach rodzinnych a których znaczenie dla mniej obeznanych z obyczajem przeszłości bywa dotąd zagadką. Konkluzye były to sztuki jedwabnej materyi, najzwyklej białego lub żółtego atłasu, na których drukowano ostatnią sentencyę mowy pogrzebowej, już z góry przez kaznodzieję na efekt obliczoną i w lapidarną niejako formę ujętą, np. *Stat magni nominis umbra.* Rycina św. patrona i herb zmarłego, tudzież szumna panegiryczna dedykacya pozostałej rodzinie uzupełniała treść konkluzyi, którą zawieszano w kaplicy domowej lub przechowywano wraz z innemi pamiątkami rodu.

Labara funebria.

Konkluzye.

Bankiety.

Zjazdy publiczne i prywatne, nie wyjmując pogrzebów, nie odbywały się bez bankietów; biesiada było koroną każdej uroczystości, głównym punktem towarzyskiego programu. Polacy nie odznaczali się cnotą umiarkowania w jadle i napoju; Ruggieri odnosi wrażenie, że jeden Polak je za pięciu Włochów. Po stroju bankiet był głównym powodem zbytku, a kuchnia nie daremnie zasłużyła sobie na

utarte miano »szkopułu szlacheckiej substancyi«. Codzienna gospodarska kuchnia była pożywna i zawiesista ale skromna; Rej, który w pismach swoich robi wrażenie smakosza-prostaka z niepopsutem podniebieniem, tylko przez pieszczotliwe zdrobnienie nazw nadaje prostym potrawom szlacheckim pozory ponętnych łakoci. Mówi często z akcentem przekonania, jaki mu dawał dobry apetyt i energiczny żołądek, o »chlebie nadobnym, o jarzynkach pięknie przyprawionych, krupeczkach bieluchnych a drobniuczko usianych, o kureczkach tłuściuchnych, podanych na obrusku białym, na miseczce nadobnie uchędożonej« i wyrzeka na rozmaite wymysły, które zaczynają wciskać się do kuchni i na stół szlachcica, na »rozmaite przysmaki, co je sapory zowią, na potrząski rozliczne, żufeczki, wymyślne pieścidełka, pozłociste główki, torty i kreple, limonie i kapary«. Rej jest za rzeczą a gardzi pozorami, wyśmiewa wykwintne sztuczki i figle kuchmistrzowskie, dla niego nietylko »bijanka z marcypanem limonie i kapary« są nierozsądnym zbytkiem, ale nawet kasza ryżowa, bo »przodkowie nasi zjadłszy gęś a smażoną pieczenię, a groch z jagłami, postawiwszy donicę na stole pieprzem natartą z piwem a grzankami, używali wolnych a wesołych myśli« i nie wymagali, aby »każda potrawa musiała przyjść jako kasztelanka albo samotrzecia albo samoczwarta«. Nie jest też Rej przyjacielem wina: nad wszelkie »witpachery, rozekiery, rywuły, małmazye« przenosi polskie piwo, bo »patrz na te kraje, gdzie cebrem piwo piją a pani matka w sześć niedzielach donicę z grzankami czasem wychyli, jacy się chłopi by żubrowie rodzą, bo jeszcze w brzuchu utyje jako prosię, urodzi się jako cielę, a urośce

Kuchnia polska.

Sztuczki kuchmistrzowskie.

Piwo a wino.

jako wół«. Nieco rubaszny ale zdrowy smak Reja niewątpliwie podzielał cały ogół szlachecki: potwierdzają to późniejsi pisarze i poeci, jak np. Słupski w swoich *Zabawach Orackich* lub Wespazyan Kochowski, który takie układa *menu* ziemiańskie:

Menu szlacheckie.

Dobry kapłon przed gody, albo w mięsopusty
Schab karmnego wieprza tłusty.
Nie odrzucę wołowej pieczeni
Lub i skopowej w jesieni,
Lub z sałatą cielęcina lub na powtórki
Przy sałacie i ogórki.

Nie ma w tem nic archaicznego ani osobliwego, są to nasze dzisiejsze potrawy. Spotykamy przecież i takie, choć nieliczne, jakie byłyby dla nas dziwnem zjawiskiem na stole. Pominąwszy już owo legendarne źrebię, które miało wrzekomo figurować przy uroczystych bankietach na stole hetmańskim, znajdujemy między staropolskiemi potrawami pieczeń nietylko z łosia, *magna bestia*, która takiem podziwieniem przejęła cudzoziemca Ogier'a w roku 1635 na bankiecie u wojewody ruskiego Wiśniowieckiego, ale także z żubra, tura, bawołu, dalej bobrowe ogony, pryski t. j. chrapy na zimno i t. p. Inne uderzają tylko przyprawą, nazwą lub formą, jak np. sarnie kiełbasy, ryby w Maćkowej jusze, groch z ciasta i t. d. Włochów zwiedzających Polskę uderza głównie rozmaitość juch t. j. sosów, białych, szarych, czarnych, zielonych, żółtych, a zawsze bardzo korzennych i zawiesistych *(brodi molto sostanziosi conquantità di spezie)*. Beauplan, który w swojej *Déscription des contrées du Royaume de Pologne* składa dowody bardzo bystrej i niemal drobiazgowej obserwacyi obyczajów polskich, po-

Osobliwsze potrawy.

Rozmaitość sosów polskich.

daje nam nawet sekret kolorowych sosów, w których jak się wyraża: »pływały wszystkie potrawy«: sos żółty robił się z szafranu, czerwony z wiśniowego soku, czarny z śliwkowych powideł, szary z tartej cebuli i t. p. Z potraw i przekąsek specyalnie polskich przytacza Beauplan kapustę kwaśną z wędzoną słoniną, kaszę jaglaną, którą »Polacy niezmiernie lubią«, groch ze słoniną, »bez którego niema szlacheckiej uczty«, kluseczki gryczane z makowem mlekiem i t. p., na wety zaś ser, śmietana, owoce i cukry. W liście ks. Piotrowskiego do marszałka kor. Opalińskiego z r. 1582 zachowało się nam całe *menu* bankietu weselnego w »trzech dawaniach«, z którego przytoczymy najbardziej osobliwe potrawy. Na pierwsze dawanie składały się kapłony w całku, pawie pieczone z saporem, polędwice jelenie, ciasto formiane i t. d., na drugie dawanie zwierzyna słona, potrzęsiona cukrem wielkim i migdałami, baranki angielskie w czarnej jusze, rosiata, pasztety, czosnek, kapłon do małmazyi; na trzecie kapłon z zieloną juchą cukrowany, raki z masłem i pieprzem, ciasto i sapory.

Potrawy ulubione.

Dawania bankietowe.

Uderzającą właściwością starożytnej kuchni polskiej było używanie korzeni do wszystkiego i w wielkich ilościach; imbier, szafran, muszkatel, pieprz, goździki, bobki wawrzynowe, cynamon i t. p. stanowiły główną przyprawę i bardziej były potrzebne niż cukier, dawnemi czasy bardzo drogi i na klucz zamykany, jak się to zaznaczyło nawet w przysłowiu: »Król wielki pan a łyżkami cukru nie jada«. Na bankiecie u Denhofa, wydanym na cześć przybywającej do Polski Maryi Ludwiki, poparzyli sobie Francuzi języki i jeść nie mogli, tak pieprzne i korzenne były przyprawy, a uczestnik

Zamiłowanie w korzeniach.

tej biesiady, który ten szczegół zapisuje, dodaje nawet z widoczną przesadą, że w Polsce każdy szlachcic dostojniejszy — *personne de condition* — zużywa rocznie za 10.000 talarów cukru, bakalii i korzeni. Zaniechanie korzennych przypraw nastąpiło w Polsce, jak zresztą wszędzie, dopiero z rozpowszechnieniem się kawy i herbaty. Dalszą cechą staropolskiej sztuki kucharskiej — a miała ona u nas swoją literaturę, począwszy od znanego naszym bibliografom tylko z tytułu *Kuchmistrzowstwa* z roku 1552 aż do słynnego *Compendium Ferculorum* łańcuckiego kuchmistrza Lubomirskich Czernieckiego, książki bardzo popularnej, skoro od roku 1682 do roku 1788 a więc z górą przez sto lat nie straciła wziętości i doczekała się dziesięciu wydań, aż do Haura i najpóźniejszego Wielądka — cechą sztuki

Dekoracya potraw.

kucharskiej, powtarzamy, było wysilanie się na zewnętrzną dekoracyę potraw i półmisków, na dowcipne maskowanie ich w ten sposób, że domyśleć się było trudno, co się w nich kryje. Zdawałoby się, jakoby potrawy podawane na uroczystych bankietach świetnością i pompą swojej zewnętrznej formy dostrajać się musiały do aksamitów, altembasów, złota i klejnotów na kostiumach biesiadni-

Fantazye kucharskie.

ków. Rej przytacza nam kilka przykładów takiej trawestacyjnej fantazyi kucharskiej, owe »pozłotki, farby, malowania dziwne, że snaćby ich mógł nie zwać potrawami ale obrazki malowanemi; na jednej misie baran pozłocisty, na drugiej lew, na drugiej kur, na trzeciej pani jako ubrana, więc dęby z żołędziami, więc z różami pozłocistemi, z rozmaitemi kwiatki — a potrawa po środku za dyabła stoi«. Kochowski także podaje nam mały obrazek takiej maskarady kulinarnej:

Z kanaru, co go przysłał Hamburg nieblizki,
Mrozem bielą się półmiski,
Po wierzchu mis spadają cukrowe grady,
A chłopięta temu rade.
Patrz na komedyę: wlazł kapłon w flaszę,
Skąd go, stłukłszy ją, wystraszę,
Tu bażant, choć zabity, swe rozpościera
Skrzydła i na nich umiera.
Z serwet wokoło baszty i wieże,
Padną, że nikt nie spostrzeże.

Ceremonie przy ucztach.

Istniały pewne ceremonie i zwyczaje specyalnie polskie, które zachowywano przy ucztach. Stoły ustawiano w podkowę, czyli jak się wyraża jeden z cudzoziemców: w szubienicę — *en double équerre* nazywa to zestawienie stołów Beauplan — a bywały tłumne bankiety, na których długość stołu przenosiła 100 stóp. Pokrywano je cienkiemi, kosztownemi

Zastawa stołu.

obrusami; półmisków nie stawiano bezpośrednio na obrusie, ale na tak zwanych »prawdach« czyli tacach metalowych; przed każdym gościem kładziono talerz z małą serwetką, przykrywającą chleb i łyżkę. Noży i widelców nie dawano; każdy gość przynosił je z sobą, a bywały niekiedy bardzo ozdobne i kosztowne. Poeta Potocki kupuje w Krakowie

Nożenki.

»sobie noże w kości słoniowej, dla żony nożenki w koralu, wybijaną robotą z blachmalu«. Zaobserwował ten zwyczaj nawet przy stole królewskim Francuz Regnard w Jaworowie, gdzie tylko cudzoziemcom dawano noże i widelce, a Adam Moszczyński, autor pamiętników z ostatnich dziesiątek lat XVIII wieku, słyszał od marszałka w. kor. Jerzego Mniszcha, że jego ojciec pierwszy za czasów Augusta II wprowadził grabki i noże dla każdego

Zwyczaje biesiadne.

gościa. Przed rozpoczęciem uczty przystępowało do każdego gościa po kolei czterech rękodajnych

dworzan gospodarza, a mianowicie najpierw dwaj, z których jeden niósł nalewkę srebrną z wodą, drugi zaś miednicę srebrną wielkich rozmiarów; jeden nalewał wodę na ręce, drugi podtrzymywał miednicę. Dwaj dalsi trzymali za końce ręcznik długości kilku łokci, którym goście obcierali dłonie. Każdy gość przyprowadzał z sobą na ucztę co najmniej jednego sługę, czasem nawet kilku, i ci stali za jego krzesłem. Kilku krajczych odbierało od służby misy z potrawami i obdzielało niemi gości. Do stołu zasiadano zazwyczaj z nakrytą głową, a odkrywano ją tylko wtedy, kiedy gospodarz lub jakiś dostojny współbiesiadnik odkrywał ją dla rewerencyi przy toaście lub dla ochłody. Powiada jeden z naszych rymopisów XVII wieku:

Gospodarz u stołu takie prawo daje:
Kto, pije, czapki rusza, a pijąc powstaje.

Kobiety na bankietach.

Kobiety, jeśli brały udział w wielkim bankiecie, zasiadały przy osobnym stole, albo też rzędem obok siebie po jednej stronie wspólnego. Zwyczaj ten obowiązywał także na bankietach dworskich; na uczcie weselnej Władysława IV i Cecylii Renaty zastawione były cztery stoły: królewski, senatorski, ministrów i niewiast. W bardzo hucznych i tłumnych biesiadach kobiety zazwyczaj nie brały udziału, w ściślejszem jednak kole, w małem gronie poufnem, bywały jak wszędzie i po wszystkie czasy, najwdzięczniejszą ozdobą i najponętniejszą przyprawą polskiego stołu. Wespazyan Kochowski rubasznie ale szczerze nazywa je »omastą« bankietów, choć — oczywiście tylko dla rymu — kładzie je na czwartem dopiero miejscu:

Sól, wino, dobra wola, bankietów omasta,
Przydaj czwartą, pozwolę, niech będzie niewiasta.

Przewlekłość bankietów.

Bankiet polski trwał bardzo długo, niekiedy 5 do 6 godzin, bo między jednem a drugiem daniem upływało pół godziny, na co się bardzo użalali cudzoziemcy. Szereg »pełnych«, t. j. toastów, rozpoczynał gospodarz, zwykle w połowie bankietu, a wzniesiony i wychylony przez niego puhar przechodził następnie z rąk do rąk, czyli raczej z ust do ust, i wracał do niego. Przed każdym gościem stała flasza wina, w miarę potrzeby napełniana przez uważną służbę, i z tej to flaszy nalewał każdy wina do podanego sobie od sąsiada wiwatowego puhara. Był zwyczaj, że każde zdrowie spełniało się z innego kielicha — miał też gospodarz przed sobą całą kolekcyę puharów, kubków, szklanic i roztruchanów, których rozmaite formy: *tantôt un carré, tantôt un triangle, tantôt une figure longue et tantôt une ronde* — tak dziwiły Beauplana. Grzeczny gospodarz pił za zdrowie nietylko najdostojniejszego współbiesiadnika, ale, o ile to było możliwą rzeczą, za zdrowie każdego z swoich gości; tak samo i gospodyni, która jednakże nie wychylała wina, ale dotknąwszy tylko ustami brzegów puhara, podawała go gościowi, którego uczcić chciała; tak samo też robiła, gdy podawano jej kielich wzniesiony na jej uczczenie. Zdarzało się, że gość uczczony kielichem z dostojnej ręki, rzucał po wychyleniu wina szklanicę o ziemię, aby się strzaskała, jakoby na znak, że już nikt nie godzien pić z niej w przyszłości; czasem tłuczono taki kielich nawet o własną głowę, jak to np. uczynił hetman Chodkiewicz z kielichem podanym mu w Tołoczynie przez króla Zygmunta III.

»Pełne« czyli toasty.

Tłuczenie puhara.

»Stłukłem szklanicę o głowę — pisze hetman w swoim liście do żony — a król rzecze: Miły Panie Hetmanie, nie tłuczcież tej głowy; siła nam na niej zależy!« Zwyczaj tłuczenia kielicha, z którego piła do kogoś wyjątkowo szanowna lub kochana osoba, utrzymywał się do późnych czasów; opowiada nam w swoich pamiętnikach Marcin Matuszewicz (1740 r.), że kiedy piękna panna Szamowska z Gostyńskiej ziemi nadpiwszy z strzemiennego puhara podała go młodemu żołnierzowi Sołłohubowi, który już siedział na koniu, ten wychyliwszy do dna, skruszył puhar strzałem z pistoletu, zsiadł z konia i padając plackiem na ziemię, oświadczył się pannie. W ciągu bankietu, przed toastami, nie pito wina, które się dopiero po jedzeniu lało strumieniami, ale piwo w wielkich szklanicach, do którego rzucano grzanki chleba, maczane w oliwie. Każdą potrawę podawał gość swojej służbie, stojącej za jego krzesłem. Przy bardzo wystawnych wielkopańskich bankietach, jak np. przy elekcyjnych w czasie wyboru Władysława IV, o których wspomina cytowany już Beauplan, podając koszt takiej jednej uczty na 50 do 60.000 liwrów, przegrywały orkiestry i produkowały się chóry śpiewackie, złożone z chłopiąt, doskonałych w swej sztuce.

Napoje.

Śpiew i muzyka przy bankietach.

Zbyt tłumnych biesiad nie lubiono; zdarzały się one wprawdzie na festynach magnackich, zwłaszcza, jak już wiemy, na weselach, dziwowano się im bardzo i opowiadano sobie o nich po całej Polsce, ogłaszano nawet opisy ich drukiem, jak np. opis owych słynnych godów weselnych w Łańcucie po ślubie Konstancyi Lubomirskiej z Felicyanem Potockim, na których zjedzono 60 wołów, 300 cieląt, 50 baranów, 150 wieprzów i prosiąt, 21.000 sztuk

Bankiety tłumne.

drobiu, 12.740 ryb, 10 korcy raków, spotrzebowano 4 kamienie pieprzu, 3 kamienie imbieru, 5 funtów szafranu, wypito 270 beczek węgrzyna, 6 lad włoskiego wina i t. d., lub owego święconego u wojewody Sapiehy w Dereczynie, na którem roznoszono wina cypryjskie, włoskie, hiszpańskie w tylu konwiach srebrnych, ile miesięcy, w tylu baryłkach również srebrnych, ile tygodni, w tylu gąsiorkach, ile dni w roku, a służbie wydano 8.760 kwart miodu a więc tyle, ile w roku godzin — ale w regule trzymano się zasady; »w dużej kupie się bić, a w małej jeść«, i wierzono przysłowiu, że »siedm biesiada, dziewięć zwada«. Nie potrzeba było wszakże fatalistycznej cyfry dziewięciu biesiadników, aby przychodziło do zwady, która najczęściej kończyła się krwawo. Osławione były polskie bankiety z gwałtownych scen, jakie się na nich odgrywały; w pamiętnikach współczesnych, w aktach sądowych, w pismach moralistów i poetów satyrycznych od XVI do XVIII wieku spotykamy liczne opisy krwawych burd bankietowych, zakończonych kalectwem a nawet śmiercią jednego albo i kilku niekiedy biesiadników. Sfery wielkopańskie, które pod wielu względami stały obyczajowo wyżej od szlacheckiego gminu, pod tym względem nie stanowiły wyjątku; w najwyższych i najlepszych warstwach towarzyskich spotykamy takież same wybryki porywczości, podniecone nadmiarem trunków. Albrecht Radziwiłł opowiada w swoim pamiętniku o bankiecie senatorskim w Krakowie, na którym pobili się z sobą dwaj wojewodzice Daniłowicz i Radziejowski, a wielkiemu rozlewowi krwi zapobieżono tylko tym sposobem, że zamknięto szybko drzwi przed dobywającą się do sali biesiadnej z gołemi szablami służbą

Zwady przy kielichu.

obojga paniąt. Kochanowski podał nam całkiem wierny obrazek bankietu, który zaczyna się w najlepszej komitywie, przechodzi w śpiew i wesołość a kończy się gwałtowną zwadą:

Kufle lecą jak grad, a drugi już jęczy,
Wziął konwią, aż mu na łbie zostały obręczy,
Potem do arkabuzów — a więc to biesiada?
Jeśliście tak weseli, jakaż u was zwada?

Życie sąsiedzkie.

Sąsiedzkie życie na wsi było ożywione i ścisłe, ale miało swoje dotkliwe przykrości i niebezpieczeństwa, a zły sąsiad uchodził za klątwę i nieszczęście szlacheckiego żywota, równał się najcięższej »melancholii«, aby się posłużyć ówczesnym językiem, bo nie lepszy był od »miecza na łbie i wiecznej infamij«. Bywały też procesy i wojny sąsiedzkie zacięte, nieprzejednane, zabójcze. W pierwszych latach XVII stulecia, kiedy pod wpływem wojen rokoszowych i prywatnych cała Polska niemal do gruntu była zawichrzona, zdziczały na długi czas także stosunki sąsiedzkie, a najspokojniejszy nawet szlachcic nie mógł być pewny, czy w progach jego nie pojawi się woźny z swoimi nieodłącznymi dwoma świadkami szlacheckiego stanu i nie wręczy mu t. zw. »odpowiedzi«, to jest groźnego, a niestety do pewnego stopnia prawnie uświęconego albo przynajmniej tolerowanego kartelusza, w którym mu sąsiad gwałtownik wypowiada otwartą wojnę, i wzywa go, aby się strzegł swego »odpowiadającego przeciwnika w domu, w kościele, w łaźni, na polu, jedząc, spiąc, na drodze i na każdem miejscu, bo się na nim mścić będzie i na gardle jego usiędzie«, taka bowiem była zwyczajna formuła tego posłania. Wtedy trwoga zaglądała do okienek

Zły sąsiad.

»Odpowiedź«.

dworka, pełzała po ścianach i zasiadała wraz z strapioną rodziną u komina; czuwał gospodarz, czuwała uzbrojona czeladka, a spokojny dwór zmieniał się w oblężony zameczek. Nie obywało się i bez zajazdów, które równały się napadowi bandy opryszków, bo kończyły się rozlewem krwi i pożarem domostwa, a zdarzały się często w najgorszych czasach i w niektórych zwłaszcza dzielnicach Polski, np. w województwie ruskiem. Była to najczarniejsza ale na szczęście nie główna i nie codzienna strona sąsiedzkiego życia — miało ono swój urok, swoje towarzyskie dobrodziejstwa i swój kodeks, oparty na poczciwej wzajemności, który musiał być silnie utwierdzony w obyczaju i tradycyi szlacheckiej, skoro przetrwał do naszych czasów i tak obowiązuje dzisiaj, jak obowiązywał przed 300 laty. Przechowały się nam sympatyczne rysy pożycia sąsiedzkiego w starożytnej Polsce, a z pism Reja, Kochanowskiego, Górnickiego, Kochowskiego, Potockiego, zwłaszcza z znanej nam od niedawna choć częściowo tylko spuścizny literackiej tego ostatniego, dałaby się zestawić mała galerya typów sąsiedzkich. Tacy sami to ludzie jak dzisiejsi i te same rodzaje ich oryginalności, ale jakże odmienne barwą czasu! Oto najpierw sąsiad z pretensyami do wielkiego świata, *snob* XVI i XVII w., co »wydwarza«, t. j. afektuje giestami i »zemdloną mową« jakiegoś wielkiego senatora, którego jest śmieszną kopią; srogi towarzysz Marsa, co sobie »ogromnie poczyna, okiem gryzie orzechy, wąsem muchy ścina«, co nie znosi kwiatów, bo lubi tylko zapach prochu, nie idzie do tańca, bo zna tylko harce z Tatarem, Szwedem i Moskwicinem, nie dba o muzykę, bo najmilszy

Zajazdy.

Strony dodatnie.

Typy sąsiedzkie.

mu odgłos surm i pomortów przy dział huku, aż mu któraś dowcipna pani powie: »dajcie się, panie, dobrze wysmarować, abyście nie zardzewieli, i zamknąć się w schowaniu aż do przyszłej wojny«; dalej sąsiad chudzina ale »górnej fantazyi« z szumnemi pretensyami, który jedzie w odwiedziny kolebką zaprzężoną w dwie szkapy, a na dobrą stają przed domem sąsiada, każe wyprządz jedną, wsadza na nią pachołka »w koralu«, przy pałaszu i z ładownicą, aby jako goniec awizował gospodarza, że jegomość pan jego zdąża w gościnę, a gdy pachołek z tej misyi powróci, przyprzęga drugą szkapę i tak z pańska anonsowany zajeżdża na podwórze, aż mu nareście figlarz sąsiad, świadomy tego sekretu, upaja do nieprzytomności tego kuryera, a biedny szlachcic naczekawszy się daremnie w polu, zły, głodny i zawstydzony, pieszo, podpierając się szablą, jawi się na gościnnych progach; dalej sąsiad importun i nudziarz, »z którym siedź, żeby nie tęsknił, baw, praw, bo inaczej oszczeka cię — a tego importun nie baczy, że jako na szydłach ledwie nie dosiadasz, że co innego myślisz, co innego gadasz«; sąsiad wielki człowiek, co »stąpa z tabulatury, siła dyszkuruje« i zdumionej szlachcie cuda prawi o swoich czynach: »Takem mówił, tak czynił, na sejmie, w senacie; jam wojnę uspokoił, jam sejm konkludował, ja sam obrałem króla«; sąsiad darmochwał, *miles gloriosus*, prototyp Fredrowskiego Papkina, który przy pełnych opowiada swoje bohaterstwa:

Figle sąsiedzkie.

Sąsiad importun.

Sąsiad statysta.

Darmochwał.

Mnie nigdy straszna nie jest Ordy zgraja,
Jam wziął Neczaja!
Jam Karosz-Murzę z Supenkazym gromił,
Jam Königsmarka szkwadrony przełomił,

Od mej walecznej szabli Dołhoruki,
Rozsiekan w sztuki,
Jam w Holzacyi nieleniwym chodem
Stanął, gość straszny pod Fryderykrodem,
Jam pierwszy w szturmie toruńskim na wały
Wpadał zuchwały!

Ale obok tych figur czasem tylko zabawnych, czasem i niesmacznych, obok darmochwałów i nałogowych łgarzy, z których każdy śmiało mógł się ubiegać o wysoki urząd w Rzptej Babińskiej, iluż to bywało między sąsiadami miłych gawędziarzy, ludzi z talentem opowieści na wzór Paska, z takim zapasem wesołych konceptów, któremi »dusza ucieszyć się« mogła, że szli w zawody z autorami najdowcipniejszych fraszek i apoftegmatów, Kochanowskiego i Kochowskiego nie wyjmując.

Gawędziarze.

Poza sferę sąsiedzką i towarzyską wychodzą i już w życie publiczne wkraczają dwa najwybitniejsze typy szlacheckie: medyator i agitator, Obaj odgrywają wielce ważną rolę w życiu województwa i ziemi, ale podczas gdy pierwszy występuje głównie w prywatnych i rodzinnych sprawach, drugi rozwija swoją akcyę przeważnie na polu publicznem. Medyator jest to zawsze człowiek z fortuny i nazwiska poważny, spokojny i bezstronny, wielkiego praktycznego rozumu, nieposzlakowanej zacności a przytem wielki psycholog szlachecki. Raz lub dwa razy udano się do jego rozjemstwa w jakimś bardzo głośnym i bardzo zawikłanym sporze spadkowym, działowym, granicznym, w którym strony nie chciały się uciekać do trybunałów albo który właśnie dzięki jurystom i trybunałom zabłąkał się w labiryncie prawnym, splątał się jakby w kłąb żmij jadowitych — on tę rzecz

Medyator.

desperacką rozpatrzył, rozjaśnił, rozwikłał i mądrze rozstrzygnął, pogodził sprawiedliwie obie strony, zabił proces, i oto od tego czasu już nie ma spokoju, musi jednać i godzić, jest już wojewódzkim arbitrem i rozjemcą w najrozmaitszych i najdrażliwszych sporach, przestaje już być prywatnym człowiekiem, z woli i zaufania braci szlachty staje się jakby instytucyą. Przy wrodzonej skłonności szlachty do pieniactwa, przy niesłychanie przewlekłej procedurze prawnej, przy tej łatwości, z jaką się spór rodzinny zmieniał w skandal, proces w grę osobistych drażliwości, osobista drażliwość w nienawiść, gwałt, zemstę i krwawy odwet — medyatorowie byli prawdziwem błogosławieństwem i nie brakło ich też w żadnem województwie. Drugi typ wielce ważny szlachecki, agitator i statysta, miał tylko to wspólnego z medyatorem, że tak samo jak tamten musiał być doskonałym psychologiem, znawcą nietylko natury szlacheckiej ale także praw krajowych i stosunków osobistych w jak najszerszym promieniu województwa — poza tem jednak musiał posiadać przymioty, bez których obywał się medyator: musiał być graczem sejmikowym, dobrym szermierzem na szable i języki, człowiekiem bardzo wymownym, bardzo ruchliwym, do zuchwalstwa otwartym, do obłudy nieszczerym, stosownie do sprawy, sytuacyi, czasu i osoby; pełnym fortelów i sposobów, a przy tem bardzo towarzyskim, sympatycznym, usłużnym i gościnnym. Służył czasem tylko osobom, czasem całym stronnictwom, czasem słusznej czasem i niesłusznej sprawie, ale zawsze sobie, bo wzięcie w województwie, wpływ na sejmikach i przy wyborach, szeroka popularność, reputacya skończonego mistrza w grze publicznej,

Agitator i statysta.

Droga do krescytywy.

bez którego nic się nie uda, którego musi mieć po swej stronie kandydat do funkcyi, ambitny magnat, nawet sam król niekiedy, torowały drogę do krescytywy, do intratnego wakansu, do senatorskiego krzesła w końcu.

Doskonały wzór takiej postaci mamy w Matuszewiczu, datowany wprawdzie już z XVIII w., ale wcale nie anachroniczny w XVII a może nawet w XVI, wzór tem ciekawszy i tem bardziej pouczający, że człowiek ten sam wybornie opisuje swoją rolę obywatelską i odsłania sekret swojego powodzenia. »Ta bowiem moja maksyma w sejmikowaniu i obejściu się w województwie była — pisze Matuszewicz w swoich pamiętnikach — wszystkim szczerze i ochotnie służyć, krzywd nie pamiętać, i nieprzyjaciołom, gdy się okazya zdarzyła, usłużyć, nawet i udarować, za moje urzędowe *actus* mało albo nic nie brać, lekko przyjechać i prędko ekspedyować (był pisarzem ziemskim), aby stronom ekspensu nie czynić, kombinować a przy kombinacyi swego dołożyć. Na sądach i innych zjazdach stół mieć otwarty, winem dobrem nietylko częstować, ale też mocno pić, w czem i swego nie ochraniałem zdrowia, na sejmikach zaś nigdy *ad extrema* nie przychodzić, głos każdy obserwować, prosić kontradycentów, pretensye ich do starających się o funkcye swemi często pieniądzmi godzić, słowa punktualnie dotrzymywać; jeśli sejmik doszedł, wspólnie się cieszyć, jeśli nie doszedł, tedy z tymi, co sejmik zepsowali, w zupełnej rozjeżdżać się konfidencyi, którzy bywało do mnie przychodzili, piłem z nimi, weseliłem się w prawdziwej szczerości, ekskuzując ich potrzeby, że to musieli dla

Wzór agitatora i statysty.

Recepta na popularność.

swoich przyczyn uczynić, co wszystko prawdziwą mi miłość w województwie jednało«.

Ale wizerunek tej postaci nie byłby zupełny, gdybyśmy nie dodali jeszcze, że ten gracz sejmikowy i arcymajster intrygi szlacheckiej był także doskonałym aktorem i mimikiem, miał na zawołanie i patos i żart rubaszny, i zuchwalstwo i pokorę, bo całował po nogach Radziwiłłów i Czartoryskich a obrażony pieniał się z nimi zuchwale, że posiadał tę sztukę, którą Włosi tak trafnie określają przysłowiem: *ingojar amaro e sputar dolce,* bo potrafił śmiać się wesoło, kiedy mu się na płacz zbierało, a płakać, kiedy drwił sobie w duszy; sam też powiada w swoim pamiętniku, że tak się nauczył płakać, że skoro tego dla efektu potrzeba było, »zaraz mi się łzy z oczu lunęły«. Takich wirtuozów, którzy po głowach szlacheckich przebierali jak po klawiszach i panów braci mieli na nitkach jakby łątki jasełek, miała każda ziemia i każdy powiat, tylko że żaden z nich nie zostawił nam pamiętników.

III.

Co po za towarzyskiem życiem wypełniało swobodne od gospodarskich trudów chwile i stanowiło główną i ulubioną rozrywkę szlachecką, to wszystko da się ująć w te trzy słowa Reja: »konik, chartek, ptaszek«. Sport jeździecki i myśliwski daleko silniej wiązał się z życiem minionych wieków, daleko głębiej sięgał w obyczaj, bo nie był wyłącznie amatorstwem tylko, popisem, fantazyą, zabawą, jak dzisiaj, ale rzeczywistą, nieodzowną potrzebą, bardzo realnym warunkiem bytu. Już dla tego samego, że każdy szlachcic był żołnierzem i że także po za wojną konna jazda była najzwyczajniejszym, a przy braku dróg niekiedy jedynym środkiem lokomocyi, chów koni i sztuka jeździecka miały pierwszorzędne znaczenie. Cóż dopiero, kiedy do potrzeby, do konieczności na seryo, przybywały amatorstwo i zbytek. Słynęli w Europie Polacy jako jeźdźcy, słynął koń polski, którego rasa zginęła dopiero z końcem XVIII wieku. Chów koni prowadzono na szeroką skalę, stadniny wielkopańskie liczyły po kilkaset a nawet po kilka tysięcy koni i matek, jak np. stada Buczackich w Buczaczu, Ostrogskich, Chodkiewiczów (w dobrach Lachowie-

Konik, chartek, ptaszek.

Koń polski.

Stadniny. ckich), Sobieskich w Żółkwi, Chreptowiczów i t. d. Jeszcze w ostatnich latach XVIII w. zażywały wielkiej sławy stadniny Lubomirskich w Szarogrodzie, Potockich w Humaniu, księcia podkomorzego Poniatowskiego w Stojanowie, Poturzycy i Sokalu. Nawet szlachcic średniej fortuny miewał po kilkadziesiąt koni. Ćwiczenia rycerskie odbywały się zawsze na koniu, ćwiczeń pieszych prawie u nas nie znano; »w piły nie grawamy, jak we Francyi«, powiada Górnicki. Jakie były najzwyczajniejsze ćwiczenia rycerskie, dowiadujemy się od naszych starożytnych pisarzy. »Na konika wsieść, zbroiczki sobie przypatrzyć — pisze Rej — słudze też na drugiego kazać wsieść, więc tu sobie pomiernie pobiegać, i drzeweczka wziąć, nadobnie sobie z niem poigrać, albo też do pierścionka albo do czapeczki pomierzyć«. Twardowski chwali zręczność w rycerskich igrzyskach młodzieńczego królewicza Alexandra, który dobrze umiał: »jako koniem najechać, jako drzewcem toczyć — ułożyć się w wężyka, do pierścienia skoczyć«, a Piotr Zbylitowski tak opiewa zabawy rycerskie:

Zabawy rycerskie.

> Jedni na chyżych koniach do pierścienia skoczą,
> Drudzy w kole obrotnem na nich kształtnie toczą,
> Ten z łuku do magierki, ten z ptaszej rusznicy,
> Ten rohatyną ciska...

Amazonki. Nie było to wyjątkiem i dziwowiskiem, kiedy i kobiety próbowały się w tych ćwiczeniach. Kryski powiada w *Dworzaninie*, »że znał białogłowy i są jeszcze żywe, które, mieczem, oszczepem, tak dobrze umieją jak mężczyzna który; k'temu na koń ochotnie wsieść i dobrze nim toczyć. Myśliwych pań nie wspominam — dodaje Kryski — bo tych

w Polsce pełno«. Kiedy król Władysław IV w r. 1638 w przejeździe do wód bawił na dworze cesarskim w Wiedniu i urządzono tam strzelanie do tarczy o nagrody, za najcelniejsze trzy strzały wzięły premie trzy Polki z orszaku królowej: kasztelanowa sandomierska Kazanowska, wojewodzina łęczycka Leszczyńska i panna Lukrecya Guldenszternianka, późniejsza starościna warszawska Grzybowska. Panny Zawiszanki, córki wojewody mińskiego, wyprawiają się z ojcem na niedźwiedzie, nie boją się srogiego zwierza, a raz nawet śmiało spoglądają w oczy śmierci, od której je ojciec szczęśliwie ocala, nie trzeba zaś zapominać, że to było przed górą dwustu laty, kiedy nie znano ani precyzyjnych odtylcówek ani kul explodujących i kiedy na niedźwiedzia i odyńca szło się z zawodną krzoskową rusznicą i koniecznie z oszczepem.

Myśliwstwo polskie dawnych wieków wymagałoby osobnej monografji; mamy też do jego historyi stosunkowo bogate źródła w literaturze; na tem miejscu jednak poprzestać musimy na kilku tylko rysach. Było wiele rodzajów myśliwstwa: z ogarami, z chartami, z obławą, z sieciami, z sokołami. Najoryginalniejsze i najponętniejsze może było dla łowieckiej fantazyi sokolnictwo, t. j. polowanie z ptakami, uchodziło też w całej Europie za najszlachetniejsze. Nie było tak przystępne jak każde inne, wymagało wiele cierpliwości, trudu i kosztu. Do ptaków łowczych zaliczały się orły, krogulce, jastrzębie, sokoły, rarogi a także i sowy. Krogulec i sokół brały już oprócz kuropatw duże ptaki, jak kaczki, żurawie, dropie, cietrzewie; jastrząb porywał się także na zająca, raróg i orzeł »chwytały ptaki by największe, nawet zwierza ziemnego biły,

Myśliwstwo.

Sokolnictwo.

jako liszki, sarny i dzikie kozy«. Jan Chryzostom Pasek, słynny z daru ułaskawiania dzikich zwierząt i ze swego myśliwstwa, o którem sam się wyraża, że było z podziwem ludzkim, obok właściwych sokołów miał także drzemliki, kobuzy i kruki, »co do berła chodziły, kuropatwy i zające zalatywały«.

»Unoszenie«. Wyćwiczenie sokoła czyli t. zw. po łowiecku »unoszenie« było osobną, wielce trudną specyalnością i sztuką; celowało w niej w XVI wieku wielu Polaków, jak np. wojewoda poznański Janusz Latalski, który miłował się w sokolnictwie na wielką skalę i słynął z tego na wszystkich dworach europejskich. Cesarz Ferdynand I do niego udawał się po sokoły.

Ceny sokołów. Za dobrego ptaka łowczego płacono stosunkowo bardzo wysokie sumy. Król Stefan Batory płacił sumę równą wartości 120 korcy pszenicy za sokoła albo dawał parę koni lub trzy karmne woły — a więc cena dosięgała 2000 koron dzisiejszych. Jeden z poetów XVII w. uderzając na zbytek w myśliwstwie, mówi:

> Nic to dziś za legawca dać i sto czerwonych,
> Za charta i pięć brogów dobrze nałożonych,
> Za wyżła koń turecki; tucznych kilka wołów
> Za krogulca; woźniki za parę sokołów.

Podróże. Wiemy już z jednego z poprzednich rozdziałów, że dom szlachecki był poniekąd osobnym, okrągłym, niezawisłym światem. Już z tego względu, a tembardziej wobec niezmiernie trudnych warunków komunikacyi zdawałoby się, że szlachcic wyruszał z domu tylko z ważnej bardzo potrzeby, tylko z ostatecznej konieczności nawet. Tak przecież nie było. Wiemy od cudzoziemców, którzy zwiedzali Polskę w XVI i XVII wieku, jak np. od cytowanego

już towarzysza kardynała Commendoniego (1565), że szlachta była w ciągłym ruchu do krewnych i do przyjaciół i że nie odstraszała jej nawet stumilowa odległość od podróży bez słusznej potrzeby. Warszewicki przytacza przypowieść niemiecką, według której całe życie Polaka upływa na trzech rzeczach: deklamacyi, hulance i podróżach *(declamationes, comessationes et profectiones quotidianae)*, Kromer powiada o swoich współczesnych: *complures libenter peregrinantur*, a Francuz Laboureur nazywa Polaków *le plus grands voyageurs de l'Europe*. Potwierdzają nam tę skłonność do podróżowania bez potrzeby i rozumnego celu nasze własne źródła literackie i pamiętnikowe, w których »szlachcic przewoźny«, podróżujący »rzemiennym dyszlem«, należy do gęstych figur codziennych. Było zresztą dość okazyj i potrzeb, zwyczajnych i nadzwyczajnych, które zniewalały zadomowionego nawet szlachcica, t. zw. domarada czyli legarta, do wyprawienia się w dalszą drogę. Wymagały tego interesa rodzinne, bo jakkolwiek trzymać się lubiono w Polsce przysłowia: »sprzedawaj konie daleko ale żeń się blizko«, kojarzyły się małżeństwa między osobami z dwóch najdalszych od siebie województw; wymagały interesa prawne, majątkowe, troska o zdrowie i o wychowanie dzieci, a w końcu i rzeczy obywatelskie, publiczne. Najbliższym celem podróży bywała stolica województwa lub pierwsze z brzegu znaczniejsze miasto z grodem, zaś Lublin i Piotrków jako stolice trybunalskie, Kraków i Warszawa jako stolice królewskie. Gdańsk i Toruń jako główne ognisko handlu rolnemi płodami wymagały już dłuższej podróży i dłuższego pobytu. Najzwyklejsze bo najczęściej potrzebne były jazdy do

Ruchliwość szlachty.

Okazye i potrzeby podróży.

Gród, roczki, kwerele. grodu, na kwerele i roczki sądowe, bo nie było prawie szlachcica, któryby nie chadzał do prawa, nie potrzebował oblatować jakiegoś przywileju, munimentu, intercyzy; aktykować czegoś ku wiecznej rzeczy pamięci, obdukować, manifestować się lub protestować. Roczki i kwerele sprowadzały do grodu liczną szlachtę, sejmik i okazowanie bywały już wielkiemi zjazdami. Sejmiki. Sejmiki połączone z wyborami posłów na sejm i deputatów do trybunału, były pierwszą szkołą polityczną szlachcica, szeroką areną dla warchołów, polem popisu dla wszystkich statystów i reformatorów Rzptej — a któż nim nie był? — główną krynicą informacyj z całej Polski a nawet z całej Europy, gdzie naiwny szlachcic zaczerpnąć mógł zapasu nowinek, plotek i anegdot, wystarczającego na dwanaście miesięcy; wielkim rautem województwa, najwalniejszą okazyą do zwady i biesiady — wracał też z sejmiku szlachcic niekiedy mądrzejszy i pewniejszy siebie niż wyjeżdżał, częściej atoli i niemądry i niecały, z ciężką głową a lekkim mieszkiem, nierzadko Okazowania. z utratą ucha, palca i z plastrem na głowie. Sejmik był zjazdem obywatelskim i politycznym, okazowanie zjazdem rycerskim. Na okazowaniu czyli lustracyi szlachta obowiązana była stawić się pod grzywną zbrojnie, a kto mógł, także z pocztem; pod wodzą kasztelana lub innego urzędnika w jego zastępstwie odbywał się przegląd niejako wojskowy. Nie całe województwo zbierało się razem na okazowaniu; każda ziemia miała osobne wyznaczone ku temu miejsce; szlachta np. województwa ruskiego odbywała lustracye zbrojne we Lwowie, pod Sądową Wisznią, pod Haliczem, pod Sanokiem i pod Samborem, a więc w pięciu rozmaitych miejscach, zjazd

tedy bywał daleko bardziej lokalnej i partykularnej natury niż na sejmiku. Okazowania miały też daleko mniej powabu dla szlachty; nie było na nich senatorów, nie było oratorskich popisów, nie było politycznych nowin i plotek, nie było *petitów* o wakanse, donacye, myta i t. p., tedy chociaż chodziło tu o cel bardzo szlachetny, bo o demonstracyę pogotowia w obronie ojczyzny, o stwierdzenie rycerskiego zawołania, szlachta nie bardzo chętnie spełniała ten obowiązek, wyruszała na pole popisu tak nielicznie i tak niepokaźnie, że w końcu ze wstydem ale bez szczerego zamiaru poprawy sama przyznawała w laudach sejmikowych, »iż okazowania żadnego Rzptej pożytku nie przynaszają a raczej *per abusum* pośmiechowiskiem jakiemś są« i albo zreformowane albo zniesione być winny.

Upadek tej instytucyi rycerskiej.

W każdą dalszą niż na sejmik drogę, a niekiedy nawet i na sam sejmik, jeżeli się mieszkało daleko od miasta, w którem się odbywał, wybierano się tak, jak się dziś już nie wybieramy za dalekie morza. Nawet miernej fortuny szlachcic, jeśli mu wiek lub zdrowie nie pozwalały odbywać podróży konno, podróżował małą karawaną. Kolebka dla pana, kareta dla pani, wóz z kuchnią, wóz skarbny na pościel, garderoba, serwis podróżny, kilka luźnych koni w rezerwie, gromadka czeladzi — to wszystko już składało się na wcale pokaźny tabor, bez którego przecież dla bezpieczeństwa i wygody obejść się było niepodobna. Cóż dopiero, kiedy się wybierał w drogę magnat, zwłaszcza kiedy jechał na sejm, na zjazd jaki uroczysty, na elekcyę, koronacyę lub gody królewskie do stolicy i musiał zabierać z sobą wszystkie splendory swego stanu, zbroje, szaty, klejnoty, srebra; prowadzić z sobą

Trudności podróży.

Tabor podróżny.

dworzan i milicyę. Na każdą choćby najkrótszą podróż wyprawiał się wojewoda kijowski Wasyl Konstanty Ostrogski z całym kredensem sreber stołowych, woził z sobą trzy tuziny złocistych półmisków, kilka tuzinów talerzy półzłocistych lub także całozłocistych, kilka tuzinów talerzy białosrebrnych, sześć mis olbrzymich rozmiarów, kilka tuzinów łyżek, dużą wannę srebrną z złocistemi obręczami, nie wyliczając flasz i kubków i t. d., a była to tylko cząstka tego, co wieziono za podróżującym panem. Bogusław Radziwiłł (1665 r.) pisze do swojej narzeczonej, »że choćbym *incognito* do Mitawy przyjechał, tobym przecież musiał mieć 1000 koni i ludzi z sobą, tobym razem całą Mitawę wyjadł«. Z rzadkiej dziś broszury Stanisława Czernieckiego, kuchmistrza i dworzanina Stanisława Lubomirskiego, dowiadujemy się szczegółowo, z jakim monarszym przepychem i z jakim tłumem dworzan, czeladzi

Orszaki magnackie.

i milicyi podróżował ten magnat. Najpierw, na pięć dni przed wyjazdem samego pana, wyruszał oddział piechoty nadwornej węgierskiej, na drugi dzień wyruszała stajnia z końmi wozowemi i wierzchowemi, na trzeci dzień muzyka, na czwarty myśliwstwo, a piątego dnia ruszał dopiero sam Jegomość z »poważnym a okrytym dworem«. Przed karetą jechał oddział srebrnych kozaków, tak nazwany od srebrno-litych kostiumów i srebrem oprawnej broni, za karetą oddział dragonji. Długi szereg koczów wiózł nareście świtę dworską, towarzyszącą panu swemu w podróży.

Zbytek w podróżach

Zbytek ten nie ustał i w XVIII wieku; nieprzeliczony szereg sześciokonnych bryk, wozów skarbnych, kuchennych, kredensowych, piwniczych, karet z damami, konnych dworzan, rezydentów, adjutan-

tów, przeciągał drogą, kiedy ks. Adam Czartoryski zmieniał miejsce pobytu; podróż z Puław na Wołyń odbywała się w 400 koni i 14 wielbłądów. Kiedy w r. 1778 książę Karol Radziwiłł wjeżdżał do Lwowa, poprzedzała go cała karawana wielbłądów i jucznych mułów; podróż Szczęsnego Potockiego z Tulczyna do Lubomla, odbyta w r. 1792 z całym aparatem magnackim, kosztowała według dochowanego rachunku około 372.000 zł.

Brak dróg bitych i bezpiecznych wymagał najmniej trzech lub czterech koni do każdej karety, ale zbytek wymagał w dwójnasób tyle, co potrzeba. Nawet po równej drodze i w porach roku, kiedy i najgorsza była sucha i twarda, nawet na bardzo małą odległość, dla samej wystawy tylko zaprzęgano do powozu po sześć i ośm koni. Klonowicz, który w swoim *Worku Judaszowym* nieśmiało tylko zaczepia o wybryki wielkopańskie, »bo strach o lwiej skórze pisać«, bardzo dosadnie maluje ten rodzaj zbytku: Zaprzęgi.

I animusz to lichy, poszedł na prostaka,
Który tysiąca osób nie trzyma orszaka,
A już swego szlachectwa wiele ten uroni,
Komu woza nie ciągnie processya koni.
Już teraz tuzem jeździć i kwatrem i dryją,
Tylko owym należy, co żebractwem żyją.
I owszem, chociaż tracim, dobrowolnie giniem,
Nie godzi się nam jeździć, jeno szkap tuzinem.

Z tą całą wystawą szedł w parze przepych w doborze i cenie koni cugowych, zwanych dawniej woźnikami, w karetach i uprzężach; wszystko to ociekało srebrem i złotem. Dla większego efektu malowano nawet konie; do kotczów wspomnianego już Stanisława Lubomirskiego zaprzęgano białe konie, których grzywy i ogony pofarbowane Malowanie koni.

Rodzaje powozów.

były na czerwono. Były rozmaite rodzaje powozów: kotcze, t. j. wozy obszerne, juchtami obite, obwieszone kobiercami, których »*ad minimum* musiało być sześć«, brożki, rydwany, karety, kolasy, kolebki i t. p. Wybijano je kosztownemi materyami, ozdabiano złoceniem, rzeźbą, poklatami czyli poponami na srebrnych gałkach i t. d.; piorunuje też Rej na »owe rozliczne a dziwnie przyprawne kolebki z wywieszonemi kobiercy, z altembasowemi wezgłowiami, z szkarłatnemi poponami, z pozłocistemi lewki«. Były rozmaite sposoby zaprzęgania koni i rozmaite specyalne na to nazwy, z których już kilka poznaliśmy z przytoczonego powyżej wierszyka Klonowicza: jeździło się syzem, kwatrem, dryją, tuzem i esem; syz oznaczał zaprząg sześciokonny, kwatr czterokonny, dryja trzykonny, tuz parokonny, es jednokonny [1]). Miernej fortunki szlachcic, jeśli go nie opętał duch próżności, jeździł skromną kolasą i brał sobie za wzór pana podczaszego krakowskiego Wacława Potockiego, który tak opisuje swój własny ekwipaż:

Od esa aż do syza.

Niech kto mosiężne szory, złocone karety
Sprawia, niech sprzęga fryzy; forysie, stangrety
Karmi, stroji; pachołkom srebrne kuje pasy,
Mnie w półszorek zaprzęże parę do kolasy
Raźny Maciek w siermiędze, drugiego Bartosza,
Żeby, gdzie źle, zatrzymał, chowam od łogosza.

Podróże za granicę.

Chęć do podróży nie poprzestawała na własnym kraju. Obowiązek legacyjny w służbie Rzptej

---

[1]) Terminologia ta wzięta jest z gry w koście, a mianowicie z liczb oczek, które każda z płaszczyzn sześciobocznej kostki wykazuje. Płaszczyzna o pięciu oczkach nazywała się cynek, a nazwa ta utrzymała się w polskim słowniku jako oznaczenie grupy drzew, zasadzonych w figurę pięciu oczek na kostce.

i chęć pozyskania wiedzy, do czego w ojczyźnie nie było dostatecznych środków, były pierwotnie jeśli nie jedynym, to w każdym razie głównym powodem podróży, dopiero z biegiem czasu do tej poważnej pobudki przybywa żądza egzotycznych, czysto materyalnych przyjemności i moment awanturniczy. Cel naukowy wiódł z początku prawie wyłącznie do Włoch, do Padwy, Bononji, Rzymu, później, a zwłaszcza w XVII wieku, zaczęła się młodzież szlachecka udawać do Niemiec, do Francyi i Niderlandów. Potrzebę poznania obcej a wyższej cywilizacyi bardzo wcześnie odczuwano w Polsce, umiano też należycie oceniać pożytek rozumnie odbytej podróży. Nawet Rej, domator, cały obrosły mchem polskim, doradza dalekich podróży młodemu szlachcicowi, »aby się wżdy nie wyrwał lada jako wilk z sieci«, albowiem »nadobna to jest rzecz młodemu człowiekowi do cudzych się krajów przejeżdżać, a tam się ukazać, jakoby sobie i ojczyźnie swej lekkości nie uczynić«; każe się jednak starać o to, aby młodzieniec »nietylko z poskoczki, z perfumowanemi rękawiczkami, z pstremi kabatki do domu przyjechał«. Z przestróg tych wnosić można, że już za czasów Reja podróże często wypadały bez pożytku dla umysłów a z wyraźną szkodą charakterów. Potwierdza to tyle późniejszy Jakób Sobieski, który mówi o podróżujących Polakach, że »sroga ich rzecz, co cielętami przyjeżdżają do cudzej ziemi a wyjeżdżają z niej wołami«; potwierdza późniejszy od niego Andrzej Maxymilian Fredro, który ubolewa, »że więcej występków z obcych krajów wywozimy niżli nauki, więcej lekkości niżeli grzeczności«; potwierdzają to w końcu wszyscy moraliści XVIII wieku a także cudzoziemscy obser-

Cel naukowy.

Zły wpływ podróży.

watorowie obyczajów polskich, np. Vautrin, który powiada nawet, że »jeśli duch patryotyczny wygasł w Polsce, to główną tego przyczyną były podróże«. Istotnie zdarzały się liczne przykłady — a cytowany u góry Fredro miał je w własnej rodzinie — że młody człowiek zamiast nauczyć się zagranicą karności i poszanowania prawa, a więc cnót, któremi górowały nad Polską takie kraje, jak np. Francya lub Niderlandy, zamiast przejąć się wyższą umysłową i obyczajową kulturą, nabierał niejako tylko apetytu do swawoli po zagranicznym poście i pozwalał sobie w domu tem szerzej na to, czegoby sobie bezkarnie nie mógł pozwolić zagranicą. Hetman Stanisław Żółkiewski nie radzi żonie wysyłać syna zagranicę, bo ztamtąd »zgoła rzadki z czem dobrem przyjedzie«.

Wyższe motywa podróży.

Z drugiej strony nie brak przecież wskazówek, że na cele podróży zapatrywano się bardzo poważnie i że dalekie kraje nie nęciły jedynie swawolnej fantazyi i pustej ciekawości, ale pociągały ku sobie wysoką kulturą, klasyczną reminiscencyą, wielką tradycyą przeszłości; że nie brakło umysłów, w których dalekie a historyczne ziemie budziły tęsknotę realnego niejako zetknięcia się z tem, co idealnie posiadła już dusza. Jakże pięknie mówi Orzechowski o podróżach Jana Tarnowskiego: »Chrześciańskie i pogańskie kraje przechodził, przez bystre dunaje i burzliwe morza pływał, w morzu i ziemi szukając godności wielkiemu człowiekowi przyzwoitej, i jeżdżąc, chodząc, pływając, nie oparł się, aż na Synaj górze, oblanej krwią Pańską: Aleksandryę, Atlantę i wszystek Egipt, miejsce pamiątkami staroświeckiemi nadobne, przechodził, Ateny uczone widział, w Rzymie się Stolicy Apostolskiej

pokłonił a ztamtąd do Hiszpanji pojechał«. — »Trzykroć-em oceanie, twoje widział brzegi«, woła Stryjkowski i niejako z radosną dumą, że mógł fizycznem okiem oglądać to, co dotąd widział tylko okiem duszy w mistycznej dali przestrzeni i wieków, opiewa swą podróż po klasycznych stronach: Ich strona idealna.

Gdzie Leander do Hery swojej śmiele pływał,
A z nią wspólnej miłości i śmierci zażywał,
I gdzie król perski Xerxes most przez morze stawił,
Przez który zbrojnych siedmkroć set przeprawił,
I gdzie w Termopilskich porażony skałach,
I gdzie w małej po morskich łódce uciekł falach,
I gdzie Jazon do Kolchim przez morze żeglował,
Gdzie złotej wełny dostał, o którą pracował,
Gdzie Parnassus, Helikon, Hipokren przesławny,
Które Muzom uczonym poświęcił wiek dawny,
Gdzie Grekowie i Trojanie toczyli bój srogi,
I gdzie Ulisses błądził ustąpiwszy drogi.

Zanim się rozmogło w Polsce zamiłowanie podróży po za granice kraju bez ściśle określonego celu, podróży z ciekawości, dla wrażeń, dla rozrywki, dla eklektycznych jakichś korzyści cywilizacyjnych, szukanych to szczerze, to pozornie tylko, zanim przyszło do podróży dla samej podróży, szanowny cel i poważny, z góry powzięty zamiar, nadawał podróżnikom polskim pewną dostojną cechę obowiązku, misyi, energii moralnej. Niebezpieczne poselstwa na Wschód, do Turcyi i Tatar, Fantazya i obowiązek. wyprawy dyktowane miłością chrześciańską lub rodzinną dla wykupienia ofiar jasyru, misye dyplomatyczne na dwory europejskie, pietyzm religijny, budzący nieprzepartą tęsknotę do progów apostolskich i do świętych miejsc biblijnych, pomijając już na tem miejscu dalekie wyprawy kupca krakowskiego i lwowskiego, który *per mare, per saxa, per*

ignes gonić musiał za zyskiem, i żołnierza polskiego z profesyi, jakiego typ doskonały skrystalizował się niejako w Lisowczyku, co »chodził ziemią, po której podobno końska nie deptała noga« — oto wszystko, co bywało pobudką i treścią a także zasługą i chwałą podróży. Przybywają dwa potężne, ogólno-ludzkie czynniki ruchu dusz i umysłów, dwa prądy bijące o Polskę fluksem i refluksem: humanizm i reformacya, zbliżają oddalone dotąd horyzonty, dają namiętność duszy, otwierają i ścielą nowe gościńce do obcej ziemi — rodzi się *europejski Polak*. Krzysztof Szydłowiecki, Radziwiłł Sierotka, dwaj Łascy, Warszewicki, Hozyusz, Krzycki, Dantyszek, Tomicki, Reszka, Kromer, Rozrażewscy, Chodkiewicz, Morsztynowie, Nowodworski, Arciszewski, Kleczkowski i tylu innych — jeśli w ogóle uchodzi zestawiać obok siebie nazwiska tak różnej wagi i tak odmiennego znaczenia — to reprezentanci tych rozmaitych prądów i pobudek, które prowadziły w szeroki świat pozapolski. Zmysł awanturniczy w wielkim stylu i z wielkim horyzontem, heroicznej miary wyobraźnia, rwąca się z realnej ciasnoty miejsca i bytu jakby do fantastycznych światów współczesnego Aryosta, stwarza i w Polsce typy, którym jak Kolumbowi *il mondo è poco*. Wojewoda sieradzki Stanisław Łaski, prawdziwy *globtrotter* XVI wieku, przebiega Włochy, Niemcy, Francyę, Hiszpanię, Węgry, Turcyę, zapuszcza się w głąb Azyi i Afryki, opiewany w osobnym łacińskim poemacie Holtorpiusa (1548 r.), co *Aeonio carmine* opisał jego podróże: *vagus immensum Lascius quaecunque per orbem vidit.*

Jaka szkoda, że żaden z tych Polaków XVI w., o których z drugiej ręki mamy wiadomość, że od-

Nowe czynniki moralne. — Polak europejski. — Moment awanturniczy. — Brak opisów podróży.

bywali dalekie podróże pełne przygód i niezwykłych doświadczeń, nie zostawił nam pamiętnika — szkoda nie dla opisu obcych krajów i ludzi, jaki by zawierał, ale dlatego, coby nam malowało samego autora i wewnętrzną, czynną relacyę jego samego jako człowieka swojej pory i swojej rasy, do obcego społeczeństwa i do obcej cywilizacyi, bo to właśnie stanowiłoby bogaty materyał psychologiczny i obyczajowy. Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska jako źródło historyczne lub jako obraz obcych krajów niewiele mają wartości, ale jako wizerunek polskiego szlachcica i żołnierza są pierwszorzędnym dokumentem, którego nam pozazdrościć mogą inne literatury europejskie XVII w. Znane nam tylko fragmentarycznie trudne i w przygody bogate legacye takiego Andrzeja Taranowskiego, człeka »wielkiej przezpieczności i wielkiego serca«, za jakiego był uważany przez współczesnych; dziwne i awanturnicze koleje kasztelana wojnickiego Jana Tęczyńskiego, jakie przebywał w Hiszpanji, opowiedziane niejasno i niedołężnie przez Paprockiego; podróże zagraniczne Jana Szczęsnego Herburta, osłonięte w jego autobiografji maską zagadkowych alluzyj i szarad; pobyt Bogusława Radziwiłła za granicą przed r. 1648, tak pełny obozowych przygód, pojedynków i przepraw jakby romans *di cappa e di spada* — gdyby zostały były opowiedziane przez nich samych z narracyjną łatwością Paska, coby to było za źródło do charakterystyki polskiej natury, jej indywidualizmu i energji pod obcem a szerokiem niebem, na porównawczem tle współczesnej europejskiej kultury!

Przygody podróżników.

Zachowały się nam wprawdzie liczne opisy

Legacye.

legacyj do rozmaitych dworów europejskich, są to jednak relacye przeważnie oficyalnej natury; sam już zresztą dyplomatyczny i uroczysty charakter takich misyj ścierał z sprawozdań barwę indywidualną, wykluczając z nich wszystko, co było osobistem wrażeniem lub prywatnym epizodem. Jest także inny powód, że nie znajdujemy w nich tego, czego przedewszystkiem szukać zwykł historyk czasów i ludzi. Każda taka legacya polska, olśniewająca swoją zewnętrzną, a dla stolic zachodu także bardzo egzotyczną świetnością, uderzająca nadto cudzoziemców nadspodziewanie wysokiem wykształceniem swych głównych członków, ich znajomością języków i ich uczoną cycerońską swadą, wywoływała nietylko admiracyę tłumu ale także wielce pochlebną opinię dworu i dostojników miejscowych, a tym sposobem posłowie zanadto się czuli przedmiotem obserwacyi, aby sami także mogli bezstronnie obserwować i porównywać, a tem samem wejść niejako w bezpośrednią ściślejszą relacyę z nowym dla nich a tak pouczającym światem. Nikomu z licznych członków tych misyj nie imponuje zagranica swoim dobrobytem i kulturą; wracają jakby utwierdzeni w przekonaniu, że polska pszenica i polska szabla więcej warte od handlu, przemysłu i sztuki, że inne narody tak się mają do Polski jak kupiec lub rzemieślnik do wielkiego pana, który ich płaci, bo sam tak nizką czynnością bawić się nie raczy. Wszakże i rozumny nasz Rej z tego samego zdaje się zapatrywać stanowiska, kiedy powiada, że »wiele jest krain i królestw co (na Polskę) robią jako za dzień kmiotkowie a tu wszystkie swe prace podawają a ztąd żywności swych, innych rzeczy szukając, nabywają,

Ich świetność.

Bezpłodność wrażeń zagranicznych.

a my Polacy za małą pracą a za małem staraniem ich kosztownej pracy a ich robót z rozkoszą sobie używamy«. Do bardzo rzadkich wyjątków należy taki Jan Zawadzki, który jadąc w r. 1633 w dyplomatycznej misyi do Anglji a patrząc w Amsterdamie na lasy masztów okrętowych, na ruch handlowy, na bogactwo i pracowitą skrzętność ludności, woła z westchnieniem: »Oby i u nas to wszystko widzieć można!« Natomiast wielu jest takich, co

Iluzye wyższości.

wracają z utwierdzoną illuzyą wyższości, bo biorą miarę porównania z siebie a nie ze swego kraju. Zapominają, że wiedzą, znajomością języków, dostojnością form zewnętrznych, wysoką kulturą indywidualną, równającą ich z całą współczesną arystokracyą umysłową Europy, a w końcu całą stylowością swoich osób, czem wszystkiem górują nad dostojnikami i dworakami zagranicy, należą do licznych wprawdzie wyjątków w swojem własnem społeczeństwie, ale zawsze do wyjątków. Jerzy Ossoliński niemal z pogardą patrzy na pracowitych i walecznych Holendrów: »*rusticitas* pysznego chłopstwa, t. j. panów tam gubernujących«, jak się wyraża, budzi w nim tylko dumne uczucie wyższości. Krzysztof Opaliński, poseł po Maryę Ludwikę, na balu wydanym na cześć jego legacyi przez królowę francuską spogląda obojętnie i jakby z pewnem lekceważeniem na kwiat arystokracyi francuskiej: *avec peu d'admiration,* jak się wyraża zgorszona tem pani de Motteville. Młody Jędrzej

Poczucie rzeczywistej wyższości.

Załuski, późniejszy kanclerz i biskup, który z misyi swojej do Madrytu, dokąd odwoził insygnia Złotego Runa po zmarłym królu Michale, pozostawił nam pamiętnik wprawdzie pisany po łacinie ale mimo to pełny kolorytu i osobistego akcentu, po-

dziwia pałace i rezydencye, unosi się nad katedrami Grenady, Sewilli, Korduby, Toleda, ale z politowaniem patrzy na dostojników hiszpańskich i portugalskich, ludzi grubego umysłu, z których jeden mniema, że Polska to jakieś duże miasto, oblęgane właśnie przez Tatarów, i nie wie, czy Anglja leży w Londynie czy też Londyn w Anglji, »prostak, którego nazwiska nie chce wymienić, żeby mu wstydu po świecie nie narobić«.

Górujące jednostki.

Tej wyższości jednostek, które czy to urzędowo czy prywatnie reprezentowały swoją ojczyznę za granicą, zawdzięczamy tę chlubną nad miarę opinię, jaką miała Polska XVI wieku w całej Europie. Tworzyły one, że tak powiemy fasadę, a po za tą fasadą — powiedzmy to sobie szczerze — świat domyśliwał się więcej, niźli za nią było na prawdę. Przyczyniała się do tego w niemałym stopniu bezprzykładna u innych narodów plastyczność natury polskiej, dzięki której każdy Polak z zdumiewającą prawdziwie łatwością modelował się według każdego środowiska, choćby ono było zupełnie odmienne, zupełnie mu obce, zupełnie nowe, o całe niebo dalekie od tego, które go wydało; dzięki czemu, jak to raz już podnieść mieliśmy sposobność, od razu umiał sobie przyswoić obcy język, zwyczaj i kulturę, odgadnąć i posiąść wszystkie sekreta najbardziej nawet rozwiniętej i skomplikowanej cywilizacyi, której w domu nie znał, nie przeczuwał nawet. Uważał to dobrze Rej, który powiada w swoim *Zwierzyńcu:*

Plastyczność natury polskiej.

Polak nad wsze narody jest w tem osobniejszy,
Iż ukaż mu jakiś kształt, by też najdziwniejszy,
Ujrzysz go do trzeciego dnia, alić on tak chodzi,
Postawą i ubiorem każdemu dogodzi.

Dodajmy do tego, że w żadnym może innym narodzie nie spotykało się takiej obfitości a nawet takiej przewagi cnót i przymiotów, które sławny historyk angielski Macaulay bardzo trafnie nazywa »zbytkownemi« *(fine qualities which may be called luxuries),* z wielką niestety szkodą tych cichych, skromnych, prozaicznych, ale bardzo koniecznych, które są powszednim chlebem narodów. Przepych i olśniewająca świetność legacyj polskich, wyprawianych zagranicę, zrobiły Polsce reputacyę ziemi nieprzebranego bogactwa, wysoka kultura umysłowa i klasyczna łacina jej posłów — nie mówiąc już o łacińskich poetach, jak Krzycki, Szymonowicz, Janicki, Sarbiewski — stworzyła legendę o kraju, w którym każdy, począwszy od króla a skończywszy na służebnym pachołku, potrafi rozmówić się językiem Cycerona — zapisuje przecież Werdum z zdumieniem w swoim pamiętniku podróży po Polsce (1670), że mieszczka lwowska odezwała się do niego jako do cudzoziemca poprawnym frazesem łacińskim, a znana też była anegdota o cesarzu Ferdynandzie, który po łacinie rozmówił się z furmanem arcybiskupa gnieźnieńskiego. Skoro brano miarę z takich postaci jak Szydłowieccy, Tomiccy, Krzyccy, Hozyusze i t. p., skoro za typ młodzieży polskiej uchodziły takie osoby, jak Jan Krzysztof Tarnowski, o którym, jak to z patryotycznem oburzeniem zapisuje Orzechowski, papież Juliusz II nie chciał wierzyć, że się wychował w Polsce; albo jak ów drugi Tarnowski, Stanisław, późniejszy kasztelan sandomierski, uwieczniony przez Torquata Tasso: *de Tarnovia conte, che star potrà co' più famosi a fronte* — tedy nie dziw, że Erazm Rotterdamczyk, Paweł Manucyusz, Muretus, Silvius Ama-

Przewaga cnót zbytkownych.

Reputacya Polski w Europie.

Dostojne przykłady.

Poklask humanistów.

tus, Justus Lipsius i tylu innych głośnych europejskich humanistów piało hymny pochwalne na cześć oświaty polskiej, tem szumniejsze, tem entuzyastyczniejsze, że owym ślicznym listom w klasycznej łacinie, które odbierali z Polski, towarzyszyły bogate w złocie upominki.

Jeżeli żałujemy, że po żadnej z tych dostojnych postaci polskich nie pozostał nam pamiętnik przygód i wrażeń pod horyzontem odległych światów, to może niemniej żałowaćby się godziło, że przechowały się nam natomiast zapiski Polaków, których rubaszne sarmackie figury wśród obcej a wyższej cywilizacyi a już osobliwie pod wielkiem światłem włoskiego słońca oddzierają się od tła jakby czarną sylwetą. Wybrał się np. w podróż do Włoch w r. 1700 pan wojewoda miński Krzysztof Zawisza, w domu u siebie wielki personat, orator i statysta, a co tam widział i co podziwiał, te wszystkie jak sam się wyraża: *raritates et curiositates,* zanotował w osobnym raptularzyku, niejako samej essencyi najsilniejszych wrażeń. W Wenecyi najbardziej mu imponuje jakaś posadzka z białego i czarnego marmuru, »która różnie się widzi: raz w kawalerskich krzyżach, to znowu w gwiazdach, to w cegiełkach«; w kościele św. Marka podziwia nadewszystko taki słup alabastrowy, że »jak świeca przy nim postawi się, tedy przez słup na wylot przejrzysz«, w Scuola San Rocco największym cudem sztuki dla niego to nie płótna Tintoretta i Tycyana, ale »księgi z drzewa robione, których od prawdziwych ksiąg rozróżnić trudno, jedne na pół otwarte, drugie od szczurów pogryzione, trzecie od mulów potoczone, inne podarte; kałamarzyk tam stoi z piórem malowany, jakby prawdziwy«. W Bononji podziwia

Turysta Smorgoński.

tylko wieżę Asinellego a nazywa ją »oślą wieżą, *turris asinorum«;* w willi Doria-Pamphili, »który pałac nazywa się Belveder, jakoż dobrze nazwano, bo z niego w samych Freskatach kury liczyć można«, admiruje »z wód girandule haniebnie wielkie i piękne, rury wiatr czyniące i wody, które się zowią *dżiokante«;* w willi Borghese tylko »łóżko, na którem leży człowiek *hermafroditto«,* »szkatuły źwierciadłowe na kołowrocie i innych bardzo wiele galanteryj«. Nie krzywdźmy jednak smaku p. wojewody; nie pomija on i dzieł wielkiej sztuki, a osobliwie malarskich, które bez różnicy i ryczałtem nazywa »miniaturą i lanszaftem«. W kościele *al Gesù* podziwia sklepienie »miniaturą malowane«, na jednym z pałaców bonońskich widział »lanszafty i zdaje się, że nad pałacem wiszą«; w Rzymie ogląda »lanszafty haniebnie piękne«, nie pomija też i kaplicy Sykstyńskiej i chwali *Sąd Ostateczny* »malowany od sławnego malarza Archanioła Gabryela«. Z takim plonem wspomnień i wrażeń wraca nasz podróżnik z Włoch, tej Mekki wybranych umysłów polskich! A przecież ten Zawisza to magnat-wojewoda, to członek tej górnej warstwy społecznej, która w nie tak bardzo dalekiej jego czasom przeszłości dorównywała umysłowej arystokracyi Europy, to luminarz prowincyi, sławiony przez jezuickich panegirystów jako »Cyneasz sarmacki«, człowiek znacznych istotnie zdolności, obdarzony nawet żyłką autorską, statysta z wybitną rolą w grze politycznej swego czasu. Smutne świadectwo czasom saskim, smutny objaw zaniku idealnych pierwiastków kultury, które pod tak obiecującą a niestety złudną wróżbą wnikać zaczynały w życie polskie XVI wieku.

Objaw upadku.

Kosztowność podróży.

Podróże bywały wielce kosztowne już same przez się; lekkomyślność robiła z nich łatwo źródło majątkowej ruiny, to też między surowemi napomnieniami, z jakiemi ojcowie wyprawiali swoich synów zagranicę, nakaz oszczędności figurował na pierwszem miejscu. W instrukcyi danej w r. 1613 Jerzemu Ossolińskiemu ojciec pod błogosławieństwem upomina, aby »zabawniczków-wystawniczków« strzegł się jak ognia, aby się obywał »*sumptis quam parcissimis*« a »konwersował tylko z czystymi i skromnymi cudzoziemcami«; hetman Krzysztof Radziwiłł piorunuje na ochmistrza swojego syna Janusza, że »już za te dwie lecie, jako z Polski wyjechali, pod 100.000 im posłał« a jeszcze nie dotarli do Lowanium, gdzie Janusz miał odbywać studya. »Nie na tom go do cudzych krajów wysłał — pisze w swojem *ultimatum* — nie na to taki koszt ważę, aby się Janusz norymberskich pierniczków robić nauczył; siedźcie tam sobie, jako raczycie, nudźcie się, jako chcecie, ja o was pewnie ani wiedzieć ani myśleć nie będę, póki o was w Niderlandzie nie usłyszę, i halerza jednego nie poszlę, choćbyście w turmie zgnić mieli«. Wojewoda bełzki Jakób Sobieski, ojciec Jana III., wysyłając swoich synów w podróż do Niemiec, Holandyi, Francyi i Anglji, daje im bardzo roztropne rady, zaczerpane z własnego doświadczenia, i każe im spisywać pamiętnik, a z dyaryusza ich ochmistrza Gawareckiego przekonywamy się, że młodzi Sobiescy oglądali dość pilnie osobliwości wielkich stolic, zwiedzali kościoły, arsenały, gmachy publiczne, interesowali się dziełami sztuki. Jak wielu Polaków podróżowało w owej porze, około r. 1645, tego daje nam miarę wspomniany dyaryusz, notujący nazwi-

Ojcowskie przestrogi.

Mnogość podróżników polskich.

ska spotykanych po drodze rodaków. Sobiescy zetknęli się osobiście z trzydziestu blizko polskimi turystami, a między wymienionymi spotykamy nie samych tylko magnatów ale i szlachtę, bo obok Zamoyskich, Koniecpolskich, Radziwiłłów, Potockich, Denhofów, Opalińskich, Firlejów, Ostrorogów czytamy także Gołuchowskich, Skotnickich, Niemierzyców, Prusinowskich, Moskorzewskich, Stanisławskich, Zarembów i t. d. Trzeba zaś pamiętać, że liczba osób, które dyaryusz wymienia, była niewątpliwie tylko cząstką całej cyfry współcześnie podróżujących Polaków, raz dlatego, że nie wszystkich przecież szczęśliwy traf sprowadzał w tym samym czasie w to samo miejsce, powtóre, że młodzi Sobiescy, posłuszni bardzo stanowczej woli ojca, unikali właśnie rodaków a zbliżali się tylko do tych mniej zapewne licznych, którym albo koligacyą albo znajomością, albo wreście dobrą wzajemnie o sobie opinią byli bliżsi. Nie bez ważnych zapewne przyczyn i tylko opierając się na własnych snać bardzo niemiłych doświadczeniach, wojewoda bełzki przestrzega w instrukcyi swojej synów, aby pod grozą największej niełaski ojcowskiej unikali zagranicą Polaków. »Co się tknie konwersacyi z naszymi Polakami — są słowa wojewody — to już miłością ojcowską proszę was dla Boga, rozkazuję i zaklinam pod błogosławieństwem, abyście jaknajostrożniej postępowali, i Pana Boga o to prosić będę, aby jak najmniej Polaków było, gdzie wy będziecie stać«. Ten zakaz swój, ujęty w tak uroczystą formę zaklęcia, uzasadnia Sobieski zwadliwością, plotkarstwem, zazdrością, marnotrawstwem, złemi obyczajami większej części podróżujących zagranicą Polaków, »z których rzadki czem

Unikanie rodaków zagranicą.

Odstraszające przykłady.

się tam dobrem bawi«. Przestrzega też wojewoda swoich synów »*paterno affectu*, aby się w utratach nie równali drugim tam bestiom Polakom, bo jeśli wam Bóg więzienie przejrzał, cierpcie go za ojczyznę ale nie za długi, jako to siła naszych Polaków pozdychało w katuszach francuskich dla długów z wielką sromotą narodu naszego«.

Sobieski niewątpliwie za daleko się posuwa w tym surowym sądzie; za osobiste przykrości, jakie go od rodaków spotkały zagranicą, wylewa żółć swoją niemal na ogół cały; za wybryki jednostek czyni odpowiedzialnym niejako charakter swego narodu — nie da się atoli zaprzeczyć, i już w XVII wieku mamy tego liczne dowody, że zamiłowanie zbytku, próżność i awanturnicza fantazya, drzemiąca prawie zawsze w duszy szlacheckiej owych czasów, wiodły młodych podróżników na bezdroża daleko zgubniejsze na cudzej ziemi aniżeli w ojczyźnie, gdzie ratunek był blizki a przebaczenie łatwiejsze. Ale i poczciwość serca, łatwowierność, bezbronność wobec cudzej przebiegłości,

Ofiary dobroduszności.

naiwna dobroduszność idąca na lep wyzyskiwaczom i oszustom — *minchione come un Polacco,* mówi stare przysłowie włoskie — częściej jeszcze może niż owe wszystkie ujemne przymioty charakteru, wprowadzały młodych podróżników polskich w fatalne sytuacye. W ostatnich latach XVIII wieku, w tej porze tak obfitej w międzynarodowych awanturników małego i wielkiego stylu, mnożą się także

Dwuznaczne karyery.

zagranicą dwuznaczne karyery polskie, fałszywie świetne, samozwańczo znakomite, bardzo krótkie i bardzo niesławne; zasilają się lekkomyślnymi Polakami szulerskie jaskinie rozmaitych stolic europejskich, zaludnia się nimi paryzki Fort l'Evèque

i inne więzienia za długi, pojawiają się coraz liczniej błędni kawalerowie i typy awanturnicze na wzór Kobielskich, Zawoyskich, Chadźkiewiczów, Walickich, Dzierżanowskich; bohaterowie hazardu jak Miączyńscy, Ponińscy, Gurowscy; rozswawolone, rozigrane, pieniące się i upojone życie warszawskie z czasów Stanisława Augusta wyrzuca ich jak korki szampańskie po za polskie brzegi. Na odwrót cały tłum awanturników i kawalerów industryi, kartowników, szarlatanów i maskowanych fantastycznością oszustów i szalbierzy, Włochów, Niemców, Francuzów, grasuje po Polsce, wyzyskując łatwowierność i wrodzoną predyłekcyę do cudzoziemców. Osławiony w całej Europie Casanova ma wstęp do króla, bywa gościem u senatorów, pojedynkuje się z Branickim; Cagliostro uczy robić złoto hetmana Ożarowskiego, leczy tajemniczemi środkami damy polskie, sprzedaje za drogie pieniądze arkana alchemiczne i ucieka z trzosem pełnym dukatów a jego piękna żona z bogatym łupem brylantów; ludzie nizkiego pochodzenia i dwuznacznej przeszłości jak Tomatis, Campioni, Manuzzi, dorabiają się fortun i zaszczytów, żenią się z córkami znakomitych domów, zyskują dyplomy szacheckie, fałszywi markizowie francuscy i baronowie niemieccy oszukują i ogrywają młodzież polską.

Awanturnicy i szalbierze.

Koniec XVIII wieku — koniec staropolskiego świata. Zdawałoby się, że koniec stanowczy, ostateczny, koniec końców. Już dlatego, że świat ten nie zanikał, nie ustawał, nie przeobrażał się normalnym biegiem społecznego postępu i rozwoju, ale urwał się niejako gwałtem i katastrofą, runął wraz z bytem politycznym. A przecież ta demarkacya była

tylko mechaniczna, ta granica pozostała płynną, i nie było by to może niewdzięcznem zadaniem dla historycznego badacza-psychologa: wykazać, jak tej przeszłości jesteśmy już dalecy i jak jeszcze blizcy.

Index osób i miejscowości.

SPIS TREŚCI